

Andrea De Carlo

Morze prawd

Mare delle verita

Przełożyła Halina Kralowa

Rankiem 24 listopada

Rankiem 24 listopada na dworze było co najmniej czterdzieści centymetrów śniegu i mój brat zadzwonił, by mi powiedzieć, że nasz ojciec nie żyje.

Kiedy się obudziłem i otworzyłem okiennice, patrzyłem przez chwilę na biel, która pokrywała jednolicie drzewa i pola, i lasy, i dalekie domy aż po horyzont, gdzie falująca linia wzgórz stapiała się z bardzo jasną szarością nieba. Słuchałem ciszy i wciągałem głęboko w płuca lodowate powietrze, wydychając parę. Kilka płatków osiadło mi na czole, na piersi i na rękach, chłód przeszedł po nagiej skórze. To region, gdzie pada zbyt często, aby mieć, jak wtedy gdy było się dzieckiem, wrażenie, że to czary, ale za każdym razem fascynuje mnie sposób, w jaki dźwięki ulegają przytłumieniu i wydłużają się odległości, suche drzewa i krzaki jeżyn, i kamienie, i dziury, i rozpadliny znikają pod białą nawierzchnią, dając złudne wrażenie krajobrazu doskonale jednolitego. Wiedziałem, że zdumienie tą przemianą nie będzie trwało długo i że wkrótce pojawią się rozmaite komplikacje praktyczne, ale przez kilka minut trwałem w zachwycie, wciągając na siebie równocześnie liczne warstwy bawełny i wełny.

W kuchni wstawiłem wodę na herbatę i przygotowałem owsiankę, a dla rozgrzewki zrobiłem parę skłonów i przysiadów. Jedząc, przejrzałem esej o prądach oceanicznych, który był mi potrzebny do pisanej przeze mnie książki o warunkach przeżycia po katastrofie na otwartym morzu. Potem poszedłem sprawdzić telefon, który okazał się kompletnie głuchy. Ale spodziewałem się tego, bo druty na przestrzeni kilku kilometrów biegną przez las, wystarczy jakaś burza czy ostry podmuch wiatru albo właśnie śnieg, aby linia wysiadła. Za każdym razem trzeba wielu dni, zanim ktoś przyjdzie ją naprawić, o ile ma się dość cierpliwości, by ponaglać biuro napraw po kilka razy dziennie. Z drugiej strony, taka izolacja nie sprawiała mi przykrości: dzięki niej czułem się bezpieczny od natrętnych racji świata, które oddalała tak bardzo, że stawały się prawie niepojęte.

Wyciągnąłem moją komórkę z kieszeni kurtki, w której ją trzymałem przy drzwiach wejściowych: zapomniałem ją naładować, na miniaturowym ekranie błyskał symbol baterii. Był też symbol „nieodebranych połączeń”, ale zanim zdołałem sprawdzić, kto dzwonił, rozległ się dźwięk pseudokaraibskiej muzyczki, którą wybrałem drogą eliminacji spośród dostępnych wariantów. Wciągnąłem długie gumowce i wyszedłem na śnieg przed domem, idąc w stronę drzewa, gdzie najlepiej się odbiera. Zapadałem się co krok, było to, jakbym szedł po innej planecie.

Mój brat Fabio był bardziej niż zwykle nerwowy: powiedział „Lorenzo, od wczoraj próbuję się dodzwonić, na stacjonarny i na komórkę”.

Odparłem „Stacjonarny nie działa z powodu śniegu, a komórka nie odbiera w domu”, nieco monotonnym tonem osoby, która powtarza ogólnie dostępne informacje.

– Tata nie żyje – powiedział.

– Co? – spytałem, widząc w myśli ojca w domu, w salonie, jak zwraca się do mnie, by coś powiedzieć. Śnieg sięgał mi do kolan, drzewa laurowe były zgięte pod białą masą, jakby miały się złamać.

– Tak – powiedział mój brat.

– Kiedy? – jedno z wielu częściowo sformułowanych pytań, które przepływały mi falami przez głowę.

– Koło dziesiątej. – Spieszył się jak zawsze: były sprawy co najmniej równie ważne, które czekały na niego poza naszą rozmową.

– Ale jak to się stało? – Chociaż nigdy nie myślałem, by nasz ojciec mógł naprawdę żyć wiecznie, tkwił w moim wewnętrznym krajobrazie, odkąd się urodziłem, przez wszystkie okresy i fazy mego życia: wyobrazić sobie świat bez niego nie było proste.

– Zawał mięśnia sercowego – powiedział mój brat.

– Gdzie?

– W domu, w swoim gabinecie. Luz wezwała od razu pogotowie, ale gdy się zjawili, nie się już nie dało zrobić. Nawet go nie zabrali.

– Aha – powiedziałem. Wziąłem z szopy długi kij i zacząłem uderzać w przygięte gałęzie laurów. Masy śniegu odrywały się sypkimi płatami, gałęzie falowały. Uderzyłem bardziej energicznie: kilka uwolnionych gałęzi podniosło się nagle w górę, śnieg spadł mi na twarz i na włosy, pod wywinięty golf.

– Można wiedzieć, co ty tam robisz? – zapytał brat. – Co to za jakiś hałas?

– Nic. To śnieg.

– Kiedy zamierzasz przyjechać? – zapytał z rosnącą niecierpliwością.

– Zaraz. Teraz. – Czuję się winny, że jeszcze mnie tam nie ma, niezależnie od jego tonu, ale nie mogłem się powstrzymać, by nie stuknąć jeszcze parokrotnie kijem dla oswobodzenia laurów. Małe lawiny osuwały się w chmurach śnieżnego pyłu na ciemnozielone liście i zapadały w miękką, białą warstwę pokrywającą teren.

– Pospiesz się – powiedział mój brat. – Nie mogę zajmować się wszystkim sam.

– Jadę. Jadę. Zrobię dwieście sześćdziesiąt kilometrów i będę na miejscu.

Chciałem dodać coś o spodziewanym stanie dróg, ale moja komórka wyładowała się i zgasła. Wróciłem do domu, żeby umyć zęby i wrzucić parę rzeczy do małego plecaka. Miałem w głowie kilka innych obrazów mego ojca, nie najnowszych, bo minęły już ze dwa miesiące, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni: na każdym patrzył na mnie niezdecydowanie, jego twarz wyrażała coś między ciekawością a zakłopotaniem. Opuściłem dom biegiem, zamknąłem drzwi wejściowe, ześlizgnąłem się z boczem na mały placyk.

Pikap był ledwo widoczny pod zakrywającą go kołdrą śniegu. Zacząłem pośpiesznie odkopywać go łopatą. Czuję się uwięziony przez materię, a jednocześnie nie mogłem pozbyć się myśli, że mój pośpiech jest bez znaczenia. To jeden z efektów ubocznych życia z dala od świata, bez zegarów i solidnych połączeń telefonicznych, ale to, co się stało, jeszcze to uwydatniło. Miałem wyraźne poczucie bezużyteczności wszelkich zamiarów i programów, planów, kalendarzy, umówionych spotkań, czekania.

Kiedy wydało mi się, że odśnieżyłem wystarczająco, usiadłem za kierownicą i zapuściłem silnik, wycieraczka usuwała z przedniej szyby zwały śniegu. Siedzenie było zimne, szyby zaparowały od razu; czekając, aż się rozgrzeje prymitywny diesel, poruszałem kolanami, zęby mi szczykały.

Niewiele widząc, zacząłem jechać w dół ścieżką, ale na pierwszym zakręcie zatrzymała mnie masa leżących w poprzek drogi i pokrytych śniegiem drzew, które padły ofiarą własnych, pokrytych jeszcze liśćmi koron i słabych korzeni w gliniastej ziemi z boczka. Wsiadłem i próbowałem je odsunąć, ale nie było mowy, musiałem zawrócić powoli na górę, by wyciągnąć mechaniczną piłę z szopy na narzędzia. Miała naturalnie pusty zbiornik, musiałem mieszać olej z benzyną i wlewać tę mieszankę przez lejek rękami sztywnymi od mrozu i z pośpiechu. Szarpałem linkę zapłonu, ale z jakiegoś powodu mały, jednocylindrowy motor nie zaskoczył. Szarpałem, szarpałem i szarpałem, próbowałem zamknąć dopływ powietrza, otworzyć go ponownie: nic. Odrzuciłem piłę, która zapadła się w śnieg. Wziąłem z szopy piłę ręczną i wróciłem na dół, do drzew, potykając się ze zdenerwowania i ślizgając bardziej niż przedtem.

Odcinałem jedną gałąź po drugiej, potem ciąłem na kawałki pnie i odrzucałem kolejno na

bok. Śnieg wpadał mi do butów, do oczu i do uszu, moczył palce poprzez skórzane rękawiczki, zniszczone i poprute. Pracowałem z takim wysiłkiem, że w ciągu paru minut mój bawełniany podkoszulek i pierwszy sweter były mokre od potu, ale nie miałem czasu ani ochoty na zrobienie przerwy, żeby chociaż zdjąć kurtkę. Piłowałem, mimo bólu mięśni w ramionach, mimo łzawienia zmęczonych oczu. Co jakiś czas cofałem się o kilka kroków, by sprawdzić rezultat, lecz nie wydawało mi się, żebym był bliższy otwarcia przejścia. Pracowałem jednak dalej, całkowicie pochłonięty skrupulatnym procesem niszczenia, dopóki w pewnej chwili nie zdałem sobie sprawy, że przejazd jest wolny. Wskoczyłem do pikapa, mokry od topniejącego śniegu i potu, zapuściłem znowu silnik i pojechałem w dół dróżką, kierując się bardziej pamięcią niż wzrokiem.

Niełatwo było przejechać trzysta metrów do drogi prowadzącej przez wieś, bo przed maską pchałem rosnący wciąż mur śniegu i skraju drogi mogłem się tylko domyślać, musiałem ciągle szarpać kierownicę, by nie skończyć na dachu między drzewami w lesie. Kiedy w końcu, ostatnim podrzutem, wylądowałem na drodze, którą przejechał pług śnieżny, poczułem nagłą ulgę, stłumioną natychmiast przez rosnący niepokój.

Przejazd przez Apeniny był wyczynem jeszcze trudniejszym, niż to sobie wyobrażałem: drogi pokryte śniegiem, trzeszczącym i lepiącym się do kół, ściany ubitego śniegu po bokach, starzy ludzie z łopatami w ręku przed zasypanymi wejściami do domów, małe kamienne miasteczka cofnięte w czasie o dobry wiek, gęsty dym z kominów, wielkie ciężarówki na poboczach czy na placach przed stacjami obsługi, przygasłe kolory. Mogłoby to nawet być fascynujące, gdybym nie musiał się tak spieszyć z dotarciem na miejsce. Co jakiś czas przychodziły mi do głowy inne obrazy mojego ojca: widziany z różnych stron i zatrzymany w pół gestu, z takim czy innym wyrazem twarzy.

Na pełnym zakrętów, pofałdowanym odcinku między Gubbio a Perugią pióra wycieraczek pokryły się w pewnej chwili lodem, tak że zmuszony byłem jechać z głową wychyloną przez okno, by śledzić drogę. Dźwignię zmiany biegów trzymałem na trójce w warkocie diesla i nieustannym szumie nawiewu ciepłego powietrza, w trudniejszych momentach jazdy poruszałem instynktownie ramionami i biodrami, jakbym chciał pomóc pikapowi w utrzymaniu kierunku i posuwaniu się naprzód.

Poczawszy od Perugii, warstwa śniegu robiła się coraz cieńsza i mniej zwarta, znikając stopniowo z krajobrazu, i na granicy z Lacjum śniegu nie było już ani śladu. Było tylko niebo w kolorze bladego błękitu, zachodnie, żółtawe światło zalewało pola i budynki po bokach autostrady. Przyczyny mojego opóźnienia rozplynęły się wokół mnie, zostawiły mnie uczipionego kierownicy, która przekazywała wibracje kół, ze wzrokiem kierującym się ciągle ku wskazówce szybkościomierza, oscylującej wokół mojej maksymalnej szybkości 125 kilometrów na godzinę.

Kiedy dotarłem do Rzymu

Kiedy dotarłem do Rzymu, poczułem się jak zwykle oszołomiony widokiem miasta korzystającego z dobrodziejstwa swoich warunków klimatycznych. Wszyscy naokoło chodzili w marynarkach i lekkich płaszczach, nie myśląc nawet o tym, że o dwie zaledwie godziny drogi od nich sroży się ostra zima. Patrzyłem na ludzi w samochodach i na chodnikach z mieszaniną niedowierzania i przykrości, miałem ochotę otworzyć okno i krzyknąć coś, zatrąbić na alarm.

Dom z byłym już mieszkaniem mojej rodziny jest jednym z pierwszych punktów Rzymu, do których dociera się, jadąc z północy; forpoczta eleganckiej dzielnicy, wysoki, otoczony balkonami, w latach sześćdziesiątych sugerować musiał możliwości niespodziewanie nowoczesnego rozwoju miasta. Nad samym niemal brzegiem rzeki Tyber, która tutaj czasami bywa rwąca, na skraju dzielnicy zamieszkałej przez potwornie zepsutych maminsyneków i pary czterdziestolatek o zimnym spojrzeniu, przez bogatych notariuszy i adwokatów, i wdowy po admirałach, i Filipinki i Filipińczyków pełniących u nich służbę, którzy wyprowadzają dzieci i psy na smyczy. Moi rodzice przeprowadzili się tam, gdy ja miałem lat dwanaście, a mój brat dziesięć, ze względów abstrakcyjnie praktycznych (więcej zieleni, więcej powietrza, więcej miejsca w porównaniu z ulicą w centrum, gdzie mieszkaliśmy dotychczas), nie biorąc zupełnie pod uwagę wpływu, jaki to miejsce może mieć na nas, dzieci. I mieszkali spokojnie, jakby ani ten dom, ani dzielnica, ani miasto w głębi nie interesowały ich zbytnio, w charakterze najemców, bo moja matka była zawsze przeciwna nabywaniu czegokolwiek na stałe.

Myślałem o tym, jadąc windą i patrząc na mosiężną kratkę domofonu, która, co odkryłem jako mały chłopiec, jeśli pociągnąć paznokciem po prętach, mogła wydawać dźwięki. Winda, w której spędziłem prawdopodobnie wiele dni, gdyby podliczyć wszystkie moje jazdy w górę i w dół, i w której lustrze sprawdzałem niezliczone razy mój wygląd, w czasach gdy moje życie nie miało jeszcze żadnej formy. Różne sposoby stania, wygląd en face i z profilu, formy fryzury, style spodni i butów, miny wypróbowywane na długo przedtem, zanim można je było zastosować w praktyce. Bywałem w niej zaspany i głodny, znudzony, zakochany; z rowerem, z podręcznikami szkolnymi, ze szkolnymi kolegami, z książkami, które dla mnie znaczyły wiele, z cennymi płytami, z pierwszymi dziewczynami, z podróżnym bagażem, z kobietą, którą chciałem przedstawić, z kwiatami dla matki, z argumentami, które miały podsycać polemiczne rozmowy przy obiedzie. Parę razy zostałem tu nawet uwięziony z powodu awarii, zawieszony między siódmym a szóstym piętrem, niemal pewien, że nie wyjdę stąd żywy.

Na ósmym piętrze drzwi wejściowe były otwarte, dochodził szmer cichych głosów, ostrożnych ruchów. Powiedziałem „Można?“, wszedłem w moich wilgotnych i brudnych butach do przedpokoju, gdzie wisiały kapelusze i laski mojego ojca. W dużym salonie, oświetlonym kilkoma oknami, byli mój brat Fabio i jego żona Nicoletta, służąca Luz, Ekwadorka, Nadine Lemarc, asystentka i ekskochanka ojca, jego kolega i przyjaciel od zawsze, Dante Marcadori, portier Gianni, dwie czy trzy inne, nieznane mi osoby. Rozmawiali ze sobą, ale na mój widok umilkli, odsunęli się, bacząc pilnie, gdzie stawiają stopy. W tej dziwnej pustce mój brat przyszedł mnie uściskać, ale wyraz jego twarzy i gesty wydawały się po części przynajmniej teatralne, nie pasowały wcale do tonu, jakim mówił przez telefon kilka godzin temu. Zaraz po nim uścisnęła mnie Nicoletta, wyszeptała mi parę słów między uchem a szyją i cofnęła się w obłoku waniliowych perfum; potem, kolejno, ściskali mnie inni.

Kiedy uściski się skończyły, spoglądaliśmy na siebie kolejno spod przymkniętych powiek, z opuszczonymi rękami, przesuwając się bokiem po marmurowej posadzce.

Fabio zapytał mnie półgłosem „Chcesz go zobaczyć?” i już prowadził mnie w stronę korytarza.

Nasz ojciec, a raczej jego ciało, starannie ułożone i ubrane, leżało na łóżku w pokoju, który zajmował od śmierci matki. Mój brat wskazał na drzwi; powiedziałem „Możesz zostać”, ale on wymknął się i tak. Nie miałem pojęcia, co mam robić, więc pochyliłem się i dotknąłem czoła ojca: było zimne, gładkie. Jego twarz wydawała się dosyć pogodna, nie licząc faktu, że nie pamiętałem, bym go widział kiedykolwiek śpiącego czy z zamkniętymi oczami. Stawiał zawsze na intensywność swego spojrzenia, podobnie jak na timbre swego głosu: miał zwyczaj poruszać się po pokoju i nie spuszczać cię z oczu, by tym bardziej podkreślić wagę słów. Był wymagający, niecierpliwy, całkowicie skoncentrowany na tym, co robi, wychwytyjący szybko powody ewentualnego zainteresowania czy znużenia innych. Niełatwy jako ojciec w okresie, gdy rosłem, i potem, póki nie udało mi się znaleźć własnej drogi, zupełnie od jego drogi niezależnej. Autentycznych rozmów odbyliśmy zaledwie kilka, a jeszcze rzadsze były wspomnienia o tym, co robiliśmy razem, pomijając może pewną śmiałą wycieczkę w góry i dwie czy trzy wyprawy na ryby. Będąc dzieckiem, wyczuwałem często rodzaj zazdrości, jaką odczuwał w stosunku do mnie i mego brata, o względy okazywane nam przez matkę; a dorastając, byłem świadomy irytacji, jaką budziły w nim moje wahania fizyczne i umysłowe. Zresztą jego życie toczyło się prawie w całości z dala od rodziny, między szpitalem a uczelnią, gabinetem, asystentami i uczniami. Miał zawsze krąg młodych rozmówców, dających mu więcej satysfakcji od obu synów: bardziej gotowych go podziwiać, wymagających mniej uczucia. Nie mógł, być może, znieść myśli, że dla nas jest po prostu ojcem, i dlatego niezbyt się nami interesował. Gdy dziś o tym myślę, sądzę, że nie było to takie złe, zważywszy na nasze charaktery.

Usiadłem na krześle i patrzyłem na niego przez pewien czas. Nie była to sytuacja szczególnie bolesna; miałem wrażenie, że mam przed sobą tylko cielesną powłokę, porzuconą po osiemdziesięciu trzech latach intensywnego używania. To samo wrażenie miałem dwa lata wcześniej, patrząc na moją matkę, i na psa, którego bardzo kochałem, rok wcześniej. Pamiętam, że gdy patrzyłem z bliska na martwego psa, poczułem wyraźnie, że jego duch ze wszystkimi witalnymi i emocjonalnymi odruchami, w jakich się przejawiał, odszedł po prostu gdzie indziej, zostawiając na polu swoją starą formę. A jednak moja zdolność dystansowania się była bardzo niepełna, bo co jakiś czas uderzała mnie myśl o tym, jak definitywna jest nieobecność ruchu w ciele, które było bardzo ruchliwe, więcej, na ruchu opierało lwią część swoich zdolności komunikowania się z innymi. Myślałem o elementach ziemskich, jakie przeszły przez ziemskie ciało mojego ojca w ciągu jego życia: o powietrzu, którym oddychał, o pokarmach, które spożywał, odróżniając za każdym razem ich smak, o płynach, ciepłych i zimnych, które pił jeszcze wczoraj. Myślałem o ubraniach, które nosił, o różnej konsystencji tkanin, o ich pochodzeniu roślinnym lub zwierzęcym, o znaczeniu, jakie przywiązywał do ich koloru i kroju. Myślałem o jego ubraniach wiszących czy poukładanych w szafach; o ich nagłej, całkowitej bezużyteczności.

Właśnie o tym myślałem, gdy mój brat Fabio wrócił do pokoju. Przez kilka minut on także patrzył w milczeniu na ojca, po czym powiedział nagle „Za pół godziny mam zebranie komisji kultury. To trudny moment, nie mogę nie iść”.

– No pewno – powiedziałem. Jego sposób powrotu do roli wielkiego działacza Mirtu Demokratycznego, jednej z tych formacji centrolewicowych, które w ostatnich latach przyjęły nazwy roślin, zamiast zirytować, prawie mnie rozczulił. Był przypadkiem progresywnej transformacji. Od asystenta na wydziale lekarskim „udzielającego się politycznie” do polityka zawodowego, polityka o rosnącym znaczeniu. Był już w drugiej linii, tuż za pierwszą, gdzie byli sekretarz i przewodniczący partii; wystarczyło, by któryś z nich po najbliższych wyborach został

ministrem, aby on sam znalazł się w pełnym świetle. W rezultacie, w ciągu kilku lat nabrał nowego sposobu poruszania się i ubierania, patrzenia, telefonowania, czytania, myślenia. Żył w stanie ciągłego alarmu, nie mogąc ustać w jednym miejscu dłużej niż parę sekund, w obawie, że w innym miejscu zdarzyć się może coś niezmiernie ważnego. Mógł skupić się na jakimś temacie z całą energią, do jakiej był zdolny, a potem odwrócić nagle oczy i uwagę, by skierować je gdzie indziej: nagle przestawał cię słuchać, patrzył na zegarek, wyciągał z kieszeni komórkę z pośpiechem osoby, która musi otrzymać lub przekazać wiadomość życiowej wagi. Sprawiał na mnie wrażenie kogoś, kto chce za wszelką cenę wrócić na zabawę, którą musiał opuścić z nieistotnych powodów, a wie, że tymczasem zabawa została przeniesiona gdzie indziej i jeśli chce tam trafić, musi mieć najświeższe informacje. Fakt, że zabawa jest zawsze taka sama, nudna i bez muzyki, pozwalał mu prawdopodobnie widzieć swój niekończący się stan wewnętrznego napięcia jako obowiązek wobec Kraju, bez śladu satysfakcji czy innych motywacji natury egoistycznej.

Wróciłem z nim do salonu, gdzie jego żona Nicoletta gładziła po ramieniu Nadine, która płakała za okularami w cienkiej czerwonej oprawce, a Dante Marcadori tłumaczył innym gościom, na czym polega zawał mięśnia sercowego. Widząc mnie i Fabia, przerwali; na kilka minut otoczyło nas znowu milczenie, spojrzenia i ręce nieznajdujące punktu oparcia. Mój brat powiedział „Wybaczenie, proszę, ale ja niestety muszę iść. Przepraszam was bardzo”: to również tonem wystudiowanym i z wyrazem twarzy właściwym dla wyrażenia przykrości i poszanowania reguł i obowiązku, i głębokiej ludzkiej sympatii do każdego z obecnych. To był kolejny efekt jego transformacji w polityka, potrzeba wywoływania dobrego wrażenia w szerokich kręgach, zaspokajania wszelkich oczekiwań. Uściskał wszystkich, wszystkim podziękował, wszystkich pożegnał, idąc do drzwi wejściowych, gdzie czekał jeden z jego asystentów. Wydało mi się to sposobem bycia niezwykle męczącym, ale ten stan ciągłego alarmu pchał go, mimo zmęczenia i całej reszty, ku tej jego zabawie bez muzyki, stale gdzieś przenoszonej.

Zostałem w salonie z innymi jakąś godzinę. Słuchałem wygłaszanych półgłosem okolicznościowych rozważań, zdań podyktowanych prawdziwym uczuciem, długą znajomością, przypominania epizodów słyszanych już wielokrotnie i innych, mniej znanych. Nadine precyzowała daty, nazwiska i miejsca, naradzała się z Nicolettą w sprawie szczegółów organizacyjnych. Nicoletta odpowiadała na telefony odbierane przez Luz, oscylowała między rolą przybitej synowej i dziennikarki, która nie traci przytomności umysłu i operatywności nawet w najbardziej bolesnych okolicznościach. Dała mi do przeczytania tekst nekrologu i tekst dla agencji prasowej, które napisała razem z moim bratem, oba już przekazane do druku. Spokojna i precyzyjna jak zawsze, niezmordowana. Między nią a Nadine była wyraźna rywalizacja, ale było też jasne, że podzieliły się rolami w sposób możliwy do przyjęcia dla obu stron, co potwierdzały spojrzenia i pieszczotliwe gesty, jakimi obdarzały się od czasu do czasu.

Mnie natomiast nie wydawało się, bym miał coś do roboty poza samym przebywaniem tutaj, więc chodziłem po salonie, patrząc na wiszące na ścianach ryciny i obrazy ryb, na ryby porcelanowe, szklane i rzeźbione w drewnie na półkach. Myślałem, jaki mój ojciec był zadowolony ze swojej kolekcji, zgromadzonej w czasie podróży po świecie i wzbogacanej prezentami od przyjaciół, kochanek i wielbicieli; jak absurdalna i dziwaczna wydaje się teraz. Ten salon nigdy nie był wygodny, z powodu mamy i jej niechęci do wszelkich form mieszczańskich, aczkolwiek mieszkała w bardzo mieszczańskim domu i jeszcze bardziej mieszczańskiej dzielnicy. Był tu zbiór foteli i kanap każde z innej parafii, za niskich lub za wysokich, lub za twardych czy niestabilnych, do których ojciec przystosował się, lecz nigdy nie przestawał powtarzać, że chciałby mieszkać w domu bardziej wygodnym. Myślałem o tym, że podskórna dysputa moich rodziców na temat komfortu życia wydawała mi się czymś równie

trwałym, jak cechy ich osobowości i natura ich wzajemnych stosunków. Ale teraz uleciała razem z nimi, zniknęła w pustce; moja rodzina uległa autodestrukcji w ciągu trzech lat, z zadziwiającą szybkością. Dopiero co było dwoje osiemdziesięcioletnich rodziców w zadziwiającej formie fizycznej i umysłowej, w chwilę później matka jest chora, w chwilę później matka umiera, w chwilę później ojciec, sam i załamany, otrząsa się jeszcze z determinacją lwa, jakby miał żyć kto wie jak długo, w chwilę później ojciec też umiera; koniec.

Krażyłem po salonie, gdzie każdy mebel i lampa, każdy przedmiot był śladem ich postaw, ich upodobań, podróży i manii, gdzie słuchałem ich rozmów o świecie, widziałem jak chodzą, czytają książki i gazety i słuchają płyt, ze zmiennej perspektywy dziecka, nastolatka i mężczyzny. Myślałem o tym, że niedługo lokal zostanie opróżniony przez jedną czy dwie firmy przewozowe, oczyszczony i odmalowany, wysterylizowany tak, by inna para czy rodzina odgrywać tu mogła przez jakiś czas swoją komedię wiecznego trwania.

Przyszło kilkoro innych znajomych ze smutną wizytą, Dante Marcadori i portier Gianni wyszli.

Nicoletta spojrzała na zegarek, powiedziała „Muszę biec do domu, Tommaso wraca z korepetycji. Muszę jeszcze kupić coś na kolację”.

– Idź, idź – powiedziała Nadine tonem osoby panującej nad sytuacją.

Nicoletta dotknęła mojego ramienia, zapytała „Co chcesz robić, Lorenzo, odwieziesz mnie? Zresztą nocujesz u nas, prawda?”

Rozejrzałem się wkoło, niepewny, jak mają wyglądać w takiej sytuacji moje obowiązki synowskie. Nadine powiedziała „Idź, idź spokojnie. Tu i tak do jutra rana nie ma nic do roboty”.

Nastąpiła nowa wymiana rytualnych uścisków i pocałunków, po czym wszedłem za Nicolettą do windy, w której spędziłem w sumie wiele dni mego życia.

Na dworze zrobiło się ciemno

Na dworze zrobiło się ciemno, niebo na zachodzie przecinały fioletowawe smugi nad wielkim miastem, które wibrowało i huczało milionem motorów rozproszonych po wszystkich ulicach. Powietrze nie było z pewnością lodowate, jak tamto, które zostawiłem za sobą nad Apeninami, ale za to o wiele bardziej wilgotne.

Nicoletta spojrzała na mnie, powiedziała „Nie pogniewasz się, jeśli kupimy parę rzeczy, a potem pojedziemy do domu?” Wskazała na drugi brzeg rzeki; szła nerwowym krokiem w swoich butach na niskich obcasach w stylu porządnej panienci.

Poszedłem za nią skwerem, który nie był jeszcze placem, i po przecięciu ulicy pełnej wściekłego ruchu, mostem dla pieszych nad Tybrem. Po naszej prawej stronie latarnie na moście dużo większym, prowadzącym poza Rzym, zapalały się jedna po drugiej jak gigantyczne zapalki, po lewej płonęła niezliczona ilość świateł domów i wystaw, reklam, jadących samochodów. Wychyliłem się, by spojrzeć na rzekę, która toczyła pod nami groźne, ciemne wody. Właściwie cały Rzym wydawał mi się groźny. Jak gdyby długie życie na morzu, a potem w samotności na wsi, pozbawiło mnie po trochu tego systemu odpornościowego, który pozwolił mi tu rosnąć i mieszkać, i pracować, i nawiązywać przyjaźnie, i kochać przez dużą część życia.

Nie było to wrażenie nowe, ale teraz uderzyło mnie w sposób silniejszy niż przedtem, z trudem stawiałem kroki, jakbym miał w butach ołów.

– Słowem, takie jest życie – powiedziała Nicoletta.

– W tym sensie, że się kończy? – spytałem.

– Tak.

Powiedziałem „Zawsze czujesz się tu dobrze?”

– Gdzie? – Szła szybko, co jakiś czas zerkając na komórkę, tak samo jak mój brat.

– W Rzymie – wykonałem nieokreślony panoramiczny gest. Byliśmy w połowie mostu, blisko świateł, które mrowiły się błyskami i smugami wzdłuż ulicy i na placu tuż za rzeką.

– Dlaczego? – zapytała, patrząc na mnie nieufnie. Była rzymianką o wiele prawdziwszą niż ja i mój brat, bo nasza rodzina wywodziła się z Citta di Castello, jej mieszkała w Rzymie od zawsze. Chociaż rośliśmy w tych samych miejscach i chodzili do tych samych szkół, i nasz akcent był bardzo podobny, ona odziedziczyła coś w sposobie myślenia i zachowania, czego nie można po prostu nabyć w ciągu jednego pokolenia. Myślę o automatycznych echach pewnych miejsc, słowach kryjących się za słowami, imionach za imionami; o tym, że się coś wie, zanim się usłyszy, że jest się gdzieś, zanim się tam dojdzie.

– Nieważne – powiedziałem. Minęliśmy miejsce, gdzie mając szesnaście lat, godzinami całowałem się z pewną dziewczyną. Pomyślałem o tym, że wydawałem się sobie jedynym elementem ruchomym w nieruchomym krajobrazie, na który składały się miasto i dom otoczony balkonami po drugiej stronie mostu, i mieszkanie mojej rodziny, i moja rodzina, i role, jakie w niej odgrywaliśmy, i moje stosunki z bratem. Jakiś facet przejechał pędem na motorynce, zostawił za sobą smugę hałasu, który wciągnął go w ruch pojazdów na ulicy.

Nicoletta powiedziała „Wasz ojciec zostawi ogromną pustkę. W świecie nauki, kultury, w Rzymie, w naszej rodzinie. Niewielu jest takich ludzi w tym nieszczęsnym kraju”.

Skinąłem potakująco głową, chociaż te słowa wydały mi się bardzo ogólnikowe, wypowiedziane niejako w tonie oświadczenia dla gazety.

Przeszedłem z nią przez ulicę i poszliśmy zatłoczonym chodnikiem wzdłuż placu do wielkiej piekarni, której klienci ubrani byli bardzo starannie i zdawali się być w wieloletniej

zażyłości ze sprzedawcami. Nicoletta, spośród wielu wystawionych rodzajów, wybrała ravioli orzechowe, chleb, *focaccine*, słodczyce. Wskazywała sprzedawcy palcem, co chce kupić, jej zachowanie, jak i większości innych klientów, było po części poufałe, po części aroganckie. Sprzedawca ze swej strony wykonywał jej polecenia z mieszaniną obojętności i służalczości; pytał Jeszcze coś, pani Telmari?”

– To wszystko, Franco – mówiła Nicoletta. – Nie, nie, poczekaj, jeszcze dwa takie! – Znow wyciągała palec, ubrana w typowym dla siebie stylu na poły konserwatywnym, na poły nonszalanckim, pozornie rozrzucona, lecz aż nazbyt zważająca na każdy szczegół. Patrzyłem na jej zęby białe i równe, na jej orzechowe oczy podkreślone lekko ołówkiem i niedostrzeganą prawie warstwą cienia do powiek, na włosy średniej długości z pasemkami w odcieniu kasztanowym. Irytację budziła we mnie jej udawana prostota, a jednocześnie zdumiewał mnie fakt, że jest taka silna i zdecydowana, zdawałem sobie sprawę, ile oparcia musi dawać mojemu bratu.

Poszliśmy jeszcze do kilku innych sklepów; za każdym razem, gdy wychodziliśmy, niebo było ciemniejsze, światła latarni, wystaw i samochodów bardziej intensywne. Szliśmy obok siebie, trzymając w rękach torby z zakupami, co pewien czas Nicoletta brała mnie pod ramię. Miałem wrażenie, że uczestniczę w odgrywaniu roli rzymskiej pary mieszczańskiej, czegoś, przed czym właściwie zawsze się uchylałem, po wielu kłótniach i zerwaniach, porzucaniu domów i pracy, ucieczkach ku dalekim brzegom. A jednak w tej chwili odczuwałem karygodne pragnienie stabilizacji, niemal równie intensywne, co potrzeba odkryć i niespodzianek, i ciągłych zmian, która przez tyle lat kazała mi krążyć po świecie. Myślałem o dziewczynach i kobietach, z którymi mogłem zrobić to, co mój brat zrobił z Nicolettą: o propozycjach zorganizowania się i podziału ról, które niby brałem pod rozwagę, ale potem odrzucałem, jakby to była dla mnie kwestia życia.

Skończywszy zakupy, przeszliśmy znowu przez most, wsiedli do mojego pikapa i pojechali do domu Fabia. Nicoletta zdawała się zdumiona ilością ziemi, kamieni, liści i gałązek wewnątrz samochodu, powiedziała Jak ty tam żyjesz?” Jej powściągliwy sposób uśmiechania się związany był nie tylko ze śmiercią mojego ojca: to był jej styl, norma, jaką przyjęła w stosunkach ze światem. W czasie, jaki zajął nam przejazd do domu, zadzwoniła trzy lub cztery razy z komórki; podawała i odbierała informacje w różnych odcieniach szczerości. Kątem prawego oka rejestrowałem jej ruchy nerwowe i precyzyjne, jej sposób otwierania i zamykania torebki, poprawiania jedną ręką włosów.

Mieszkanie jej i mojego brata mieści się na ostatnim piętrze domu z początków dwudziestego wieku, w dzielnicy Prati: apartament z długimi korytarzami, usytuowany wokół podwórza w stylu nieco środkowowschodnim, z kilkoma palmami pośrodku. Zaledwie wyszliśmy z windy, Harry i Emily, filipińscy służący, przyszli wziąć od nas torby z zakupami. Nicoletta wydała im kilka poleceń, potem zapytała, gdzie jest jej syn Tommaso. Był w salonie, rozwalony na kanapie przed wielkim ekranem plazmowym, po którym przesuwali się obrazy jakiegoś meczu piłki nożnej.

– Przywitaj się ze stryjem, dzikusie – powiedziała Nicoletta, szturchając go pieszczotliwie w głowę.

– *Muszęć* – odparł niezbyt zrozumiale i prawie na mnie nie patrząc.

– Co za źle wychowany chłopak – powiedziała Nicoletta nie bez pewnej satysfakcji, idąc sprawdzić sekretarkę telefoniczną. Wróciła po paru minutach z jedną z małych pizz, które kupiliśmy, i podając mu ją, zapytała, jak poszły korepetycje.

Tommaso burknął „*Wmdombrze*”, ugryzł kawałek pizzy i poprawił się na kanapie, dając do zrozumienia, że interesuje go jedynie mecz. Uderzał mnie zawsze jego kompletny brak

zainteresowania czy choćby ciekawości w stosunku do mnie albo kogoś czy czegoś, co nie miałyby związku z futbolem; zastanawiałem się, czy jego umysł zajęty jest wyłącznie połączeniami mechanicznymi, czy może ma też inny, starannie ukryty wymiar.

Nicoletta poprowadziła mnie korytarzem, otworzyła drzwi do pokoju, w którym nocowałem już przy innych okazjach. Wyjaśniła, że kazała przygotować łóżko, pokazała czyste ręczniki na krześle.

Podziękowałem jej, położyłem na ziemi mój plecak.

– To cały twój bagaż? – zapytała.

Kiwnąłem potwierdzająco głową.

Nicoletta leciutko pokręciła swoją, powiedziała „Prawdziwy marynarz włóczęga”, z jednym ze swoich półuśmiechów.

Chciałem podejść do okna, ale ponieważ moje ruchy były niezbyt pewne, wpadliśmy na siebie; ona położyła mi rękę na biodrze i oparła czoło na ramieniu, powiedziała „Ogromnie mi przykro z powodu twojego ojca”.

Przycisnąłem jej ostrożnie rękę do pleców, zakłopotany z lekka ciepłem ciała i wyrazistością szczegółów anatomicznych w tym połączeniu we wspólnej żalobie szwagra i szwagierki. Starłem się myśleć jak najmniej o jej piersiach, jej brzuchu i udach, które przyciskały się do mnie; słyszałem jej oddech, czułem wewnętrzne drżenie, patrzyłem na kasztanowe pasemka jej włosów, wciągałem waniliowy zapach perfum.

W chwilę potem do pokoju zajrzał Tommaso, powiedział „Gdzie się, kurde, podziały moje nowe skarpetki frotte? Będą mi potrzebne na mecz jutro w szkole!” Nie zareagował zupełnie na widok matki w moich objęciach, co było kolejnym dowodem jego całkowitej obojętności dla wszystkiego, co nie wiązało się z piłką.

Nicoletta odsunęła się ode mnie natychmiast, powiedziała „Skąd ja mogę wiedzieć, zapytaj Harry’ego”. Miała zaskakującą zdolność przechodzenia z jednego stanu w drugi, bez faz pośrednich, bo patrząc na jej twarz, nie widziałeś śladu wzruszenia czy czegoś innego, co by ją chwilę wcześniej przygnębiało. Wyszła na korytarz, rzuciwszy na mnie kątem oka najzupełniej obojętne spojrzenie, i zaczęła wołać Filipińczyka.

Zamknąłem drzwi, podszedłem do okna i wyjrzałem na podwórze w stylu Środkowego Wschodu. Zrobiłem parę serii skłonów i przysiadów, po czym wsunąłem się pod prysznic. Jak za każdym razem, gdy przyjeżdżałem do miasta, uderzające, nierealne prawie wrażenie sprawił na mnie niewyczerpany na pozór strumień gorącej wody, gotowej popłynąć po prostym odkręceniu kurka. Zastanawiałem się, czy wybór życia na wsi i w warunkach raczej prymitywnych czynił mnie istotnie bardziej wolnym, czy też może więził w gęstej sieci czynności niezbędnych do utrzymania się przy życiu z dnia na dzień. Zastanawiałem się nad sensem jakiegokolwiek wyboru stylu życia, czy to instynktownego, czy świadomego, podjętego na zasadzie przypadku czy najstaranniej przemyślanego, skoro przeznaczeniem każdego życia jest zakończyć się w ciągu jednej chwili, jak to się zdarzyło z moim ojcem. Patrzyłem przez matową szybę kabiny prysznicowej i zastanawiałem się nad znaczeniem nagłego uścisku Nicoletty: zastanawiałem się, czy aby pod gładką i nienaganną powierzchnią jej zachowania w towarzystwie innych nie tkwią pragnienia bardziej szczerze, niepewność, nuda czy po prostu poczucie braku sensu. Nie byłem w stanie ducha szczególnie pozytywnym, co zapewne jest zrozumiałe, ale nie byłem też przygnębiony; poruszałem się ostrożnie wśród ech nagłej zmiany scenariusza.

Ubrałem się i wypilem kieliszek czerwonego wina

Ubrałem się i wypilem kieliszek czerwonego wina w kuchni, gdzie Harry i Emily krzatali się, szykując kolację, potem wrócił do domu mój brat Fabio.

Rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy. Słyszałem, jak idąc korytarzem, mówił „Oczywiście, że tak, oczywiście, że tak. Ważne, aby wiedzieli, że jeśli będą robić tak dalej, połamią sobie zęby. Zresztą, jeśli ktoś ma dwa koma cztery procent, czego, kurwa, może się spodziewać?” Skończył rozmowę na wysokości kuchni; wydał się zaskoczony moim widokiem, powiedział „Hej”, odłożył komórkę.

– Cześć – odpowiedziałem, z kieliszkiem wina w ręku. Za mną Harry i Emily powiedzieli „Dobry wieczór panu”.

On powiedział „Zaczekaj”, ale nie do nich ani do mnie; do swego sekretarza, który szedł za nim korytarzem. Wymieniliśmy z sekretarzem nieufne spojrzenia, mój brat tymczasem poszedł gdzieś dalej. Wkrótce potem wrócił z kilkoma kopertami, powiedział „Do rąk własnych, dobrze? Widzimy się jutro rano o siódmej”. Sekretarz wziął koperty, powiedział „Okay, okay” i wolno oddalił się korytarzem, jak gdyby i on miał wziąć udział w jakiejś trwającej już zabawie.

Fabio wziął szklankę wody mineralnej z plasterkiem cytryny, podaną mu przez Harry’ego, i dał mi znak, bym przeszedł z nim do salonu. Pociągnął długi łyk; powiedział „Zważywszy wszystko, dzień trochę ciężkawy”. Ale nie wydawał się szczególnie zmęczony, w swoim nienagannie skrojonym garniturze z dobrej, ciemnogrnatowej wełny: wydawał się gotów na kolejne niespodziane wydarzenia rodzinne, kolejne zebrania komisji, kolejne wywiady i kolejne telefony, kolejne informacje wielkiej wagi, które trzeba uzyskać czy przekazać.

Pomyślałem, że zajmowanie się polityką, jakkolwiek jest to działalność w dużej mierze abstrakcyjna i werbalna, wymaga zaprawy psychofizycznej w połowie drogi między treningami maratończyka a treningami zawodowego pokerzysty. Mogłem zrozumieć, że Fabio ma na tym polu dobre rezultaty, bo nie brakuje mu wytrwałości i determinacji. Taki był już jako dziecko, gdy w parku czy na plaży trzymał się trochę za mną i przyglądał z daleka innym dzieciom, by wywnioskować, kto może być z nim, a kto przeciw niemu, zanim się z nimi zetknie. Posiadanie starszego brata dawało mu margines na przygotowanie się i opracowanie strategii, bez konieczności rzucania się od razu do bójk, jak to z kolei przydarzało się mnie.

Jego syn Tommaso siedział nadal rozwalony na kanapie przed wielkim ekranem. Fabio powiedział „Hej, jak idzie?”, zwracając spojrzenie na ekran zamiast na syna.

Syn mruknął coś w rodzaju pozdrowienia, mniej więcej jak przedtem do mnie.

Fabio powiedział „Teraz bardzo cię przepraszamy, ale musimy obejrzeć dziennik”. Wziął pilota i zmienił kanał z satelitarnego na pierwszy program publiczny, gdzie pokazywano właśnie gwałtowne śnieżyce, jakie nawiedziły Włochy centralne, przerywając niemal komunikację między Północą a Południem.

Tommaso powiedział „Oddaj mi go” głosem zaskakująco wyraźnym; rzucił się, by wyrwać ojcu z ręki pilota.

– Oszalałeś? – powiedział Fabio tonem zbyt powolnym i napiętym, by mógł być skuteczny.

Tommaso kliknął, by wrócić do meczu na kanale satelitarnym, znów rozwalił się niedbale, by go oglądać.

Fabio wybuchnął: „Daj mi to, twój ojciec musi obejrzeć coś ważniejszego!”

Ojciec i syn zaczęli walczyć o pilota: ojciec przeważał wzrostem, syn elastycznością.

Uderzyło mnie, że w ich walce nie było żadnej przyjemności fizycznej: obaj mieli w oczach tę samą zawziętość, tak samo ściągali brwi i zaciskali szczęki, wymachując gniewnie i niecelnie rękami. Mój bratanek na dodatek kopał dużymi stopami w niezawiązanych sportowych butach; w pewnej chwili trafił mojego brata w głowę.

Fabio złapał się ręką za czoło i cofnął, powiedział „Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś ojcu?”

Tommaso upuścił pilota na kanapę z wyrazem bezbrzeżnego znużenia.

Fabio podniósł go, ale był zbyt poirytowany, by znaleźć właściwy kanał; powiedział „A że umarł twój dziadek, to cię gównie interesuje! Zero!”

Weszła Nicoletta; przebrała się w spodnium w tym swoim stylu porządnej, wyrośniętej panienki. Zapytała „Co się tu dzieje?!”

– Nie pozwalał mi obejrzeć dziennika! – wrzasnął Fabio.

– A on nie pozwalał mi obejrzeć meczu! – wrzasnął Tommaso.

– Oj, przestańcie się zachowywać jak dzieci, jeden z drugim! – powiedziała Nicoletta z ręką na ramieniu Fabia.

– Możemy równie dobrze obejrzeć dziennik w naszym pokoju.

– Przecież to absurd! – powiedział Fabio. – To zasada, której nie mogę zaakceptować! Twój syn stał się nieznośnie arogancki! Stał się wulgarnym łobuzem z najgorszego sektora na stadionie!

– To także twój syn, prawda? – powiedziała Nicoletta. – Może nie?

– Ale to ty go rozpuszczasz! – powiedział Fabio. – Zawsze mu ustępujesz! Nawet kiedy w rodzinie dopiero co zdarzyło się nieszczęście i miałyby się prawo spodziewać innego zachowania!

Nicoletta położyła palec na ustach, jakby chciała powiedzieć, żeby nie mówić o takich rzeczach w obecności chłopca.

Fabio powiedział „Widzisz? Widzisz?” Ale zrezygnował już z walki o wielki ekran: wręczył pilota Nicoletcie, a ona oddała go Tommasowi, który wrócił od razu do swojego meczu.

Nicoletta wyszła z salonu; Fabio spojrział na zegarek i ruszył za nią, kiwnąwszy na mnie, żebym poszedł z nimi.

W ich sypialni obejrzeliśmy na normalnym dużym telewizorze jeszcze inne obrazy katastrof żywiołowych, po czym przysła kolej na politykę. Fabio uciszył nas ruchem ręki, znieruchomiał. Zaczął się rodzaj frenetycznej karuzeli deklaracji polityków, najpierw z jednego bloku, potem z drugiego, po jednym z każdej partii, otoczonych gąszczem mikrofonów, które podsuwali im rozgorączkowni dziennikarze, jak gdyby ich słowa zaważyć miały na losach całego świata. W większości przypadków oryginalny dźwięk zastępowało krótkie, skrupulatne streszczenie dokonywane przez spikera w studio, ale dwom czy trzem politykom zostawiono ich własny głos. W pewnej chwili ukazał się Fabio, który ze wzrokiem utkwionym prosto w kamerę spokojnym i stanowczym tonem potwierdził stanowisko Mirtu Demokratycznego w dyskutowanej sprawie. Za jego plecami i po bokach tłoczyło się w kadrze z pół tuzina osób, które patrzyły w pustkę i kiwały powoli głowami na potwierdzenie jego słów, a może tylko zahipnotyzowane kamerą.

Zapytałem „Kim są ci ludzie?”

– Jacy ludzie? – powiedział Fabio, zbyt pochłonięty swoim obrazem, by reagować na inne sygnały. W chwilę potem frenetyczna karuzela deklaracji wszystkich przedstawicieli włoskiej polityki skończyła się. Na ekranie pojawił się plac Świętego Piotra ze stojącymi na nim grupami wiernych, a zaraz potem papież, który ze swoim ostrym niemieckim akcentem atakował kolejno związki nieświęcone małżeństwem, roszczenia par homoseksualnych i kryminalne

zarozumialstwo tych, którzy próbują przeszkodzić w jakikolwiek sposób mnożeniu się życia, jak tego chce Bóg.

Fabio patrzył na Nicolette; zapytał Jak wypadłem?"

– Dobrze – powiedziała. – Dobrze. – Wzięła kilka fotografii z jakiegoś mebla, podała mi je: oni dwoje uśmiechnięci przy sterze łodzi żaglowej na de zimowej zatoki.

– Gdzie to było? – zapytałem.

– W Argentario – odparła Nicoletta. – To zdjęcia Erminia Kovanicha dla „Navigare”. Dają nam pięć stron w numerze styczniowym.

– Nie patrzyłem zbyt nieruchomo przed siebie? – zapytał Fabio, zwrócony jeszcze w stronę ekranu.

– Nie – powiedziała Nicoletta. – Lepiej nieruchomo, niż kręcąc głową na prawo i lewo, jak robot. – W jej słowach był jakiś automatyzm, jakby czerpała z archiwum poprzednich zapewnień, by rozwiązać bez zastanowienia każdą wątpliwość i niepewność męża.

Fabio zresztą zaczął już przyjmować komentarze do swego krótkiego wystąpienia w formie całej serii SMS-ów i telefonów na komórkę. Odpowiadał, chodząc tam i z powrotem po pokoju, potem wyszedł na korytarz: mówił „Dziękuję, Tak. No cóż. Nawzajem, nawzajem”.

Nicoletta rzuciła na mnie z boku spojrzenie trudne do odcyfrowania, zrobiła półobrót, jakby mi chciała odciąć drogę do drzwi. Minąłem ją, wyszedłem z pokoju pierwszy. Ona, może dla odzyskania przewagi, wyprzedziła mnie na korytarzu, powiedziała „Idę zobaczyć, co z kolacją Tommasa, jak nie zje szybko, w ogóle się już nie położy”.

Zatrzymałem się w salonie, by dopić kieliszek czerwonego wina i popatrzeć na mojego bratanka, który oglądał mecz na wielkim ekranie, jak gdyby futbol zajmował każdą, najmniejszą nawet cząstkę jego uwagi, nie zostawiając miejsca na nic innego. Poczucie wyobcowania, wywołane śmiercią ojca, podróżą i zmianą klimatu, przenikało w moje myśli, mięśnie i nerwy, nadawało obrazom i dźwiękom pozory bliskie halucynacjom.

Mój ojciec zostawił pisemne oświadczenie, że nie chce żadnego pogrzebu

Mój ojciec zostawił pisemne oświadczenie, że nie chce żadnego pogrzebu, musieliśmy więc tylko zorganizować przejazd na cmentarz i zawiadomić tych, którzy chcieli go pożegnać przed kremacją. Zamiast jechać granatowym samochodem mojego brata z Nicolettą ubraną na szaro i czarno, wolałem zabrać się mikrobusem pogrzebowym z Luz, ekwadorską służącą. Wydało mi się, że skoro już tu jestem, w ten sposób przeżyję to doświadczenie intensywniej. Luz milczała, ocierając co jakiś czas łzy, szofer prowadził dość ostro w ruchu miejskim; ja patrzyłem na zewnątrz przez ciemne szyby, obserwowałem reakcje kierowców i pieszych. Niektórzy zachowywali się jakby nigdy nic, inni wykonywali gesty zabobonne lub religijne; jakaś pani w okularach o mało nie spadła z chodnika, kiedy przejechaliśmy przed nią, chłopak na motocykle wyjeżdżający z bocznej ulicy zahamował gwałtownie, oparł się na jednej nodze i zawrócił. To był dziwny sposób przejeżdżania przez miasto, jakby splot strumieni ludzkich i mechanicznych przecinała ruchoma nuta niepokoju.

Kiedy dotarliśmy na cmentarz, czekał tam już tłumek przyjaciół, znajomych i kolegów mojego ojca, których twarze wyrażały uczucia od głębokiego smutku do powściągliwej, światowej serdeczności. Ja, Fabio i Nicoletta wymienialiśmy pocałunki i uściski rąk z osobami, które pamiętałem z dzieciństwa lub zetknąłem się z nimi tylko przelotnie, albo widziałem w gazetach i pismach ilustrowanych, czy też były mi zupełnie nieznane. Ich słowa także prezentowały całą gamę odcieni: krótkie wyrazy bólu głęboko osobiste, zdania niezręczne czy ogólnikowe, formułki tak utarte, że aż śmieszne.

Patrzyłem na mojego brata i jego żonę, by zorientować się, jak powinienem odpowiadać na te demonstracje, ale ich maniery zbyt były sprawdzone i standardowe, abym mógł ich naśladować bez skrępowania. Miałem wrażenie, że niezależnie od tego, co czują, mogliby zachować się podobnie na premierze w teatrze czy wystawie rolniczej albo manifestacji na rzecz pokoju czy przeciw głodowi na świecie: widziałem taką samą profesjonalną pozę w ich smutnych uśmiechach, ten sam sposób przesuwania wzroku w stronę kolejnego rozmówcy.

Była nawet ekipa telewizji państwowej, przybyła prawdopodobnie bardziej na cześć mego brata niż ojca: kręciła trumnę przejeżdżającą na wózku przez tłumek i ustawioną przez kilku pracowników na platformie obok oszklonych drzwi. Wszyscy zgromadzili się wokół niej w odległości może trzech metrów, w ich spojrzeniach i zachowaniu widać było oczekiwanie. Fabio i Nicoletta zajęci byli jeszcze przyjmowaniem i rozdawaniem gestów i szeptanych słów, tak że w pewnej chwili znalazłem się sam obok trumny, z dala od pierwszej linii przyjaciół, kolegów i znajomych.

Zastanawiałem się, ilu z obecnych ogranicza się do zatrzymania myśli na powierzchni drewna, a ilu dociera myślami do jego zawartości. Myślałem o tym, że ojciec przerabiał i udoskonaliał nieustannie swoją rolę publiczną i prywatną przez kolejne fazy swego życia, aż po tę, na pozór definitywną, wielkiego uczonego w dziedzinie medycyny, obdarzonego ciągle siłą, dynamizmem, ironią i zdolnością pozyskiwania sobie innych. Myślałem o tym, ile w ciągu lat zgromadził doświadczeń osobistych i naukowych, lektur, podróży, spotkań, języków opanowanych w mowie i piśmie, dyplomów, rozmów, wrażeń, i że to wszystko teraz zostało po prostu sprowadzone do zera. Myślałem o tym, jak skomplikowaną strukturą jest ciało ludzkie, jak zadziwiająca jest jego odporność i zdolność zmieniania się w czasie; o tym, jak nagle przerwane

zostają wszystkie jego funkcje i pozostaje grupa bezsilnych komórek zmierzających ku szybkiemu rozkładowi.

Potem, stojąc nadal przy trumnie, zdałem sobie sprawę ze spojrzeń utkwionych we mnie i zacząłem się zastanawiać, czy jako starszy syn jestem zobowiązany wygłosić jakieś przemówienie. Myśli kierowały mnie ku obszarom czystej kontemplacji i refleksji, nie przychodził mi do głowy żaden tekst okolicznościowy. Na dodatek czułem się bardzo nieswojo w mojej jedynej czarnej marynarce, którą Nicoletta uznała za „absolutnie nie do pokazania” i kazała odprasować Harry’emu Filipińczykowi, w golfie przesiąkniętym dymem palonego drewna, dzinsach ubrudzonych ziemią, amerykańskich butach z kwadratowymi noskami, zniszczonych i zmatowiałych. Pomyślałem, że ojciec umiałby stawić czoło takiej sytuacji bez chwili zastanowienia, rzucając na szalę, wobec podbitego już audytorium, całą swoją charyzmę, wygłaszając mowę zdolną wszystkich wzruszyć, ale i zmusić do uśmiechu i odesłać ich do domu usatysfakcjonowanych.

Ale duch ojca odszedł, jego ciało było w trumnie z mojej lewej strony, a front wyczekujących spojrzeń ani drgnął, więc w pewnej chwili z najwyższym wysiłkiem zrobiłem krok do przodu i odchrząknąłem. Powiedziałem „O ile wiem, mój ojciec nie był religijny, a nawet sądzę, że z przekonania był raczej ateistą. A zatem, z jego punktu widzenia, cała sprawa zakończyła się dwa dni temu. Z mojego punktu widzenia, esencja, która go zamieszkiwała, zmierza ku jakiejś innej formie, w jakimś innym wymiarze. Bardzo możliwe, że już tam dotarła, zważywszy, że poza takim jak nasze rodzajem życia znane nam parametry czasu i przestrzeni przestają się liczyć. W każdym razie dziękuję, żeście przyszli”.

Nie spodziewałem się, oczywiście, oklasków, ale nie było też żadnych oznak aprobaty czy zwykłych uśmiechów, nawet ze strony Nadine, asystentki i ekskochanki mojego ojca, czy Dantego Marcadori, jego najlepszego przyjaciela. Front spojrzeń, jakie miałem *przed* sobą, był daleki, niepewny. Wyglądało na to, że duża część obecnych nie zrozumiała, kim jestem ani z jakiej racji przemawiam, ani o czym. Odwróciłem się: mój brat i Nicoletta stali za mną, obydwójcie spięci i zakłopotani. Fabio wyszedł przede mną, wyciągnął z kieszeni karteczkę i zaczął czytać swoim wypróbowanym tonem, z dodatkową dozą patosu: „Drogi przyjaciółki i drodzy przyjaciele, dzisiaj jestem – jesteśmy – tu, by pożegnać w osobie Teo Telmariego człowieka nauki, ale także i przede wszystkim *człowieka*. Ojca, przyjaciela, mistrza, niezawodny punkt odniesienia, na który oglądaliśmy się tyle razy w chwilach niepewności czy zamętu...”

Wymknąłem się z grupy zgromadzonych ku jasnemu światłu drzwi wejściowych. Nie byłem szczególnie skonsternowany konwencjonalnym tonem i słowami mojego brata, bo odkąd zajął się polityką, przyzwyczaiłem się uważać go za rodzaj aktora, który zaczyna grać, gdy tylko ma do dyspozycji jakąś publiczność, posługując się gotowymi zdaniami jak narzędziami swego zawodu. Czułem się głupio, bo nie przewidziałem, że on będzie miał gotowe przemówienie, i wystawiłem się na pośmiewisko. Zaraz potem pomyślałem jednak, że to nie ma żadnego znaczenia: że wystarczy popatrzeć z perspektywy miejsca, w którym się znajdujemy, aby sprowadzić wszystko do właściwych proporcji.

Na dworze odetchnąłem świeżym powietrzem, spojrzałem, jak faluje pole, na którym ciągnęły się tysiące białych i szarych płyt nagrobnych. W alei wjazdowej kilku pracowników w szarych kombinezonach odczepiało wieńce z innego karawanu, który nadjechał później, niszcząc je brutalnie i skutecznie, rzucając róże, liście i wstęgi na sterty zebrane z poprzednich transportów. Na cementowym mostku czyiś krewni czy znajomi rozmawiali ze sobą z ożywieniem. Szofer mojego brata palił papierosa i rozmawiał przez telefon komórkowy. Trzy lub cztery gołębie dziobały szybko ziarna na popękany asfalcie. Oparta o murek ze dwadzieścia metrów ode mnie stała jakaś dziewczyna z kręconymi, miodoworudymi włosami, w płaszczu w

kolorowe wzory, i uśmiechała się do mnie.

Ja też się do niej uśmiechnąłem; i od razu odwróciłem się, bo nie byłem pewien, czy to o mnie chodzi. Ale za mną nie było nikogo, i gdy znów na nią spojrzałem, zobaczyłem, że idzie w moim kierunku.

Powiedziała „Cześć”, unosząc lekko rękę.

– Cześć – odpowiedziałem i serce zabiło mi trochę szybciej.

Spytała „Ty jesteś synem Teo Telmariego, prawda?” Miała jasną twarz, lekko wystające kości policzkowe, oczy niebieskie, ładnie wykrojone usta, krótki, zadarty nos.

– Jednym z dwóch, tak.

Była tak wyraźnie cudzoziemką, że chętnie zapytałbym ją, skąd pochodzi, ale ona zaproponowała gestem, byśmy odeszli dalej, z dziwną mieszaniną nieśmiałości i determinacji.

Szliśmy, nie patrząc na siebie, zatrzymaliśmy się przy murku, o który opierała się przedtem. Po naszej lewej stronie było jezioro otoczone grobowcami pełnymi kwiatów i lampek, pod powierzchnią stojącej wody mogłem dostrzec pływające w niej duże ryby.

Dziewczyna o miodoworudych włosach spojrzała mi prosto w oczy i zapytała „Czy słyszałeś o Ndiongem?”

– O kim? – moje myśli były mało precyzyjne, niewyraźne.

– Ndiongem – odparła. – O kardynale Ndiongem. – Jej rysy pasowały do jej akcentu, pomyślałem, że musi pochodzić z krajów dalekiej Północy.

– Nie. Kto to jest? A ty, kim jesteś?

– Mette Dalgaard – powiedziała. – Jestem ze Stopwatcha.

– Z czego? – nie zrozumiałem.

– Stopwatch. Wiesz, co to jest?

– Nie – czułem się bardzo niedoinformowany.

Ona uśmiechnęła się lekko, powiedziała „Muszę z tobą pomówić. W bardzo ważnej sprawie”.

– Mów. – Śledziłem z bliska ruchy jej oczu i warg, po części nieufny, po części zaciekawiony, po części wciągnięty w grę.

Ona spojrzała poza mnie, wydała się nagle niepewna. Powiedziała „Ale nie tutaj. Nie teraz”.

Odwróciłem się, zobaczyłem tłumek przyjaciół, kolegów i znajomych ojca, którzy wylegli z wielkiego cementowego budynku, i Nicolette, która dawała mi znaki. Odpowiedziałem podobnym znakiem, potem odwróciłem się znowu, ale dziewczyna z miodoworudymi włosami była o trzy lub cztery metry ode mnie i wypatrując czegoś, zaczęła się szybko oddalać. Powiedziałem „Hej”, ale ponieważ: w chwilę później przecinała już odległy kwietnik, jeszcze chwila i zniknęła za grupą drzew.

Nicoletta dogoniła mnie, gdy właśnie miałem pobiec w stronę wyjścia; zapytała „Dlaczego tak nagle wyszedłeś?”

– Potrzebowałem powietrza – odparłem, patrząc w kierunku grupy drzew.

– Znalazłeś od razu miłe towarzystwo – powiedziała ona.

– To była cudzoziemka. Chciała się o coś spytać.

– Aha – powiedziała Nicoletta z ledwo dostrzegalnym błyskiem w oczach.

Byłem pełen udaremniionych impulsów, pchających mnie do szybkiego ruchu, niezaspokojonej ciekawości, wrażenia niepokoju na widok ciemno ubranych osób, które zbliżały się do nas. Zapytałem „Już po wszystkim?”

– Tak. Twój brat wygłosił przemówienie krótkie, ale bardzo piękne, bardzo wzruszające.

– Wyciągnęła z torebki chusteczkę higieniczną, wytarła nos. – Twoje też było piękne. Może

trochę surrealistyczne.

– Dziękuję. – Nie mogłem ustać w miejscu, zaciskałem ręce, wciśnięte głęboko w kieszenie marynarki.

Zaraz potem trzeba było ścisnąć kolejne ręce i wymieniać ostatnie zdania, były niekończące się uściski, miętoszenie tkanin i ocieranie się o siebie policzków.

Ja i mój brat zjedliśmy razem śniadanie

Ja i mój brat zjedliśmy razem śniadanie w bardzo funkcjonalnej kuchni, podczas gdy Harry usuwał zaskakującą ilość plastikowych opakowań, słoików, filiżanek i brudnych talerzy, które mój bratanek Tommaso zostawił po sobie przed pójściem do szkoły. Nicoletta przeszła korytarzem z opaska frotową na zaczesanych do tyłu włosach i twarzą białą od kremu, z telefonem bezprzewodowym w rękę; powiedziała „Wy jedzcie, ja jestem zajęta”. Emily postawiła na stole kawę i mleko oraz pancake, którego mój brat nie chciał się wyrzec od czasu powrotu ze specjalizacji naukowej w Stanach Zjednoczonych.

Polaliśmy pancake syropem klonowym, ugryźli pierwszy kęs, za gorący: zaczęliśmy obaj dmuchać na talerz, w sposób prawie identyczny. Zaśmialiśmy się i spojrzeli na siebie. Fabio powiedział „Do licha, Lorenzo. Jesteśmy obaj sierotami”.

– Słusznie – powiedziałem; zaskoczony, bo nie pomyślałem wcześniej, że naszą sytuację można określić jednym słowem.

– Na własny rachunek, co? Licząc tylko na siebie.

– Tak. – Miałem ochotę dorzucić, że ja, w każdym razie, będę zawsze dla niego tym, kim on, miałem nadzieję, będzie dla mnie, ale straciłem czas na ułożenie zdania, które nie brzmiałoby stereotypowo, a on tymczasem zaczął czytać.

Na stole leżały główne dzienniki ogólnokrajowe, plus sterta wiadomości agencyjnych prosto z drukarni. Na jednej z półek grał mały telewizor, nastawiony na program porannych komentarzy politycznych. Fabio trzymał w prawej ręce filiżankę kawy z mlekiem, lewą przerzucał gazety, szybko przebiegał wzrokiem strony, co jakiś czas rzucał spojrzenie na ekran telewizora. Ponieważ wydawało się, że nie zamierza kontynuować naszej rozmowy, ja też zacząłem przeglądać gazetę. Na jednej ze stron w środku był artykuł o naszym ojcu, gdzie przypomniano jego światowej miary osiągnięcia w dziedzinie epidemiologii i nieustające zaangażowanie w prace nad AIDS i innymi chorobami zakaźnymi o ogólnoświatowym zasięgu. Wymieniono organy międzynarodowe, za które był odpowiedzialny, nagrody, jakie uzyskał. Symbole i skróty sprawiały na mnie wrażenie czysto wymyślonych dźwięków, pozbawionych sensu teraz, gdy już nie było jego, który wymawiał je z emfazą w swoim domu, w salonie, w obecności naszej matki, przyzwyczajonej do jego pracoholizmu i do nas, synów myślących o zupełnie innych rzeczach.

Brat podsunął mi strony, gdzie były analogiczne teksty z analogicznymi tytułami, analogiczne fotografie z różnych okresów życia naszego ojca. W prawie wszystkich pisano o Fabiu i jego roli w polityce, w dwóch czy trzech również o Nicoletcie i jej telewizyjnym programie poświęconym problemom zdrowia. W jednym tylko napisano i o mnie, jako o „starszym synu, który zrezygnował z nauczania historii, by poświęcić się swojej pasji do morza”.

Fabio koncentrował się na stronach politycznych wszystkich gazet po kolei. Miał niecierpliwy i bardzo wyspecjalizowany sposób przebiegania wzrokiem liniiek w poszukiwaniu własnego nazwiska i innych nazwisk kluczowych: zatrzymywał się na tyle tylko, ile wymagało przyswojenie sobie najważniejszych wiadomości, i zaraz przechodził dalej, pociągał łyk kawy lub odgryzał kawałek pancake'a, przeglądał nadal, odrzucał gazetę na bok. Był to rodzaj gorączki, która utrzymywała go w stanie nerwowego podniecenia: stała myśl o trwającym święcie, które należy monitorować z daleka, by móc pojawić się na nim w odpowiednim momencie.

Zapytałem go „Robisz tak każdego rana?”

– Co? – jego oczy przebiegały linijki doniesień agencyjnych.
– Gazety, agencje prasowe i tak dalej?
– A jak sądzisz? – powiedział – Tutaj, mój drogi, jeśli nie potrafisz wiosłować dostatecznie szybko, raz dwa znosi cię prąd. W dwie minuty stajesz się punkcikiem w głębi rzeki, nikt cię już nie dostrzega.

Wydało mi się grzechem to posłużenie się metaforą z zakończenia mojej ulubionej powieści dla wyrażenia gorączki polityka zmuszonego dotrzymać kroku wydarzeniom, ale potem pomyślałem, że w gruncie rzeczy jest trafna. Spytałem Jak ci idzie z tym wiosłowaniem?”

– Nieźle – odpowiedział półgębkiem, bo odpowiadał właśnie na przysłany mu SMS. – Ty nie czytujesz gazet?

– Rzadko. – Patrzyłem na gazety leżące na stole, gdzie jedliśmy śniadanie, ogołocone już z najważniejszych wiadomości, jakie zawierały.

– A tobie jak idzie? – zapytał Fabio, podnosząc oczy na mały telewizor, na którym widać było jednego z podsekretarzy, zajętego odgrywaniem bardzo rozważnie swojej roli.

– Nieźle. Piszę książkę o katastrofach morskich.

– Jakiego rodzaju katastrofach? – zapytał podejrzliwie. Na komórkę przyszła kolejna wiadomość; przeczytał ją, potrząsnął leciutko głową.

– Na oceanie. To osiem różnych historii, od dziewiętnastego wieku do dzisiaj. – Wziąłem z patery kiwi, przeciąłem je na pół, by zjeść łyżeczką. Nicoletta przeszła znowu korytarzem; zawróciła i weszła do kuchni, by nalać sobie kawy.

– A twoja praca? – zapytał mój brat, naciskając równocześnie szybko klawisze komórki, by odpowiedzieć na nową wiadomość. – Co ty tam robisz w tych bezludnych górach?

– To wzgórze – powiedziałem, zwrócony bardziej do Nicoletty, jako że on na mnie nie patrzył, a ona tak. – A pisanie książki też jest pracą. Przynajmniej na razie.

– A Ankona? – spytała Nicoletta. – Agencja turystyki morskiej i szkoła żeglarstwa?

Powiedziałem „To najsmutniejsze miasto portowe, jakie istnieje we Włoszech. Agencja przeszła na Simonę i Alberta, ale spłacili mi moją część. Myślę, że działalność komercyjna nie jest moją mocną stroną”.

Rozległ się sygnał komórki mojego brata, początek *In a Soul ful Mood* Johna Coltrane’a. Odpowiedział „Nareszcie, jest dziewiąta”, wymienił ze swoim rozmówcą parę zdań, których nie zrozumiałem. Podniósł się i włożył marynarkę, wziął kartki z doniesieniami agencyjnymi i pocałował żonę w głowę. Do mnie powiedział „Zobaczymy się później. Przecież zostaniesz parę dni, prawda?”

– Nie wiem – powiedziałem, ogarnięty nagle pragnieniem, by wyjechać natychmiast.

Zniknął w korytarzu, usłyszałem odgłos jego solidnych, skórzanych podeszew na klepkach parkietu.

Nicoletta patrzyła na mnie z pochyloną głową, zapytała „Co to znaczy, że nie wiesz?” Biała opaska frotte na czole nadawała jej jeszcze bardziej pozory kobiety-dziewczynki, która bawi się potencjalnie uwodzicielskim efektem swego wyglądu.

– Zależy, co tutaj jest do zrobienia. Jak tylko skończę, muszę wrócić do mojej książki. Jestem może w jednej trzeciej pierwszej wersji. – Przeciąłem na pół drugie kiwi, zanurzyłem łyżeczkę w zielonym, półprzezroczystym miąższu.

Ona powiedziała Jak to, co jest do zrobienia? Czasami mam wrażenie, że ty spadłeś z księżycy, Lorenzo. Trzeba odczytać testament twojego ojca, sprawdzić jego sytuację bankową, depozyty i inwestycje. Podzielić między ciebie i Fabia to, co zostawił, licząc w to meble, obrazy i inne wartościowe przedmioty, podjąć decyzje w sprawie publikacji, odprawić Luz, zakończyć płacenie świadczeń, zorganizować przeprowadzkę, opróżnić mieszkanie, które, jakkolwiek to

brzmi absurdalnie, było wynajmowane”.

– Ale ja tego nie chcę – powiedziałem z rosnącym poczuciem, że wpadam w pułapkę. – Weźcie wszystko ty i Fabio, ja niczego nie potrzebuję.

– Och, przestań. Nie bądź dziecinny. Zobaczysz, że przyda ci się parę groszy, zwłaszcza teraz, gdy nie masz pracy.

– *Mam* pracę – powiedziałem, speszony jej postawą.

– Oczywiście, książkę o katastrofach morskich. To będzie z pewnością żyła złota. Jak tamta o średniowiecznych piratach.

– To było o wikingach.

– Tak, tak, o wikingach. Śliczna. Ale nie sądzę, by znalazła się na szczycie międzynarodowej listy bestsellerów, prawda?

– Prawda – powiedziałem. – W każdym razie mam nadzieję, że nie była *śliczna*. To była poważna książka.

Pochyliła głowę z wyrazem irytacji; powiedziała „Uf, ależ jesteś nudny! Powiedziałam śliczna bez zastanowienia. Była wspaniała, w porządku? Kamień milowy w pojmowaniu ducha wikingów. Jesteś zadowolony?”

– Przestań się wygłupiać – powiedziałem. Taki był nasz podział ról, kobieta-dziewczynka w pełni świadoma reguł życia i mężczyzna-dziecko, który za wszelką cenę próbuje trzymać się z dala od niego. Tak było od początku, w ciągu naszej znajomości przerywanej długimi okresami pustki i nagłego dystansu.

Ona zerwała się, powiedziała Ja tu sobie mile gawędzę, a już powinnam być w telewizji”.

– Gdzie? – zapytałem, nie nadążając za jej zmianą nastroju.

– W *Dziękuję, dobrze, a ty?* Zaproсили mnie już miesiąc temu, nie mogę ich wystawić do wiatru.

– Słusznie – powiedziałem. – Baw się dobrze.

Spojrzała na mnie; powiedziała „Nie miałbyś ochoty pojechać ze mną, tak żebyśmy potem wstąpili razem do domu twego ojca i rozejrzeli się w sytuacji?”

Nie miałem ochoty, ale nie miałem też ochoty zostawać tutaj, w ich domu, czy krążyć samotnie po mieście, więc powiedziałem tak. Ona zadzwoniła od razu do studia telewizyjnego, by powiedzieć, żeby nie przysyłali po nią samochodu, że przyjedzie na własną rękę.

Włożyłem kurtkę, czekałem prawie pół godziny, krążąc między salonem, tarasem i drzwiami wejściowymi, zanim była naprawdę gotowa do wyjścia.

Przecieliśmy miasto w kierunku północnym

Przecieliśmy miasto w kierunku północnym, w superkrótkim samochodzie Nicoletty z otwieranym brezentowym dachem. Prowadziła nerwowo przez zatłoczone ulice: jechała zygzakiem między innymi samochodami; przejeżdżała skrzyżowania na żółtym świetle, ścinała zakręty gwałtownymi ruchami kierownicy. Co jakiś czas odpowiadała na telefony z pracy lub od przyjaciół, sprawdzała swój wygląd w lusterku wstecznym, szukała czegoś w leżącej za nią kubelkowej torebce, wsuwała płytę do odtwarzacza stereo, by mi zaprezentować jakiś kawałek, wyciągała ją, by wziąć inną z deski rozdzielczej czy z podłogi pod moimi nogami. Obserwowałem wszystkie te ruchy z pewnym napięciem, z prawą ręką zaciśniętą na uchwycie.

– O co chodzi, nie masz do mnie zaufania? – zapytała w pewnej chwili.

– Ależ tak – powiedziałem, zapierając nogi w dywanik w przewidywaniu gwałtownego hamowania.

– A właśnie, że mi nie ufasz. Typowe dla mężczyzny, gdy za kierownicą siedzi kobieta! Musisz wiedzieć, że ja w życiu nie miałam wypadku! Zrobiłam też kurs szybkiego prowadzenia, z tych na serio.

– To widać. – Próbowałem przyjąć pozycję bardziej odprężoną, ale wielokierunkowa symultaniczność jej ruchów kazała mi się trzymać sztywno. Żeby o tym nie myśleć, obserwowałem mechaniczne życie pojazdów i życie ludzi za szybą: koła i boki samochodów w nieprzerwanym ruchu, twarze innych kierowców, wystawy sklepów, różne sposoby chodzenia po chodnikach, grupy i wymiany spojrzeń na skrzyżowaniach. Każdy szczegół przywoływał wrażenia bardzo blisko mi znane i bardzo odległe, lęk przed odcięciem korzeni, ulgę, że nie jestem zakorzeniony. Zastanawiałem się, jak to musi być dla Nicoletty i Fabia czuć się bezspornie częścią jednego miejsca i wykonawcą jednej roli, trzymać pod kontrolą wszystkie kodeksy i wszystkie mapy, każdą trasę uliczną i osobistą, wypróbowaną i przyswojoną, by poruszać się bez wahań i niespodzianek z jednego miejsca w drugie, od jednego gestu do drugiego, od jednego słowa do drugiego.

Przyjechaliśmy przed studia telewizyjne w czasie o połowę krótszym, niż gdybym prowadził ja, między ciąg magazynów i ramp kolejowych, pagórki tufu, rozjazdy autostrad i puste pola na północnych krańcach miasta. Nicoletta pokazała mi metalową konstrukcję, która przypominała zdychającego konia podtrzymywanego stalową liną, przed niskimi cementowymi budynkami przywodzącymi na myśl jakiś kompleks wojskowy czy więzienny; uśmiechnęła się. Przy rozjeździe zjechała w dół i zatrzymała się przed szlabanem. Strażnik w mundurze uklonił się jej, potem zażądał mojego dowodu, powolutku zawrócił do swojej opancerzonej budki i w końcu przyniósł mi w zamian powleczonego plastikiem kartonik z moim nazwiskiem pod napisem *Gość*. Nicoletta pojechała jeszcze z dziesięć metrów, zaparkowała w miejscu zarezerwowanym dla pracowników. Spojrzała po raz ostatni w lusterko wsteczne, poprawiła włosy: czuło się, jak rośnie w niej napięcie związane z występem publicznym.

W holu czekała na nas chuda asystentka ze studia; poprowadziła nas do windy, potem wzdłuż korytarza na pierwszym piętrze. Wskazała świetlny sygnał „Nagrywanie”, pałacy się nad drzwiami przypominającymi drzwi do kasy pancерnej czy lodówki w sklepie rzeźniczym, zamykanymi dźwignią, szepnęła „To tu”.

– Wiem, wiem – powiedziała Nicoletta; wyjaśniła suchym tonem, że tutaj, aż do ubiegłego czerwca, nagrywała swój program poświęcony informacjom medycznym. Z innych drzwi wyszła dziewczyna ze zniszczoną cerą, asystentka reżysera, i podeszła, by się przedstawić.

Nicoletta, nie patrząc na mnie, machnęła ręką w moim kierunku, powiedziała „Mój szwagier, Lorenzo Telmari”.

Asystentka reżysera uściśliła mi rękę bez żadnego zapachu, zapytała „Wejdzie pan w czasie najbliższej przerwy na reklamy czy zaczeka na następną?”

Odparłem „Nie wiem”, pomyślałem, że tak naprawdę wolałbym zostać tutaj.

– Zaczeka na następną – powiedziała za mnie Nicoletta.

Poszedłem za nią i asystentką w głąb korytarza, do salki pełnej luster, gdzie charakteryzatorka posadziła Nicolettę na jednym z foteli. „Nie za dużo, dobrze?” powiedziała Nicoletta.

– Dobrzedobrzedobrze – powiedziała charakteryzatorka. – Tylko muśnięcie, tycietycie. – Wzięła pędzel i zaczęła posypywać twarz pudrem, a przez ten czas, gdy Nicoletta siedziała z zamkniętymi oczami, asystentka czytała jej plan pytań.

Ponieważ sytuacja wydała mi się prywatna, obszedłem po raz drugi korytarze. Zobaczyłem dwa przejeżdżające wózki z talerzami makaronu, kurcząt i ryb, które wyglądały na sztuczne, miskami selerów i marchewek, barwionych być może i powleczonych plastikiem. Nadszedł inny asystent, popychając przed sobą faceta w fartuchu, jakie noszą w szpitalach czy sklepach z wędlinami, i dziewczynę na bardzo wysokich obcasach, z pepkiem na wierzchu, przekazał ich swemu koledze, który gdzieś z nimi odszedł. Dalej były biura, w drzwiach ukazywali się pracownicy lub dziennikarze, którzy pili kawę, rozmawiali ze sobą czy przez komórki albo patrzyli tępo przed siebie. Panowała atmosfera bezustannego dryfowania, przerywanego od czasu do czasu błyskawicami szaleństwa werbalnego i motorycznego, dzwonieniem komórek, wymianą oskarżeń, nerwowymi krokami i bieganiem, po których następowała kolejna faza prawie całkowitego zastoju.

Kiedy wróciłem do charakteryzatorki, Nicoletty i charakteryzatorki już tam nie było. Rozglądałem się właśnie, gdy nadbiegła chuda asystentka, mówiąc „Prędko, prędko, zaraz zamkną”. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła korytarzem za dźwiękoszczelne drzwi, wzdłuż czarnych paneli i porozciąganych kabli, w oślepiające światło i jaskrawe kolory studia. Poleciała mi zająć miejsce na małym podeście, gdzie siedziało koło tuzina osób tworzących publiczność, i zaraz odbiegła.

Scenografia przedstawiała fikcyjny salon z fałszywymi oknami, przez które widać było góry i morze, Koloseum, wieżę w Pizie, wenecką lagunę. Prowadzący i prowadząca, którym skończono właśnie poprawiać makijaż, żartowali i opowiadali coś sobie po cichu z technikami i asystentami. Zdawali się oszołomieni swoją pozycją bohaterów drugoplanowych i stałą podległością, z twarzami kryjącymi brak złudzeń pod warstwą szminki, włosami napuszonymi przy pomocy suszarki i lakieru. Na dany znak jakiś głos krzyknął „Cisza w studiu!”, a oni poprawili się na fotelikach w fikcyjnym salonie. Prowadzący powiedzieli coś na temat pogody, po czym prowadząca oświadczyła Jest z nami dziennikarka, żona i mama: Nicoletta Fomasetti!”

Rozległa się radosna muzyka typu na-przyjście-gości i Nicoletta weszła przez fałszywe drzwi z uśmiechem, który wydawał się doskonale naturalny. Usiadła na wolnym foteliku, poprawiła włosy, roześmiała się w odpowiedzi na szarmancki komplement prowadzącego.

Patrzyłem i słuchałem jej, siedząc wśród publiczności, w ciepłe światła, które moje wiejskie ubranie czyniło nieznośnym. Uderzał mnie jej pozorny spokój w zestawieniu z napięciem, w jakim była tuż przed wejściem tutaj, sposób odgrywania roli dziewczyny dobrze wychowanej i szczęśliwej w małżeństwie, pozwalający na ukazanie, w zależności od pytania, zarówno aspektów frywolnych, jak i poważnych.

Na monitorach ukazało się nadane z reżyserki zdjęcie małej Nicoletty trzymanej na ręku przez ojca, dyrektora Muzeum Historii Naturalnej, potem Nicoletty nastolatki na motorynce

przed liceum, Nicoletty dwudziestoletniej w kostiumie kąpielowym w otoczeniu przyjaciół i przyjaciółek, Nicoletty w kombinezonie motocyklisty z moim bratem Fabiem w czasie podróży do Afryki, Nicoletty z moim bratankiem Tommaso na tarasie domu, Nicoletty z Fabiem i Tommasem na audiencji u papieża w Watykanie.

Nicoletta zdawała się zaskoczona tymi zdjęciami, jak gdyby to nie ona wybrała je starannie, jedno po drugim, i przekazała redakcji. Mówiła „O Boże”, mówiła „Matko boska”, mówiła „Niee”, mówiła „Ach”; spoglądała na prowadzącego lub prowadzącą, poprawiała włosy, uśmiechała się, przytakiwała z miną autoironiczną czy nostalgiczną albo wzruszoną czy pobłażliwą, w zależności od przypadku. Dwie kamery ukazywały na przemian pierwsze plany i plany całej postaci pod różnymi kątami, zawężyły ujęcia do jej rąk czy oczu, czy nóg, zgodnie ze wskazówkami z reżyserki.

Prowadzący i prowadząca mówili o Nicoletcie dziennikarce i Nicoletcie żonie mojego brata, i Nicoletcie matce mojego bratanka, i o tym, jak trzy role uzupełniają się z cudowną równowagą, nie kradnąc nigdy czasu jedna drugiej. W pewnej chwili prowadząca zapytała „Słowem, Nicoletto, na czym polega sekret bycia kobietą wszechstronną? Możesz to nam, zwykłym śmiertelnikom, powiedzieć?”

Nicoletta uśmiechnęła się znowu z wyrazem wielkiej skromności i prostoty, powiedziała „Czas, czas, czas. Jedyńm sekretem jest to, by móc znaleźć czas na wszystko i dla wszystkich”.

Jeden z asystentów w studiu dał sygnał „bicie brawo”: słabe oklaski nielicznej publiczności zostały przemieszane na poczekaniu z aplauzem z taśmy, mocniejszym i bardziej przekonującym. Potem prowadzący wskazał palcem na jedną z kamer i z wyrazem pozornej rezygnacji powiedział „Reklamy”. Nicoletta podniosła się ze swego fotelika, ucisnęła rękę jemu i jego koleżance i wyszła szybko za jednym z asystentów ze studia.

Ja też wyszedłem, korzystając z tego, że hermetyczne drzwi studia były otwarte; czekałem na Nicolettę prawie dwadzieścia minut między korytarzem a podestem z windami, wśród przechodzących gości i asystentów, i urzędników. Myślałem o wczorajszym poranku: o gromadce przyjaciół i znajomych mojego ojca, którzy czekali na jakieś końcowe słowa, o wieńcach z kwiatów niszczonej tuż po przyjeździe na miejsce przeznaczenia, o dziewczynie z miodoworudymi włosami i jej pytaniach, o tym, jak odeszła bez słowa. Myśl, że będę musiał zostać w Rzymie przez wiele dni, by rozwiązać problemy spadkowe, przerażała mnie, ale nie miałem też specjalnej ochoty wracać do mojego kamiennego domu w śniegu, by na stole przy kominku, w którym płonie ogień, odtwarzać historie przeładowanych szalup i morskich prądów.

W końcu nadeszła Nicoletta z idącą za nią chudą asystentką, powiedziała „Przepraszam cię, ale tu za każdym razem można oszaleć, te wszystkie oświadczenia do podpisania, te wszystkie do widzenia i różne pogaduszki”.

– Wyobrażam sobie – powiedziałem.

Nicoletta odwróciła się do asystentki, mówiąc z rozdrażnieniem „Dziękuję, jesteśmy w stanie wyjść sami”.

W windzie milczeliśmy, ona poprawiała swój rdzawy płaszcz. Wyszliśmy przez oszklone drzwi i poszli w stronę miejsca, gdzie został nasz samochód. Na chodnikach i na środku drogi między cementowymi budynkami stali prezenterzy i prezenterki dzienników telewizyjnych, dziennikarze od gospodarki i sportu, którzy rozmawiali i palili papierosy. Nicoletta zamieniła z nimi kilka zdań, nie zatrzymując się, posyłając ręką pocałunki.

Zaledwie ich minęliśmy, powiedziała „Jeśli myślisz, że ja mam w pracy Bóg wie jakie przywileje ze względu na Fabia, grubo się mylisz”.

– Dlaczego miałbym tak myśleć? – odparłem, chociaż naturalnie tak właśnie myślałem.

– Jest raczej wręcz odwrotnie.

Odwrociłem się, by spojrzeć na osobników, których właśnie pozdrowiła: oni też na nas patrzyli.

– Nie masz pojęcia – powiedziała Nicoletta. – Zrezygnowałam z programu medycznego właśnie z powodu stałej wojny podjazdowej, jaką prowadzili ze mną z powodu Fabia. Zmiany planu w ostatniej chwili, bezsensowne kruczki związkowe, ciągle zakulisowe żądania, wiercenie dziury w brzuchu prośbami wszelkiego rodzaju. Nie masz pojęcia.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? – odparła z nutą rozdrażnienia w głosie. – Dlatego, że nie ma tutaj takiego naczelnego czy dyrektora, czy prowadzącego, czy reżysera, czy prezentera, czy aktora, czy asystenta, czy technika, czy gońca, który by się nie powoływał na jakąś partię.

Pomyślałem, że lepiej to przemilczeć; powiedziałem „Ba, ty też się powołujesz na Mirt Demokratyczny, no nie?”

– Ja nie powołuję się na nikogo – odparowała. – Zresztą wymienić partię to nie dosyć, my tu mówimy o *odłamach* partii. Mówić o powoływaniu się jest też zbyt ogólnikowe. My mówimy o chodzeniu *do łóżka*, chodzeniu *na kolację ze śniadaniem*, chodzeniu *na mecz w niedzielę rano*.

Przytaknąłem ruchem głowy, lecz nadal uważałem, że jej postawa niewiele różni się w gruncie rzeczy od tamtych, mimo nobilitacji, jaką daje jej związek małżeński i wyższy poziom znajomości świata.

Nicoletta otworzyła pilotem drzwi samochodu; powiedziała „To Włochy, Lorenzo. Nieustająca wojna gangów. Klan przeciw klanowi, rodzina przeciw rodzinie. Gdzie poparcie krewnego i podkopanie sąsiada liczy się o wiele więcej, niż zrobienie czegoś dobrego. A potem się dziwisz, że nasza telewizja budzi niesmak?”

– Nie dziwię się – powiedziałem.

Zawróciliśmy w stronę miasta. Nicoletta odebrała dwa albo trzy telefony i tyleż razy sama zadzwoniła; ja, dla zabicia czasu, przeglądałem instrukcje dla użytkownika samochodu.

Potem jechaliśmy wzdłuż Tybru i czekaliśmy na czerwonym świetle, by skrócić do byłego domu moich rodziców, a ona spojrzała mi w oczy i powiedziała „Ja naprawdę nie jestem taka, co ciągle narzeka, Lorenzo. Ani trochę. Mam fantastyczną pracę, wspaniałą rodzinę, mieszkam w mieście najpiękniejszym na świecie, na co miałabym narzekać?”

– Właśnie – powiedziałem, nieco zażenowany tym jej sposobem autoprezentacji.

Ona znowu zmieniła ton: ścisnęła mnie za ramię, powiedziała „Wiesz, jakim strasznym ciosem była i dla mnie śmierć twojego ojca, prawda?”

Skinąłem potakująco głową; odwróciłem się, by spojrzeć na portiera Giannię, który stał na schodkach przed wejściem.

Krażyliśmy po dawnym salonie mojego ojca

Krażyliśmy po dawnym salonie mojego ojca, gdzie Luz kończyła myć okna, poruszając się bezgłośnie. Nicoletta pełna była jeszcze swoich sprzecznych napięć: odpowiedziała na telefon z pracy, przejrzała kilka biletów i telegramów z kondolencjami, które leżały na stole, poprawiła kwiaty w bukietach przysłanych przez pojedyncze osoby i organizacje.

Przyglądałem się obrazom na ścianach: prawdę mówiąc, nie chciałem żadnego z nich przy podziale, jakiego mieliśmy dokonać z moim bratem, miałem wrażenie, że one swoje miejsce w moim życiu już miały. Patrzyłem na grzbiety książek w szafach bibliotecznych, należące do naszej matki zbiory poezji, dziewiętnastowieczne powieści rosyjskie, dwudziestowieczne amerykańskie, wydanie *Encyklopedii brytyjskiej* z czasów, gdy ja i Fabio byliśmy dziećmi. Myślałem o nierzadkich okazjach, gdy któryś z członków naszej rodziny przerzucał stronicę jednego z tomów oprawionych w czerwoną sztuczną skórę, by znaleźć potwierdzenie dla jakiegoś punktu rozmowy: o złudnej wierze w definitywne wyjaśnienie sprawy, jakie wiązało się z tym za każdym razem. Myślałem o uwadze, jaką ojciec i matka poświęcili trudnej do określenia liczbie stron zamkniętych między okładkami na półkach; o ich wrażeniach, wyobrażeniach i ideach, które weszły w obieg, o czasie, który płynie bardzo powoli, a na końcu, w ciągu jednej chwili, kurczy się i staje zupełnie niepostrzegalny.

Poszedłem do gabinetu ojca obok salonu, popatrzyłem na jego biurko przy oknie, jego szwedzkie krzesło bez oparcia, jego wieczne pióro, okulary, koperty po listach z egzotycznymi znaczkami, różnokolorowe teczki, szklankę pełną ołówków, żółty marker, ryżę papieru w płaskim pojemniku na korespondencję, paczkę nowych kopert. Pomyślałem, że właściwie nie wiem prawie nic o jego życiu osobistym czy publicznym, tylko trochę o jego życiu rodzinnym, dopóki była jeszcze rodzina. Pomyślałem także, może po raz pierwszy, że mogę liczyć w dziesiątki lat moje dotychczasowe życie, i że jedno życie zawiera jedynie ograniczoną liczbę tych dziesiątek.

Nicoletta zapukała do otwartych drzwi; zajrzała z pewnym wahaniem, jakby chciała złagodzić ewentualne pogwałcenie intymnego nastroju. Zapytała „Przeszkadzam ci? Chcesz zostać sam?”

– Nie, nie – powiedziałem, lekko zakłopotany. – Ja tylko patrzyłem. – Zatoczyłem ręką ruch obejmujący biurko i inne meble, oszklone szafy biblioteczne wzdłuż ścian.

Otwarłem drzwi jednej z nich, by lepiej widzieć książki: były to same prace naukowe, niektóre bardzo świeże, inne bardzo stare, w języku włoskim i angielskim, francuskim i hiszpańskim, ustawione starannie w grupy tematyczne. Wyciągnąłem jakiś tom w brązowej, zniszczonej na rogach okładce, z nadrukowanym małymi złotymi literami tytułem *Występowanie żółtej febry w Afryce Południowej*. Na odwrocie strony tytułowej napisane było „Rzym 1942”. Zastanawiałem się, czy ojciec kupił ją jako student zaraz po opublikowaniu, czy nabył z ciekawości wiele lat później u jakiegoś sprzedawcy staroci. Wyciągałem inne książki, Nicoletta robiła to samo. Myślałem o ojcu, który przerzucał je powoli, dołączając zawarte w nich dane do tych, które zgromadził na drodze studiów i doświadczeń.

Zapytałem Nicolettę „Według ciebie, co się dzieje z tym wszystkim, co ktoś wie, kiedy ten ktoś przestaje istnieć? Zapada się w nicość?”

Ona przeglądała ilustrowaną książkę o warunkach higienicznych w elżbietańskim Londynie; podniosła oczy, pokręciła wolno głową.

Powiedziałem „Czy jak ktoś opuszcza swoje dawne ciało, by przyjąć inną formę w innym

wymiarze, to wszystko, czego się domyślał, co zrozumiał, czego się nauczył, staje się nagle kompletnie bez znaczenia? Jediną częścią jego przeszłego życia, która zachowuje jakieś znaczenie, są uczucia i wrażenia?”

Ona zdawała się zakłopotana czy wzruszona, powiedziała „Bardzo bym to chciała wiedzieć”. Odłożyła książkę na miejsce, podeszła do mnie bliżej.

Przeglądałem nadal tom, który miałem w ręku, chociaż czułem jej oddech przy prawym uchu. Powiedziałem „Kiedy na przykład umiera jakiś wielki wiolonczelista czy pianista? Czy wielki wyplatacz krzesel? Gdzie odchodzi ta cała techniczna umiejętność, która poruszała ich palcami z biegłością na pozór niezniszczalną?”

– Ba – powiedziała Nicoletta, owiewając mi szyję ciepłym oddechem.

– Gdzie się podziewają cudowne owoce naturalnego talentu? Albo skrupulatnych, mozolnych prób zdobywania i gromadzenia?

– Kto to wie – odpowiedziała.

Odwróciłem się, by widzieć jej twarz, a ona spojrzała mi w oczy, spojrzała na moje wargi i nagle przyłgnęła do mnie i pocałowała mnie w usta, pchnęła mnie do tyłu z przedziwną nagłą determinacją. Uplłynęło kilka sekund, zanim zrozumiałem, co się dzieje, przez ten czas jej nacisk stawał się coraz bardziej natarczywy, a język natrętny, jej ręce dotykały mnie wszędzie. Książka upadła mi na ziemię, powiedziałem „Poczekaj”.

Ona powiedziała niewyraźnie „Mmmh Lorenzo”, uderzyła czołem w moje czoło.

Powiedziałem „Nicoletto”, cofając się, ale nie zdołałem się od niej oderwać.

Ona nadal ścisnęła mnie, popychała i całowała; położyła mi jedną rękę na wysokości pachwiny, oddychała głośno.

Próbowałem się odsunąć, ale nie byłem w stanie myśleć z całkowitą jasnością. To był dziwny rodzaj walki, ona, która przyciskała się do mnie, i ja, który cofałem się, bez żadnych wyjaśnień, a w każdym razie wyjaśnień uchwytnych w tym momencie, ponad granicami naszych ról i wieloletniej znajomości. Ale nie byłem podniecony ani w najmniejszym choćby stopniu pobudzony erotycznie; nie z powodu miejsca czy chwili, po prostu z braku jakiegokolwiek zaplecza gestów, słów czy myśli, które sugerowałyby kiedykolwiek taką możliwość między nami. Jedyne zainteresowanie seksualne, jakie kiedykolwiek mogła we mnie obudzić, było typu czysto hipotetycznego i automatycznego, jakie mężczyzna czuje przez ułamek sekundy wobec każdej napotkanej kobiety; poza tym widziałem ją zawsze jako żonę mojego brata, nieszczególnie pociągającą, miłą czy spontaniczną, ani towarzyską czy intelektualnie i emocjonalnie wolną.

Ona ujęła moją rękę i wsunęła ją sobie za bluzkę, przyciskając się do mnie z rosnącą natarczywością. Cofnąłem się jeszcze, uderzyłem o biurko; ona podążyła za mną. Opadłem plecami i głową między papiery i inne rzeczy mego ojca, przyduszony niemal ciężarem Nicoletty, ciepłem jej ciała, konsystencją jej lewej piersi i jej bluzki, jej ruchami, oddechem i zapachem miętowej gumy do żucia z jej ust. Potem oparłem ręce na jej piersi i zacząłem odpychać, delikatnie, lecz coraz mocniej.

Ona próbowała się opierać, ale stopniowo rozluźniła uścisk, przyciszyła oddech, przestała się do mnie przyciskać, odsunęła usta i pozwoliła się odepchnąć. Spojrzała na mnie z odległości półtora metra z wyrazem dziecięcej prawie urazy na twarzy. Wyprostowała się, obciągnęła zakiet, sweter i bluzkę, jakby chciała mi powiedzieć coś bardzo ważnego, zanim odwróci się i odejdzie. Ale tylko odwróciła się, oparła czoło o półkę, na której rozstawiona była część ryb z kolekcji mego ojca, i zaczęła szlochać.

Podniosłem się, ogarnięty czułością i chwilowym poczuciem winy; dotknąłem jej ramienia, powiedziałem „Nicoletto?”

– Zostaw mnie! – wybuchnęła. Wyszła na korytarz, otworzyła kilkoro drzwi, wsunęła się do pokoju, który zajmowałem jako dziecko.

Wszedłem za nią między sprzęty zestawione przypadkowo po ostatnim przemeblowaniu, dokonany jeszcze przez moją matkę.

– Wyjdź stąd! – powiedziała. Nicoletta pośród łkań, trzęsąc się, czerwona na twarzy. – Skoro tak się mnie brzydzisz!

– To nieprawda – odparłem, starając się bezskutecznie mówić tonem zrównoważonym. – To nieprawda.

Nicoletta potrąciła stary stolik, podeszła do okna. Powiedziała „Nigdy w życiu nie zostałam tak upokorzona! Nawet przez twojego brata!”

Próbowałem oddzielić myśli i wrażenia, jakie miałem w tamtym pokoju, od tego, co czułem tutaj; powiedziałem „Nie miałem naprawdę żadnego zamiaru upokorzyć cię. Żadnego”.

– Zrobiłeś to jednak! Udało ci się znakomicie!

– Ale nie chciałem.

– A ja, kretynka, dałam się zwieść twoim cholernym pozorom mężczyzny wrażliwego, który żyje z dala od świata i potrafi zrozumieć i ocenić w kobiecie to, czego inni mężczyźni nawet nie widzą!

Próbowałem dotknąć znowu jej ramienia, powiedziałem „Weź głęboki oddech”.

Ona nie wzięła żadnego oddechu; krzyknęła Jesteście z jednej gliny, ty i Fabio! Dwa egocentryczne łajdaki, które myślą, że wszystkie kobiety mają u stóp!”

– Ależ wcale tak nie jest – powiedziałem, bo nie tylko siebie nie rozpoznawałem w jej opisie, ale nie mogłem w nim także rozpoznać mego brata.

– *Jest* tak! – powiedziała ona, tonem jeszcze bardziej rozdrażnionym. – Czy chcesz, żebym ci zrobiła listę kobiet, z którymi twój brat kręci? Co?

– Jakich kobiet? – zapytałem z niedowierzaniem, które sprawiło, że myślałem bardzo wolno.

– Takich, które się pieprzy! – odparła przez łzy. – No więc jest Giulia, jego droga asystentka. Bardzo inteligentna, niezwykła dziewczyna. Rosanna, żona jego wielkiego przyjaciela Zighellego. Ta zdzira Marcella Carbonai, która dzięki niemu będzie bohaterką filmu o świętej Teresie. Paola Sottomauro, która zeszłego roku pojechała z nami na wakacje do Hiszpanii, z kochanym mężusiem, co za Fabia poszedłby w ogień. Natalia Girga, która teraz ma wyłączność na komentarze polityczne w trzecim dzienniku wieczornym, ze swoją twarzą mrówki i akcentem nie do przyjęcia! I to są tylko te, o których coś wiem!

– Czy mówimy o tym samym Fabiu? – zapytałem, pamiętałem bowiem, że mego brata, gdy byliśmy chłopcami, a potem dorosłymi młodymi ludźmi, właściwie póki nie zszedł się z nią, paraliżowała niemal nieśmiałość wobec dziewcząt.

– Tak, o tym samym pieprzonym Fabiu Telmarim! – krzyknęła Nicoletta, wargi jej się trzęsły. – O twoim szacownym braciszku, fałszywym i zdemoralizowanym, który odkrył, że za pomocą polityki może brać sobie wszystkie dziewczuszyska i kobitki, i kurwy z całych Włoch, nie czyniąc przy tym najmniejszego wysiłku!

– Jesteś tego pewna?

– Zupełnie pewna! Mam *dowody*!

– W jakim sensie?

– W takim sensie, że ubiegłej wiosny wraca do domu Tommaso i mówi „Tata przysłał mi idiotyczny SMS”. Pokazuje mi go, a tam jest napisane „Biszkopciku słodki, wczoraj doprowadziłaś mnie dosłownie do szaleństwa!”

– Do Tommasa?

– Do Tommasa, który słusznie mnie pyta, czy jego ojcu zupełnie odbiło. Potem, kiedy wraca Fabio, mówię mu „Wiesz, tak się spieszyłeś, że posłałeś synowi wiadomość dla jakiejś twojej kochanki”, a on mówi „Pokaż”, czyta i z pokerową twarzą mówi mi „Nie, to było właśnie do Tommasa, chciałem napisać doprowadziłeś”. A ja mu mówię „Ach tak, a co by to znaczyło, że doprowadził cię dosłownie do szaleństwa?” A on mówi „Bo wcale się nie uczy, no nie?” Rozumiesz, co za kłamliwy skurwysyn, obłudny do szpiku kości?

– Nie.

– A właśnie, że rozumiesz doskonale – powiedziała. – Choćby dlatego, że ten skurwiel nigdy w życiu nie nazwał syna „słodkim biszkopcikiem”! I od kiedy to przesyła mu liściki z samego rana? Ale ja, głupia, daję się przekonać, biorę za dobrą monetę jego pierdoły!

– Może właśnie tak było – powiedziałem.

– Gównu prawda! Zresztą w lipcu przychodzi do niego SMS, o północy, gdy stoi pod prysznicem, a ja go bezmyślnie odczytuję, i jest tam zdanie typu „Całusek na dobranoc od twojej gorącej koteczki”!

– Do Fabia?

– Nie, do mojej babci! Pewno, że do Fabia! To była jego komórka! Nie masz się czego tak dziwić!

– I co ty zrobiłaś?

– Ledwo wyszedł spod prysznica, mówię mu „Przeczytaj sobie, co do ciebie przyszło”, a on ledwie rzuca okiem i wzrusza ramionami, mówi, że to taki żarcik jednego z przyjaciół. Nadal z tą cholerną pewnością siebie zawodowego fanfaron, rozumiesz? To przecież jego praca, wciskać wszystkim kit przez cały boży dzień! Wszystkim! Ja mu mówię „Świetnie, to teraz zadzwonimy do twego przyjaciela i pośmiejemy się wszyscy troje, dobrze?”

– A Fabio?

– Oczywiście, nie chciał o tym słyszeć. Już nie wiem, jakie zmyślił wymówki, próbował wyrwać mi komórkę z ręki. Więc spojrzałam na „wiadomości wysłane” i było tam *pięć* imion kobiecych, jedno za drugim! A żeby było szybciej, twój szacowny braciszek przesłał tę samą pieprzoną wiadomość do wszystkich pięciu, *seryjnie!* W rodzaju „Dotykam cię w myśli między nogami” czy jakieś inne żalodne pseudoerotyczne pierdoły w tym stylu!

– Seryjnie? – zapytałam.

– Tak, seryjnie! W końcu udało mu się wyrwać mi z ręki komórkę, wyjął kartę SIM, wrzucił ją do sedesu i spuścił wodę! Zdajesz sobie sprawę? Zdajesz sobie sprawę?

– A potem co zrobił? Z komórką?

Ona spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała; powiedziała „Pewno rano kupił nową kartę. Co za idiotyczne pytania zadajesz, Lorenzo?”

– Nie wiem, tak się zastanawiałem.

– W każdym razie, teraz twój braciszek ma *trzy* komórki. Jedną do pracy, jedną dla rodziny i jedną dla kochanek. I na tę bardzo uważa, żeby znów jej gdzie nie zostawić, na to możesz przysiąc.

– Przykro mi – powiedziałem, mając przed oczami niewyraźny obraz mego brata jako seryjnego uwodziciela.

– Mnie o wiele bardziej przykro – powiedziała Nicoletta. – Zapewniam cię.

Przemilczałem to, nie wiedziałem, czy mam również czuć się winny dlatego, że nie pozwoliłem jej wyrównać częściowo rachunków małą zemstą seksualną w rodzinie.

Nicoletta wyciągnęła chustkę z kieszeni żakietu, wytarła nos. Powiedziała „Łajdaki”, ale nie było jasne, czy tyczy to mnie i Fabia, czy całego rodzaju męskiego.

Zapytałem „Ale gdzie on na to znajduje czas? Czy nie dosyć jest już pochłonięty tymi

wszystkimi kombinacjami politycznymi?”

– Znajduje, znajduje. Tak samo, jak go znajduje na to, by chodzić do telewizji i do radia, i na inauguracje, i na zebrania różnych organizacji, i na wernisaże, i na całą resztę. *To* też są kombinacje polityczne.

– No dobrze, ale gdzie on te kobiety zabiera? Nie sądzę, żeby mógł wodzić się z nimi swobodnie po rzymskich parkach i kawiarniach, prawda?

– Jakie tam kawiarnie i parki – powiedziała Nicoletta, teraz znowu opanowana, choć z makijażem odrobinę rozmazanym przez łzy i zaczerwienionym czubkiem nosa. – Któryś z jego drogich przyjaciół użył mu pied-a-terre albo właściciel jakiegoś hotelu, któremu pomógł uzyskać licencję, odda mu do dyspozycji apartament.

Palily mnie lekko policzki z powodu wcześniejszego konfliktu i wzburzenia, trudno mi było jeszcze uzmysłwić sobie konkretnie tę sytuację. Zapytałem, Ale jak on tam idzie? Zakłada okulary i sztuczną brodę w nadziei, że nikt go nie rozpozna i nie wezwie jakiegoś dziennikarza?”

– Dziennikarze, wiesz, nie są w tym kraju niebezpieczni – odparła Nicoletta, z twarzą ściągniętą nerwowym grymasem. – Niech ci to powie któryś dziennikarz. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach są porównywalni do kategorii lokajów, z całym szacunkiem dla lokajów.

– Mówisz?

– Mówię, panie Kandydzie od siedmiu boleści. Spróbuj znaleźć mi jednego, który byłby gotowy zaryzykować miejsce i przywileje zawodowe dla grzebania się w życiu prywatnym jakiegoś polityka. Wszyscy warują po korytarzach ministerstw i siedzib partii, czekając z wywieszonym językiem na jakieś pełne komunałów oświadczenie.

– Do licha.

– Albo, jeśli już muszą opuścić te siedziby, idą oblegać dom kogoś, kogo dopiero co zamordowano, by móc spytać członków rodziny, czy przebaczyli zabójcom.

– Piękny obraz – powiedziałem.

Ale ona nie chciała oddalać się zbyt od poprzedniego tematu: powiedziała „Pomyśl, że praktycznie wszyscy politycy włoscy na jakiś poziomie mają przynajmniej po jednej kochance, łącznie z tymi, którzy posiadają najbardziej konserwatywny i świętoszkowaty elektorat. I że ich manewry seksualne są śmiechu warte w porównaniu z innymi manewrami. Byłoby o czym pisać, gdyby ktoś miał ochotę”.

– A dlaczego ty nie pisesz? – zapytałem.

– *Ja?* – powiedziała ona, jak gdyby usłyszała najbardziej absurdalne z pytań. – Myślisz, że dałoby się to tak łatwo pogodzić z faktem, że jestem żoną Fabia? A zresztą moją działką jest *popularyzacja naukowa*, a nie śledztwo dziennikarskie.

Spojrzałem na kilka fotografii moich i Fabia na jednej z półek: my dwaj razem na konikach szetlandzkich w zoo; Fabio w kombinezonie do nurkowania z ośmiornicą w ręku; ja w stroju aikido; Fabio w stroju polityka na Kapitolu; ja przy sterze mojej starej łodzi, doprowadzonej do porządku z takim nakładem czasu i takim wysiłkiem, a teraz sprzedanej.

Nicoletta spojrzała w sufit, jakby chciała przywołać do porządku swoje przewody łzowe, ale w chwilę potem pochyliła się do przodu i zaczęła łkać jeszcze silniej niż przedtem, zasłaniając oczy ręką.

Powiedziałem „Nicoletto, już dobrze”.

– Gównno tam dobrze! – odparła. – Ten zasraniec! Po tych wszystkich *latach* zmarnowanych na podtrzymywanie go i dodawanie mu odwagi! Kiedy był biednym nowo wybranym posłem, uczciwym i naiwnym, który znalazł się nagle w środowisku zbyt dla niego brudnym i bezwzględny!

– Wszyscy popełniamy błędy – powiedziałem, chociaż zdawałem sobie sprawę, jak

bardzo brzmi to banalnie.

– To ja popełniłam błąd, wierząc mu! Wspierając go, dumna jak kretyńka, kiedy zaczął robić karierę w partii! Udzielając mu rad, jak ma się poruszać i mówić podczas wywiadów! Dodając otuchy za każdym razem, gdy dostawał kryzysu nerwowego i wracał do domu, by się wypłakać na moich kolanach. Okazując wyrozumiałość, gdy wieczorem mówił mi, że jest zbyt zestresowany, by uprawiać seks, biedaczek!

Próbowałem zrobić minę odpowiednią do sytuacji, ale jakoś mi nie wychodziła; kiwałem więc tylko potakująco głową.

Nicoletta powiedziała „Ile razy prosiłam go, żeby się zajął swoim synem, a on odpowiadał, że nie ma czasu! Że nie ma czasu, rozumiesz?!”

– Tak – powiedziałem; myślałem o moim bratanku siedzącym z łokciami na stole i głową opuszczoną nisko nad talerzem, zamkniętym szczelnie w swojej niekomunikatywności.

Ona zdawała się pochłonięta bez reszty rozpatrywaniem przyczyn swoich nieszczęść, a tymczasem w pewnym momencie wytarła znowu nos, spojrzała na zegarek i powiedziała „Muszę iść do gazety”.

Nagłość tego przejścia zupełnie mnie zaskoczyła; żeby coś powiedzieć, zapytałem „Nie chcesz, żebyśmy przedtem coś zjedli?”

Ona przeciągnęła grzbietem prawej ręki po oczach; powiedziała „Dziękuję bardzo, nie mam czasu”.

– Jesteś pewna?

– Jak najpewniejsza – powiedziała sucho. Pozwól mi się przynajmniej trochę ogarnąć, nie chcę wyglądać jak zombi. – Wyszła z mojego dawnego pokoju, wsunęła się do łazienki na końcu korytarza.

Poszedłem w stronę kuchni, by się czegoś napić, ale poczułem w powietrzu silny zapach spalenizny.

Luz kasłała w gryzącym dymie, zdejmując z pieca rozpalony garnek. Wstawiła go do zlewu i odkręciła kurek z zimną wodą; buchnęła biała para, garnek zaskwierczał wściekle. „Ryż, zapomniałam o nim”, powiedziała.

– Zdarza się – odparłem, myśląc, że najprawdopodobniej to ja i Nicoletta odwróciliśmy jej uwagę naszymi głosami, a może i naszym przesuwanym mebli.

Wkrótce potem Nicoletta zajrzała do kuchni, zapytała „Czy to dom się pali?”

Ja i Luz wyjaśniliśmy jej, co się stało, otwierając równocześnie okna i drzwi, by zrobić przeciąg.

Ona całkowicie wróciła do siebie: wykonała jeden ze swoich nienaganych uśmiechów kobiety-dziewczynki, żony, mamy i profesjonalistki, trzeźwej, zrównoważonej i superzorganizowanej. Przyszła do salonu, gdy właśnie tam również otwierałem okna, zebrała telegramy kondolencyjne, na które musiała odpowiedzieć razem z Fabiem, wydała Luz kilka konkretnych dyspozycji, ucałowała mnie w policzki z ascetycznym wdziękiem, wyszła przez otwarte drzwi.

Wyszedłem na balkon, by zaczerpnąć powietrza. Patrzyłem na Tyber płynący między dwiema równoległymi rzekami jadących pojazdów, na nowe części miasta rozlane po brzegach i na wzgórzach w żółtym świetle.

Luz też wyszła na powietrze, kaszała; powiedziała znowu „Zapomniałam o ryżu”.

– Zdarza się – powtórzyłem.

Ona spojrzała na mnie swoimi ciemnymi oczami w twarzy o szerokich kościach policzkowych. Działała na mnie uspokajająco i przypominała czasy, gdy byłem dzieckiem, chociaż przyszła pracować do moich rodziców dopiero przed pięciu laty.

Pomyślałem, że prawdopodobnie znała mojego ojca lepiej, niż ja go znałem; chętnie zapytałbym ją o niego, ale nie potrafiłem. Zamiast tego powiedziałem „Co zamierzasz zrobić, kiedy skończymy opróżniać mieszkanie, i w ogóle?”

Ona wskazała ręką w kierunku horyzontu, powiedziała „Pojadę do domu. Potem wrócę do Włoch. Ale najpierw pojadę do domu”.

Chciałem ją zapytać o jej wioskę w Ekwadorze, ale ona odwróciła się w stronę salonu z twarzą nagle spiętą, powiedziała „Kto tam jest?”

Ja też spojrzałem, ale nic nie spostrzegłem.

Luz zawróciła bardzo szybko i zdecydowanie; usłyszałem jej krzyk „*Quepasa aqui? Madre de Dios, cabron maldito!*”, usłyszałem brzęk tłuczonych szyb czy porcelany rozsypującej się na kawałki.

Wbiegłem do środka, zobaczyłem ją stojącą wśród skorup wazonów i kwiatów rozrzuconych w kałuży wody. Wskazała na otwarte drzwi wejściowe, krzyknęła „Złodziej! Złodziej!”

Wyskoczyłem na podest, zdążyłem jeszcze zobaczyć jakiegoś faceta z głową pokrytą masą kręconych włosów, który biegł szybko w stronę schodów. Krzyknąłem „Ej! Stój!”, pobiegłem za nim, przyspieszając coraz bardziej kroku, nogi skaczące w dół po stopniach, ręka prześlizgująca się po poręczy, spojrzenie kontrolujące krawędzie. Zbiegałem po tych schodach kto wie ile razy przez te wszystkie lata, kiedy byłem spóźniony do szkoły. Czy kiedy nie mogłem się doczekać spotkania z dziewczyną, kiedy nie mogłem się doczekać powrotu do własnego życia po jakimś niekomunikatywnym obiedzie z rodziną. Znałem na pamięć wysokość stopni i wysokość poręczy, stopień śliskości szarego marmuru pod stopami, połączoną grę siły napędowej i odśrodkowej, i siły ciężenia. Na końcu każdego odcinka schodów rzucałem się w bok, przeskakiwałem po dwa lub trzy stopnie w dół.

Pomimo tego, facet z kędzierzawą głową schodził z tą samą prędkością co ja, nie pozwalając mi zmniejszyć przewagi tego półtora odcinka schodów, który dzielił nas od początku. Lecieliśmy w dół po schodach jeden za drugim, wśród odgłosów stukających i ślizgających się podeszew, szelestu ubrań i przyspieszonych oddechów, które zlewały się w jeden dźwięk wzmocniony odbiciem od gładkich i twardych powierzchni. Próbowałem także liczyć podesty, by zorientować się, w którym jesteśmy miejscu; sprawdzałem kątem oka wysokość przez oświetlające schody okna.

Facet z kręconymi włosami dotarł na parter: usłyszałem stuk zeskoku na równe nogi, dźwięk kroków biegnących po równej powierzchni. Wylądowałem może trzy sekundy po nim, z takim samym gwałtownym stuknięciem podeszew, przyspieszyłem na leżącym w holu zielonkawym dywanie, minąłem portiernię i Giannię, który właśnie podszedł do szyby, oszklone drzwi wejściowe, w trzech susach zbiegłem ze schodków prowadzących na ulicę. Na ulicy zobaczyłem wreszcie w całości faceta z kręconymi włosami: miał na sobie kurtkę z brązowego sztruksu, na silnych nogach dżinsy w kolorze musztardowym, obuwie sportowe, które z pewnością, w zestawieniu z moimi skórzanymi butami, dało mu przewagę w biegu po schodach.

Pobiegłem za nim z całą szybkością, do jakiej byłem zdolny, szybkością ożywioną nieokreślonym gniewem i instynktem obrony własnego terytorium, i niejasnością sytuacji, i frustracją związaną z faktem, że nie mogę go dogonić: wyciągałem nogi najszybciej jak mogłem, młóciłem powietrze rękami. Zmniejszyłem odległość o jakiś metr, w rękach czułem szaleńczą chęć pochwylenia go za kurtkę i czułem niemal konsystencję tkaniny w palcach, ale on niespodziewanie skręcił w prawo i wskoczył na siodło motorynki z zapalonym silnikiem, za kogoś w białym kasku i kolorowym płaszczyku, z kędzierzawymi, miodoworudymi włosami pod

kaskiem, za dziewczynę Mette, która zeszłego ranka przyszła na cmentarz, by mi zadawać dziwne pytania.

Stałem zaskoczony; motorynka przyspieszyła gwałtownie, skręciła w stronę rzeki, przejechała na czerwonym świetle, wsunęła się niebezpiecznie między samochody, znikając na nadbrzeżnej, ruchliwej ulicy. Zostałem na skraju chodnika z sercem bijącym mocno; pochyliłem się do przodu z rękami opartymi o kolana, by zaczerpnąć tchu.

Próbowałem zadzwonić do mojego brata

Próbowałem zadzwonić do mojego brata z byłego mieszkania rodziców, ale numer jego komórki był stale zajęty. Choć niezbyt chętnie, zadzwoniłem do Nicoletty: usłyszałem informację, że abonent jest „nieдоступny”. Pod numerem domowym odezwała się sekretarka automatyczna, zostawiłem wiadomość, prosząc, by oddzwonili.

Powiedziałem Luz, by i ona spróbowała ich znaleźć; ona powiedziała „Tak”, patrzyła na mnie zaniepokojona, zbierając równocześnie szczątki wazonów.

Zszedłem znowu po schodach w zwolnionym tempie. Ruszyłem wzdłuż torów tramwajowych, niepewny, co mam robić ani dokąd iść. Próbowałem przywołać na pamięć obrazy Mette, dziewczyny o miodoworudych włosach, by zrozumieć lepiej wyraz jej twarzy, gdy przyszła porozmawiać ze mną na cmentarzu. Próbowałem wyłowić z pamięci dźwięk jej głosu, ale okazało się to niełatwe; było to spotkanie zbyt krótkie i dziwne, by w ten sposób dało się je rozszyfrować. Nie potrafiłem nawet przypomnieć sobie nazwiska kardynała, o którym mi mówiła, choć wydawało mi się, że brzmiało po afrykańsku. Jedyną rzeczą pewną zdawało się to, że jej zainteresowanie, podobnie jak zainteresowanie jej przyjaciela naszą rodziną, nie było powierzchowne ani przejściowe. Próbowałem zastosować moją technikę dystansu mentalnego, spojrzeć z perspektywy odległej o całe kilometry od powierzchni ziemskiej, by odebrać wagę temu, co się zdarzyło. Nie działało: nadal czułem we krwi dziwną mieszankę ciekawości i niepokoju, nieproporcjonalną do wagi i trwania zdarzeń. Podejmowałem kolejne próby dodzwonienia się do Fabia i Nicoletty; nic. Przebiegłem nazwiska i numery w pamięci mojej komórki, zatrzymałem się przy numerze Nadine Lemarc. Nie zastanawiając się wiele, naciśnąłem klawisz i zadzwoniłem do niej.

Odpowiedziała po kilku sygnałach, mówiąc „Tak?” swoim suchym tonem.

Powiedziałem Jestem Lorenzo Telmari. Muszę z tobą pomówić”. Chociaż znaliśmy się z dziesięć lat, naszą zażyłość cechował pewien dystans, pogłębiony jeszcze niechęcią, jaką żywił do niej Fabio.

– O czym? – spytała nieufnie.

– Lepiej, żebyśmy o tym pomówili osobiście – odparłem, chociaż nie potrafiłbym jej wyjaśnić dlaczego.

– Pracuję, jestem bardzo zajęta przez cały tydzień. – Pod jej rzymskim akcentem wyczuwało się akcent francuski.

– Pięć minut. Powiedz mi, gdzie jesteś, przyjadę do ciebie.

Ona wydmuchnęła może dym z papierosa, nawet w jej milczeniu był opór. Powiedziała „Nie mógłbyś przynajmniej napomknąć, o co chodzi?”

Przemknął mi przez głowę obraz dziewczyny o miodoworudych włosach i jej kędzierzawego przyjaciela, uciekających na motorynce; powiedziałem „Nie”.

– Naprawdę nie mogę, Lorenzo – powiedziała Nadine.

– Pracuję.

– Pięć minut – powiedziałem, obstając przy swoim w tej małej wojnie pozycyjnej.

– Nie dam rady.

– Powiedz, gdzie możemy się zobaczyć.

Ona milczała przez dwie lub trzy sekundy, w końcu powiedziała gdzie.

Przejdźcie przez wzgórze, od umiarkowanego ruchu dzielnicy mieszkaniowej do coraz

bardziej konwulsyjnego i naglącego przemieszczania się samochodów w rejonie biur i sklepów, zajęło mi kwadrans. Z każdą prawie ulicą wiązało się jakieś wspomnienie: wypadek na motorynce, jakaś randka, jakaś bójka, jakaś zabawa, spotkanie, oczekiwanie, jakiś nudny spacer, czyjeś spojrzenie pochwycone w locie i na zawsze stracone. Szedłem ze średnią prędkością, odnotowując tylko niektóre szczegóły krajobrazu, i ciągle wracały mi na myśl inne szczegóły, które w tym samym krajobrazie odnotowałem kiedyś, bardzo dawno. W pewnej chwili wyobraziłem sobie siebie pod postacią wielu równoczesnych ja z rozmaitych faz mojego życia, każdego z głową pełną innych myśli. To nie był krajobraz niewinny, składał się ze zbyt wielu warstw.

Kiedy doszedłem do via Veneto, byłem jak zaszczute zwierzę, czułem gwałtowną potrzebę, umysłową i fizyczną, otwartych przestrzeni i ciszy, do tego ograniczały się moje pragnienia. Przeszedłem wzdłuż wystaw sklepów z butami i zegarkami dla turystów, wzdłuż barów i restauracji dla turystów, minąłem kioski dla turystów z międzynarodowymi gazetami i planami miasta w wielu językach. Czekając na rogu, gdzie miałem się spotkać z Nadine, patrzyłem na Amerykanów i Japończyków, którzy wchodzili i wychodzili ze swoich hoteli, na stojące taksówki i jadące autobusy, na adwokatów i notariuszy, bankowców i ekspedientów, którzy wracali do pracy po dwóch, trzech i grupkami, na kelnerów, którzy stojąc w mosiężnych drzwiach, rzucali na zewnątrz sceptyczne spojrzenia.

Nadine przyszła z dziesięciominutowym opóźnieniem, kiedy zaczynałem się już zastanawiać, czy nie udała, że godzi się na spotkanie, by się mnie pozbyć. Zobaczyłem ją po drugiej stronie ulicy, skąd machała do mnie ręką, wysoka i nerwowa, w swoim ciemnopopielatym płaszczu o kroju nieco wojskowym, a w każdym razie zbyt na nią obszernym.

Pocałowaliśmy się, starając się ograniczyć do minimum kontakt fizyczny, powiedzieliśmy sobie „Co słyhać?”, z odcieniem żalobnym, o ton tylko lżejszym niż poprzedniego dnia.

Nie zapytałem jej, skąd przyszła ani dlaczego wyznaczyła mi spotkanie tutaj, choć wydawało mi się dziwne, że pracuje w tej okolicy. Zapytałem, gdzie chce pójść; odparła „Gdziekolwiek, mam bardzo mało czasu”.

Weszliśmy do jednego z tych barów, które przed ponad czterdziestu laty odwiedzały legendarne gwiazdy, paparazzi i obserwatorzy nocnego życia, a które teraz żyły z mieszanej klienteli turystów i urzędników; wskazałem na stolik, ale ona poszła prosto do kontuaru. Zamówiła kawę, ja sok ze świeżych pomarańczy, chociaż o tej porze dnia chciało mi się jeść. Ona obserwowała ruchy kelnerów, ja patrzyłem na jej odbicie w dużym lustrze na wprost nas: linię cienkiego i długiego nosa, szare oczy na szklami okularów w wąskiej oprawce, cienkie wargi, jasne, krótko obcięte włosy. Kelner postawił przed nami kawę i sok; Nadine wsypała do swojej filiżanki słodzik, nie patrząc na mnie prawie, powiedziała „Słucham cię”.

Nie wiedziałem dobrze, od czego zacząć; upiłem duży łyk soku, zakrztusiłem się nieco i zacząłem kasłać. Powiedziałem „Chodzi o to, że nigdy nie wiedziałem zbyt dużo o działalności ojca”.

– Z własnej woli, sądzę, prawda? – powiedziała ona, przyjmując od razu postawę obronną. – Wydaje mi się, że to ty chciałeś zajmować się czymś zupełnie innym.

– To fakt – powiedziałem, starając się, by zarówno mój ton, jak i rysy mojej twarzy były nieagresywne. – Chciałem powiedzieć, że nie wiem prawie nic o tym, co robił.

– Jeśli ty i Fabio podejrzewacie, że wasz ojciec zostawił mi tajne konta w Szwajcarii albo brylantowe naszyjniki, to oświadczam, że mi ich nie zostawił. A komorne za moje mieszkanie od przyszedłego miesiąca będę płacić sama, z własnych pieniędzy, możecie być spokojni.

– Ale mnie wcale nie o to chodziło – powiedziałem, wzburzony jej interpretacją i tonem.
– Jak mogło ci to przyjść do głowy?

– Właśnie. Niby jak? – Zdawała się całkowicie ogarnięta jakąś zimną furją, ale podniosła rękę do twarzy, by zakryć sobie oczy od mojej strony, widziałem dreszcz przebiegający jej chudą postać.

Powiedziałem „Hej? Nadine?”, nie śmiejąc jej dotknąć, tym bardziej, że jeden z kelnerów obserwował nas uporczywie zza ekspresu do kawy.

Ona pociągnęła nosem, spojrzała w górę. Powiedziała „Rozumiem, że ty i twój brat nienawidzicie mnie, ale ja nigdy nie pragnęłam rozbijać waszej rodziny. To wasz ojciec chciał się ze mną związać, i to z całkowitym przekonaniem, mogę cię zapewnić”.

– Nie wiem, jak Fabio, ale ja cię wcale nie nienawidzę – powiedziałem, rzucając wrogie spojrzenie kelnerowi, by skłonić go do zaprzestania obserwacji. – Byliśmy wszyscy dorośli, historia między tobą a moim ojcem dotyczyła tylko was dwojga.

Nadine z najwyższym, jak sądzę, wysiłkiem powstrzymywała się od płaczu. Powiedziała „Wcale nie! Dotyczyła też waszej matki! I ciebie, i twojego brata! I wszystkich, którzy znali Teo, i międzynarodowego środowiska naukowego!”

– Przykro mi – odparłem; nie myślałem, że będę z nią mówił o tym, gdy tak usilnie prosiłem o spotkanie.

– Ale niezależnie od tego, co sobie myślicie, to była bardzo piękna i ważna historia! I naprawdę nie mam się czego wstydzić! Naprawdę!

– No pewno. – Zastanawiałem się, czy uda mi się wreszcie poruszyć sprawę, która mnie interesowała, czy może istnieje ryzyko, że przygniotą mnie emocjonalne gruzy, jakie zostawił za sobą mój ojciec.

Nadine powiedziała Jeśli ty i twój brat sądzicie, że łatwo jest być nieoficjalną kobietą takiego mężczyzny jak Teo Telmari, no cóż, to wiedzcie, że nie jest łatwo! Ani trochę!” Głos jej się załamał; dwoje czy troje klientów i drugi kelner odwrócili się, by na nią spojrzeć.

Wyciągnąłem ostrożnie rękę w stronę jej prawego ramienia.

Ona odsunęła się, wzięła głęboki oddech; powiedziała „Przez osiem lat być tą, która obdarza w pełni bezwarunkową miłością, radami, troskliwością i oddaniem za każdym razem, gdy się tego od niej wymaga, a gdy tylko przestaje się wymagać, robi się niewidzialna i czeka, cicho i potulnie, na nowy rozkaz!”

– To musiało być trudne.

– To było *okrutne!* – powiedziała tak głośno, że odwróciła się nawet para turystów amerykańskich. – Czy ty i twój brat macie pojęcie, co to znaczy oddać mężczyźnie życie i wiedzieć od początku, że on w zamian dać ci może tylko okrawki swojego, bo nie rzuci nigdy swojej żony-mamuśki, od której całkowicie jest uzależniony?

– Wyobrażam sobie – powiedziałem, mój ton i spojrzenie miały ją udobruchać.

– A ja sądzę, że nie! Ktoś, kto wobec całego świata odgrywa silnego i budzącego zaufanie patriarchę, niezawodny punkt odniesienia, a potem, wobec swojej żony-mamuśki, dziecko, które buta nie umie samo zawiązać! W perwersyjnym i nierozdzielnym splocie wzajemnych zależności i szantażów uczuciowych i mentalnych. A tymczasem ja jestem tą, która wtrąca się między nich i niszczy cudze szczęście małżeńskie! Wirus, żeby użyć pięknego przezwiska, jakie nadał mi twój brat!

Powiedziałem „Zważ, że ja i mój brat mamy bardzo różne stanowiska, w tej sprawie także”.

Ona mnie nie słuchała; powiedziała „O-siem peł-nych lat, bez jednych nie powiem już wakacji, bez jednej podróży, która nie byłaby wyjazdem służbowym, czy choćby jednej normalnej, zwykłej, całej *niedzieli* razem! Żeby nie musiał wracać do domu przed wpół do dwunastej wieczorem!”

Podrapałem się w głowę; nie wiedziałem, w jaki sposób uda się nam zakończyć ten temat.

– A kiedy potem żona-mamuśka umiera i po okresie okropnej rozpaczki trafia się wreszcie okazja, by kawałek życia przeżyć razem, dzięki stokrotne, całuję rączki, i rzuca cię, bo potrzebuje jeszcze młodszej i pełniejszej uwielbienia, jak ta ukochana Giovannina Zambion! Bo dzięki miłości, jaką go darzyłaś, wyrozumiałości i zachowaniu właściwych proporcji, ty także stałaś się rodzajem mamuśki! Więc choć serce cię boli, próbujesz pogodzić się z tym i myślisz, że pociechą będzie przynajmniej wzajemne zrozumienie natury mniej przyziemnej, ale on tymczasem co robi? Umiera!

Jakiś facet z ogoloną głową, z ryżowym krokietem w ręku, wyciągnął się cały, by lepiej słyszeć: pokazałem mu na migi, żeby się zmywał, niechętnie odwrócił głowę.

Nadine powiedziała „Czy ty i twój brat macie pojęcie, jak bardzo brakować mi będzie teraz waszego ojca? Czy macie choćby najbłedsze pojęcie?” Próbując z heroicznym niemal wysiłkiem zapanować nad sobą, ujęła w drżące palce swoją filiżankę z kawą i podniosła ją do ust.

Kiwnąłem potwierdzająco głową, nie mogąc znaleźć właściwych słów. Po czym, by zmusić ją do przerwania tego ciągu myśli, powiedziałem „Dzwoniłem do ciebie, bo chciałem cię zapytać, czy słyszałaś kiedyś o jakimś kardynale Ndiembe? Czy Ndiembe, albo coś w tym rodzaju, nie pamiętam dokładnie nazwiska?”

Ona spojrzała na mnie z przedziwnym wyrazem twarzy: filiżanka z kawą wysunęła się jej z rąk, uderzyła o krawędź lady i rozbiła się na podłodze.

Rozbicie się filiżanki pociągnęło za sobą również przerwanie bezruchu osób, które patrzyły na nas i słuchały: jakaś pani krzyknęła cicho ze strachu, Amerykanie prześlizgnęli się w głąb drugiej sali, facet z ogoloną głową przełknął ostatni kęs krokieta, jeden z kelnerów odsunął się od ekspresu. Drugi przyszedł z szufelką i miotełką, powiedział „Pani pozwoli”, zaczął czyścić.

Nadine poszła prosto do kasy; zapłaciła, zanim ja to zdążyłem zrobić, wyszła.

Pobiegłem za nią, dogoniłem ją na chodniku o wiele bardziej niż przedtem zatłoczonym, powiedziałem „Zaczekaj”.

Ona szła dalej, jakby mnie nie słyszała i nie widziała, przeszła przez ulicę, kierując się ku postojowi taksówek. Szedłem za nią dalej, ale byłem tak zbity z tropu, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Ona wsiadła do taksówki, zamknęła drzwi. Machałem do niej przez szybę; ona patrzyła prosto przed siebie, taksówka odjechała.

Mój bratanek był w swoim pokoju, pełnym przyrządów służących rozrywce

Mój bratanek był w swoim pokoju, pełnym przyrządów służących rozrywce, nauce i ćwiczeniom, siedział w poprzek obrotowego fotela, trzymając w ręku urządzenie sterownicze do elektronicznej konsoli, która pozwalała mu uczestniczyć w wirtualnym meczu piłki nożnej. Nie powiedziałem mu dzień dobry, bo nie miałem najmniejszej ochoty usłyszeć w odpowiedzi niezrozumiałego mruknięcia, machnąłem mu tylko ręką. On nie oderwał oczu od ekranu; jego kciuki naciskały guziki, głowa i nogi poruszały się jak w transie.

Wskazałem na komputer, stojący na biurku obok łóżka, między ogromnymi głośnikami stereo i zaraz za elektrycznie sterowanym *tapis roulant*, powiedziałem „Chcę coś zobaczyć”. Nie odpowiedział, dalej powtarzał swoje *klik klik klik*, kołysząc gwałtownie głową i nogami.

Usiadłem przed klawiaturą komputera; był o pięć generacji nowszy od mojego, dziesięć razy silniejszy, z połączeniem dwadzieścia razy szybszym. Otworzyłem wyszukiwarkę, wystukałem *Stopwatch* w pustej ramce, kliknąłem *szukaj*. Prawie natychmiast pojawiła się strona z adresami internetowymi, w których powtarzało się słowo „stopwatch”, poniżej było napisane *1-10 na około 4 270 000 znalezionych*.

Kliknąłem kilka adresów, przeczytałem opis pięciu czy sześciu: byli to producenci *software* do mierzenia czasu ściągania i trwania programów. W dziale „połączenia sponsorowane” był adres szanghajskiego producenta zwyczajnych stoperów, które, zgodnie z tym, co było napisane, cieszyły się *high reputation in China and abroad*. Następna strona dostarczała podobnych informacji: stopery wirtualne, stopery zwyczajne, stopery, o których wspominały czasopisma sportowe. W końcu, na początku trzeciej strony, znalazłem adres, pod którym napisane było *Watching the World's Balance*.

Kliknąłem: pokazał się rysunek czerwonego stopera nałożony na obraz kuli ziemskiej i napis *Stopwatch* wykonany na maszynie do pisania. Poniżej był licznik w dwóch kolumnach, z białymi cyframi na czarnym tle: przy pierwszej kolumnie było napisane *Current Population*, przy drugiej *Calendar Population*. Pierwsza kolumna wskazywała liczbę 6 565 293 114, numery po prawej stronie zmieniały się nieustannie: co sekunda zwiększały się o trzy, kolejno, sekunda po sekundzie. Zamieszczona niżej nota mówiła, że dane są aproksymacją logarytmiczną i że biorą pod uwagę zarówno narodziny, jak i zgony. Patrzyłem na rosnące numery przez pół minuty i przez ten czas populacja światowa osiągnęła liczbę 6 565 293 204 osób.

Druga kolumna licznika odpowiadała innym danym, zestawionym według dnia, miesiąca i roku. Spróbowałem zobaczyć, ilu ludzi było na ziemi 26 listopada 1970: 3 963 417 989 osób. Spojrzałem, ilu ich będzie 26 listopada 2025: 8 773 536 495 osób. Przeskoczyłem do 26 listopada 2035: 10 137 051 338 osób. Wybierałem inne daty, zafascynowany i przerażony cyframi, które nie przestawały biec, jak w liczniku gazowym w ogromnym domu, którego lokatorzy wyjechali, zostawiając w kuchniach miliardy otwartych palników.

Kliknąłem na rysunek stopera: stąd wchodziło się na ciąg stron pokrytych gęsto tekstem i wykresami dotyczącymi wzrostu zaludnienia, wyczerpywania się zasobów podstawowych, zagłady innych gatunków zwierzęcych i roślinnych, globalnego ocieplenia, topnienia lodowców i wzrostu liczby terenów pustynnych, rozpowszechniania się AIDS, niedożywienia i głodu, dostępu do wody, edukacji. Przebiegałem to wzrokiem, zatrzymując się w punktach, które najbardziej mnie uderzyły, z poczuciem raz dystansu, raz bliskości. Kiedy byłem szyprem,

współpracowałem z pewną organizacją zajmującą się ochroną środowiska naturalnego, która zbierała dane o zatrucaniu mórz, kiedy indziej wpłatą pieniędzy i podpisem wspierałem akcje walki z głodem, akcje w obronie dziewiczych puszczy, przeciw polowaniom, akcje pomocy ludności subsaharyjskiej i mieszkańcom dżungli południowoamerykańskich. Niepokoiło mnie niszczenie powłoki ozonowej i pogłębianie się efektu cieplarnianego, czułem, jak każdy, na własnej skórze zmiany klimatu, cierpiałem z powodu postępującego niszczenia krajobrazów i degeneracji stosunków między ludźmi. Coraz trudniej było mi wierzyć w możliwość powstrzymania czy wręcz odwrócenia niszczycielskich i samobójczych tendencji rodzaju ludzkiego. Miałem wrażenie, że szkody są już nieodwracalne, przekroczony punkt, od którego nie ma już odwrotu. Czytanie stron Stopwatcha i patrzenie na bijący bezustannie licznik istot ludzkich utwierdzało mnie w przekonaniu, że teraz już bardzo niewiele da się zrobić. Nie wydawało mi się, że bym był cyniczny czy zrezygnowany; co najwyżej przygotowany na najgorsze.

Na stronie internetowej był także dział „kontakty”, z krótką listą adresów elektronicznych i pocztowych. Pod hasłem „Italia” był adres pocztowy w Rzymie: zapisałem go na jakiejś karteczce złotym flamastrem, który służył Tommasowi do pisania uwag obok zdjęć piłkarzy na wiszącym na ścianie plakacie. Potem zamknąłem stronę internetową i podniosłem się.

Mój bratanek skończył swój wirtualny mecz i ziewał, z nogami przewieszonymi przez oparcie obrotowego krzesła, z tych, jakich używają dyrektorzy przedsiębiorstw.

Zapytałem go „Nudzisz się?”

– *Noo* – odpowiedział.

– Jak ci idzie w szkole?

– *Bah.*

– Żaden przedmiot cię nie interesuje?

– *Iiih.*

– Nie podoba ci się żadna dziewczyna?

– *Iiitam.*

Na ścianie za plecami miał afisz jakiegoś filmu fantastycznonaukowego i plakat wolnej amerykanki. Zapytałem „Chcesz zobaczyć ciekawy chwyt sztuki walki?”

– *Nihm* – odpowiedział.

– Wstań na chwilę. Chodź tutaj.

– *Etam.*

– No, spręż się. Tylko dwie minuty.

Podniósł się w końcu, jakby musiał pokonać jakiś straszny opór, wyszedł na środek pokoju.

Powiedziałem „Spróbuj mnie uderzyć”.

– *Nilam* – odpowiedział.

Nie mogłem uwierzyć w jego totalną odmowę wyjścia z kokonu futbolu, szkoły, domu, nudy, gier wirtualnych, gadżetów, przyrządów, obsesji emocjonalnych, gwarantowanych starań i podstawowych braków, pośród których tkwił. „No dalej!” powiedziałem. „Rusz się! Ty worku kartofli! Wymoczku! Tchórz!”

W końcu mój bratanek mnie uderzył: nawet dość mocno, bo był trzynastolatkiem dobrze rozwiniętym, karmionym żywnością superproteinową i superkaloryczną, ćwiczącym codziennie na boiskach piłkarskich. Uchyliłem się przed jego ręką, chwyciłem ją na wysokości nadgarstka, odsunąłem się na bok, tak że poleciał do przodu siłą rozpędu, pociągnąłem ku sobie jego ramię i nacisnąłem na prawą łopatkę; runął na parkiet całym ciężarem.

Spojrzał na mnie z dołu, ogłuszony i zaskoczony; rozcierał sobie ramię. Potem ujrzałem

rodzaj powolnego uśmiechu, który rozciągał mu wargi, wyraźny błysk zainteresowania napływający do oczu. Powiedział Jak to było? Pokażesz mi to jeszcze raz?”

Kolację zajął prawie całkowicie wykład Fabia na temat podziału władzy wewnątrz Mirtu Demokratycznego i między Mirtem Demokratycznym a innymi partiami bloku. Z jego tonu i spojrzenia oraz emfazy, z jaką wymawiał nazwiska rywali czy sojuszników, widać było, że dla niego polityka włoska oznacza bez wątpienia wszechświat, w którym każdy sekretarz, prezes, przewodniczący ugrupowania i przewodniczący komisji obdarzeni są siłą grawitacji krążących planet. Uderzyło mnie, że jego wizja nie miała żadnych pęknięć ani nawet szpar, przez które dostrzec by można światła i barwy, i kurz normalnego życia; uderzyła mnie naturalność, z jaką mówił o manewrach oskrzydlających i transakcjach wiązanych, o przesuwaniu punktu ciężkości i poszerzaniu sfery wpływów, o przejmowaniu kontroli nad poszczególnymi gazetami i kanałami telewizyjnymi, bankami, instytucjami państwowymi i instytucjami użyteczności publicznej przez jego ugrupowanie i ugrupowanie przeciwne. Na tym polegała gra, którą prowadził, i był zawodowym graczem pierwszej ligi, znającym wszystkie reguły i techniki możliwe do zastosowania w obliczu mistrzostw, w których trzeba zagrać i wygrać. Alternatywne światy, o których mówiliśmy jako chłopcy, były z tej logiki wykluczone, jak seks przed meczem; w jego niezwykle szczegółowych opisach taktyk i strategii nie było po nich ani śladu.

Nicoletta podchwytywała nazwiska i role, co jakiś czas pytała o coś lub coś precyzowała, ale i to robiła z bardzo kontrolowanym automatyzmem. Siedziała na krześle prosto, z twarzą napiętą, bez wyrazu; patrzyła z rzadka na męża, na mnie wcale; upominała syna, by siedział porządnie, narzekała przed Harrym i Emily na niedogotowane brokoły i przesolonego okonia. A jednak nie wydawała się całkiem inną kobietą w porównaniu z tamtą, która nagle, w byłym mieszkaniu moich rodziców, objęła mnie i pocałowała, a potem wyjawiała swoje okrutne cierpienia: dwie strony jej natury, oziębła i gorąca, łączyły się ze sobą, możliwe, że uzupełniały się i tłumaczyły wzajemnie.

Mój bratanek Tommaso jadł z pochyloną głową, z łokciem opartym o stół, jego myśli były o lata gwiazdne od dywagacji ojca i zachowania matki. Zaledwie kilkoma szybkimi ruchami łyżki skończył krem malinowy, wstał bez słowa od stołu i poszedł do swego pokoju, nie bacząc na daremne upomnienia matki.

Ja i Fabio przenieśliśmy się do salonu. On zapytał „Co słyhać?”, nie czekając zresztą na prawdziwą odpowiedź. Usiadł na kanapie, podniósł się, wykonał i odebrał kilka telefonów, włączył wielki ekran i sprawdził kolejno wszystkie kanały, poprosił Harry’ego o sok grejpfrutowy z lodem, wysłał i przyjął SMS.

W jednej z przerw między tymi czynnościami powiedziałem „Widziałem się dzisiaj z Nadine”.

On powiedział, A”, sztywniejac wrogo na sam dźwięk jej imienia. „Z wirusem”.

– Przestań ją tak nazywać.

– Gdzie się z nią widziałeś?

– W jednym barze na via Veneto.

– I czego chciała?

– To ja do niej zadzwoniłem. Chciałem z nią pomówić.

– O czym?

Powiedziałem „No cóż, dziś rano zdarzyła się ta dziwna historia. Jakiś facet wślizgnął się do domu taty, w czasie gdy ja byłem na balkonie i rozmawiałem z Luz”.

– Wiem – powiedział szybko Fabio. – Luz do mnie dzwoniła.

– No proszę – powiedziałem, zdumiony tym, jak ważną sprawą jest dla niego to, by być

zawsze dobrze poinformowanym, i by inni o tym wiedzieli.

– Fakt, że Luz też jest dobra – ciągnął. – Zostawiać tak otwarte drzwi wejściowe. Próbowałem jej tłumaczyć, że Rzym to niezupełnie to samo, co ekwadorska wioska.

– To z powodu dymu. Zapomnieliśmy, że ryż stoi na gazie.

– *Zapomniała* – powiedział Fabio, i tym razem bez sekundy przerwy. – Niepotrzebnie ją kryjesz. W każdym razie posłałem kogoś, kto będzie miał oko na dom.

– Kogoś?

– Tak – odpowiedział, nie słysząc pytania kryjącego się za moim pytaniem. – W ten sposób będziemy spokojni, póki wszystkiego nie usuniemy. Komendant policji tłumaczył mi, że są złodzieje wyspecjalizowani w okradaniu domów, gdzie właśnie ktoś umarł. Korzystają z ogólnego zamieszania i ruchu.

Powiedziałem „Nie sędzę, żeby to był po prostu złodziej”.

– To znaczy? – przymknął powieki.

– To znaczy, że może nie chciał nic ukraść.

Fabio potrząsnął wolno głową, powiedział „To co niby robił w domu taty?”

– Może szukał jakichś informacji. – Zdawałem sobie sprawę, że to, co mówię, nie jest zbyt jasne, ale nie byłem zupełnie pewny, co o tym myśleć, a jeszcze mniej, czy chcę mu o tym opowiadać.

– Czekaj, nie bardzo rozumiem – powiedział Fabio. – Jakiego rodzaju informacji? I co ma z tym wspólnego Nadine?

– Nic. Ale może ten kędzierzawy facet szukał czegoś, co miało związek z pracą taty. Jakichś poufnych informacji medycznych, no nie wiem.

– Że też coś takiego może ci przyjść do głowy! – Zaśmiał się, potrząsając kostkami lodu w szklance.

Powiedziałem „Nie wiem. Kiedy już go miałem dogonić na chodniku, wskoczył na motorynkę, prowadzoną przez facetkę, która wczoraj rano była na cmentarzu”.

– Jaką facetkę? – zapytał mój brat; mogłem wyczytać w jego spojrzeniu irytację, wywołaną niespodziewanym brakiem informacji. Na chwilę wróciliśmy do układu sił z okresu, gdy dwa lata różnicy między nami stanowiły barierę między jego perspektywą dziecka a moją chłopca, a potem między jego perspektywą chłopca a moją prawie dorosłego.

– Nie sędzę, żebyś ją kiedykolwiek widział – powiedziałem.

– Jeśli przyszła z powodu taty, widziałem ją z pewnością. Nie jestem przecież pustelnikiem żyjącym w górach, jak ty. Znam te osoby, które znały tatę.

– Nie wiem, czy ona go znała. A w każdym razie nie osobiście.

– A skąd ty to, wybacz, możesz wiedzieć?

Zapytałem „Słyszałeś kiedyś o kardynale Ndianga?”

Rysy twarzy ściągnął mu znowu wyraz dzieciennego prawie zakłopotania; powiedział „Co tu znów mają do rzeczy kardynałowie?”

W pierwszym odruchu chciałem powiedzieć mu więcej o dziewczynie Mette, ale z jakiegoś powodu, z przyczyn nie całkiem jasnych i możliwych do wyznania, powstrzymałem ten odruch. Może nie chciałem zdradzać osobistego sekretu, a może sprawiało mi przyjemność, że raz przynajmniej w jego panoramicznej, stale uzupełnianej wizji świata jest jakiś brakujący fragment. Powiedziałem „Nic, przeczytałem coś w jakiejś gazecie, nie pamiętam”.

– Ta facetka z motorynki – powiedział Fabio. – Ze złodziejem. Jesteś w stu procentach pewny, że ona wczoraj rano była na cmentarzu?

– Nie. Może była tylko do tamtej podobna.

– Dwie minuty temu wydawałeś się dosyć pewny – zauważył. Chodził tam i z powrotem,

jedna z jego komórek zaczęła dzwonić; wyciągnął ją z kieszeni, nacisnął klawisz „nie”.

– Nie byłem pewny.

– Spróbuj mi ją opisać – powiedział Fabio, oparty o drzwi balkonowe prowadzące na taras.

– No nie wiem. Blondyneczka.

– Wysoka, w długim czarnym płaszczu?

– Możliwe – odparłem, mając w pamięci wyraźny obraz dziewczyny Mette z jej miodoworudymi włosami i bardzo kolorowym płaszczykiem.

– I widziałeś ją znowu na motorynce pod domem taty? Razem ze złodziejem z dredami?

– Nie wiem – ja też podszedłem do okna.

– Do licha, ale z ciebie obserwator – powiedział mój brat z rosnącą nutą irytacji w głosie.

– To kiedy się mówi o niezawodnym oku wilka morskiego?

Wobec takiej postawy wycofałbym się nawet z oświadczenia, że goniłem kędzierzawego faceta, który uciekł na motorynce, ale było za późno. Zapytałem „Czy to prawda, że ostatnio wzięłeś sobie kupę kochanek?”

– Co? – przymknął oczy.

– I że wszystkim wysyłasz takie same miłosne SMS-y?

– Co ty mówisz, do cholery? – powiedział Fabio z miną osoby przyłapaną na gorącym uczynku, którą pamiętałem wyraźnie od czasu, gdy nasz wiek mierzony był jeszcze pojedynczymi latami.

– Krażą takie słuchy – powiedziałem, korzystając z wyrwy w jego obronie. – Deputowany – seryjny uwodziciel.

Fabio poruszył wargami, jakby chciał rzucić suchą i ciętą odpowiedź, ale zamiast tego opuścił ręce wzdłuż boków i zapytał „Co jeszcze naopowiadała ci Nicoletta?”

Jego nagła bezradność odebrała mi chęć do znęcania się nad nim; powiedziałem „Ależ nic”.

– Oczywiście, że nic – przygryzł dolną wargę. – Co ci naopowiadała?

Klepnąłem go lekko po ramieniu, powiedziałem „Zresztą to jeden z powodów, dla których ktoś poświęca się polityce, nie? Kobiety, zdobycze, honory?”

– Przestań – odparł. – Co ty, kurwa, możesz wiedzieć o tym, co się dzieje między mną a Nicolettą?

– Ba, byliście zawsze przykładem idealnej pary. Piękni, odnoszący sukcesy, zgrani, dobrzy, uczciwi, dynamiczni, poukładani jak trzeba. Nigdy bym nie pomyślał, że to tylko zabieg marketingowy.

– Skończyłeś chrzanić? – spytał Fabio. – Skończyłeś?

Pomyślałem, że my o sprawach osobistych zawsze, na długo przedtem, zanim nasze życia zaczęły się rozchodzić w dwie różne strony, rozmawialiśmy w tym samym stylu idiotycznie męskim i sarkastycznym. Wydało mi się to nagle absurdalną stratą czasu i uczuć, głupim utrzymywaniem barier ochronnych. Powiedziałem „Skończyłem, skończyłem. Ale ty nigdy mi o tym nie mówiłeś, co?”

– To fakt, że nigdy – odpowiedział ze spuszczonej oczami. W kieszeni jego marynarki komórka nadała sygnał „masz wiadomość”, ale nawet na nią nie spojrział.

– A dlaczego?

Fabio wzruszył ramionami, wsunął ręce do kieszeni marynarki. „O czym tu było mówić? Że Nicoletta to hiena neurotyczna i zawzięta, zżerana ambicją trzymania wszystkiego pod kontrolą? Nie widziałeś tego sam?”

Powiedziałem „Wydawałeś się zawsze taki zadowolony. Taki doskonale zorganizowany,

spełniony i zrównoważony. Taki daleki od wszelkich nędznych problemów sentymentalnych”.

– To komedia aranżowana przez nią. Przykłada się do tej gry w sposób tak przekonujący i wytrwały, że w końcu ja też przez całe lata w nią wierzyłem.

Uderzył mnie stopień rozdrażnienia w jego głosie i fakt, że mówi do mnie otwarcie po raz pierwszy od nie wiem kiedy. Spytałem „A tymczasem?”

– Nie masz pojęcia, co to znaczy żyć dzień po dniu z taką kobietą jak Nicoletta.

– Może potrafię to sobie wyobrazić.

– Ba, jest jeszcze gorzej – powiedział Fabio tonem tak przybitym, że aż mnie zabolaty bębunki. – To jakby mieć hiszpańską Inkwizycję i CIA, i KGB w jednej osobie, która rejestruje każdy twój gest i słowo, i telefon, i notuje godziny i nazwiska, i tony głosu, i wychwytuje z zegarkiem w ręku każdą najmniejszą możliwą sprzeczność, towarzyszy ci w łazience i w kuchni i śledzi cię w każdej chwili, i wchodzi w najbardziej ukryte zwoje mózgu, a jednocześnie z równą zaciekleścią pracuje nad utrzymaniem przed światem pozorów małżeńskiego szczęścia.

– Ależ to jakiś koszmar – powiedziałem, bo na taki obraz nie byłem przygotowany.

– Tak, ale koszmar, który nigdy się nie kończy. Budzisz się rano, a on trwa nadal, w twoim łóżku. Uśmiecha się do ciebie nienaganie i oczekuje twojej równie nienagannej reakcji, a skoro jej nie widzi, powraca do swojej nienagannej psychicznej tortury bez końca.

– Ale twoja działalność seryjnego uwodziciela nie poprawia zbytnio sytuacji, prawda?

– Nie zmienia jej ani trochę – odparł.

– Jak to?

– Ponieważ Nicoletcie na seksie nie zależy. Ani mnie, zresztą.

– W jakim sensie? – spytałem, dość zaskoczony.

– Posłuchaj, Lore – odparł. – Ja mam tysiące spraw ważniejszych od tego, żeby się z każdą naokoło pieprzyć, i dających mi tysiąc razy więcej satysfakcji. A zresztą, gdzie bym na to znalazł czas? Czy ty masz blade pojęcie o obowiązkach, które spadają na mnie każdego cholernego dnia, gdy tylko wyjdę za te drzwi?

– A te powielane SMS-y? Do twoich współpracowniczek i redaktorek telewizyjnych, i żon twoich przyjaciół?

Fabio przybrał już minę, z którą nadal chciał wszystkiemu zaprzeczać, ale zamiast tego powiedział „Co, kurwa, powinienem robić, według ciebie? Pogodzić się z wyzerowaniem seksualnym Miss Nienagannickiej, z którą nie pieprzę się już od dobrych pięciu lat, czy pozwolić sobie przynajmniej, kiedy to możliwe, na jakieś mizerne, przelotne przyjemności?”

Powiedziałem „Więc to prawda, co mówiła Nicoletta”.

– Prawda, nie przeczę. Ale dla niej to tylko kwestia kontroli. Zawsze tak było, odkąd jesteśmy razem. Kontrola, kontrola, kontrola. Wyglądu, słów, gestów, tonów głosu. W środku masz wrzącą lawę niechęci, ale na zewnątrz cicho sza, spokój, uśmiechaj się, nie trać zimnej krwi, bądź uprzejmy dla dziennikarzy. Nawet mojemu synowi nie mogę powiedzieć tego, co bym chciał, bo i to musi przejść przez jej filtr. Tommaso stał się rodzajem uprzywilejowanego pensjonariusza i jest alternatywą dla mnie, nie można mu się sprzeciwić ani go irytować, bo zawsze, w każdym wypadku ma aprobatę mamusi! Zdajesz sobie sprawę?

Powiedziałem „Może to też i twoja wina, że nie próbujesz się z nim porozumieć”.

– Próbuję, Lorenzo. Próbuję. Ale nic z tego.

– Może niedostatecznie.

– To jak mówić do ściany – powiedział Fabio. – Zresztą wiem, że Nicoletta zrobiła z siebie ofiarę i świętą i opowiedziała, jaki to z mnie potwór. Ale powiedziała ci też o swoim Cordatim? Co?

– O kim?

– O Sante Cordatim, z RAI. Nędzny partacz z brylantyną na włosach, z tymi szpiczastymi bakami i wylupianym okiem! Kazałem sobie dać bilingi telefoniczne, dzwonią do siebie po pięć czy sześć razy dziennie. Twoja droga bratowa, która udaje taką ofiarę, rozumiesz?

– Bilingi? – powtórzyłem. – To fakt, że w tym kraju życie prywatne jest naprawdę dobrze strzeżone.

– To ona zaczęła – powiedział Fabio. – Sprawdzać mi komórki i czytać korespondencję. Inaczej nigdy bym tego nie zrobił, to nie w moim stylu. I nie mów mi o życiu prywatnym, Lorenzo. Ja od czternastu lat takiego życia już nie mam. Odkąd się ożeniłem.

– No to się rozstańcie. Skończcie to raz na zawsze.

– Tak, brawo – powiedział Fabio. – A potem? Zmieniam pracę? Zostaję śmieciarzem?

– Dlaczego?

– A co ja powiem moim wyborcom?

– To cóż ty masz za wyborców? – spytałem. – Fundamentalistów integrystów, rodem ze średniowiecza?

– Umiarkowanych, Lorenzo. Z centrolewicy, ale umiarkowanych. I nie wiedzieć czemu, ale coś mi się wydaje, że nie uszczęśliwiły ich widok Nicoletty płaczącej w niedzielnym talk-show i opowiadającej, jak to zламаłem jej serce i zrujnowałem życie.

– Myślisz, że mogłaby to zrobić?

– Nie, z pewnością nie. W sposób równie wulgarny, nigdy. Znalazłaby klucz nieskończenie bardziej subtelny i druzgocący.

Staliśmy przed oknem; jedna z komórek Fabia zaczęła dzwonić w kieszeni jego marynarki, ale nie odebrał.

Powiedziałem „W ten sposób jesteście skazani na bycie razem, choć się nienawidzicie?”

– A jak sądzisz? – zapytał Fabio.

Odezwała się druga komórka, ta z muzyką Coltrane’a; wyciągnął ją z kieszeni, przeczytał na ekranie nazwisko i zaraz odpowiedział. Słuchał przez kilka sekund, po czym zaczął dopytywać się o możliwość zmian w schemacie organizacyjnym pewnego przedsiębiorstwa państwowego zajmującego się produkcją filmów, tonem odległym o lata świetlne od tego, jakim rozmawiał ze mną chwilę wcześniej.

Otworzyłem okno balkonowe i wyszedłem na taras, by popatrzeć na oświetlone okna innych mieszkań po czterech stronach podwórza z palmami.

Jechałem w chaotycznym ruchu porannym

Jechałem w chaotycznym ruchu porannym w kierunku Stazione Termini, zgodnie z adresem, który znalazłem na stronie internetowej Stopwatcha. Mój pikap był za duży, za mało zwrotny i powolny na tę zabawę w ciągle zatrzymywanie się i ruszanie, jazdę zygzakami i hamowanie na ostatnim centymetrze, wleczenie się w ślimaczym tempie, nagłe przyspieszanie, by przejechać skrzyżowanie na żółtym świetle. Zwalniałem na zwężeniach ulic, stawałem po wydostaniu się z korka, słyszałem trąbiących na mnie kierowców, widziałem wykonywane w moim kierunku gesty motocyklistów.

Kiedy wreszcie dotarłem do stacji, objechałem raz, drugi i trzeci kwartał domów, gdzie chciałem zaparkować, ale nie było ani skrawka wolnego asfaltu między samochodami stojącymi zderzak w zderzak. Pomyślałem, że zrobiłem głupstwo, bo trzeba tu było przyjść pieszo, przejechać autobusem albo taksówką; że zapomniałem o podstawowych zasadach życia w mieście. Po trochu rosło we mnie to samo uczucie duszenia się, które jedenaście lat temu skłoniło mnie do opuszczenia miasta, pchnęło ku morzu, a w końcu na szczyt wzgórz; pragnienie pustej przestrzeni, horyzontów, ku którym kierować by można do woli myśli, odczucia i gesty. Przy trzecim objeździe miałem objawy prawdziwego syndromu osaczenia; chciałem zostawić pikapa na środku drogi albo zmienić trasę, skierować się na autostradę, zapomnieć o Rzymie i powodach, dla których tu przyjechałem. Wtedy właśnie jakiś facet wyszedł z pralni, wskoczył do ciężarówki i odjechał; wsunąłem się niezręcznie na jego miejsce, stając jednym kołem na chodniku.

Poszedłem szybko w stronę ulicy, którą dostrzegłem w trakcie kolejnych okrążeń, zwolniłem kroku, zbliżając się do szukanego numeru. Myślałem o rozmowie prowadzonej z bratem poprzedniego wieczoru, nie potrafiłem sobie jednak wyjaśnić, dlaczego byłem taki powściągliwy, mówiąc o dziewczynie Mette. Zastanawiałem się, jaką przyjąć postawę, gdyby się tu przypadkiem znalazła: czy mam być przyjacielski, czy może nieufny, agresywny, obojętny.

Numer, który zapisałem flamastrem mego bratanka Tommasa, odpowiadał staremu budynkowi pokrytemu szarym, odrapanym tynkiem; na rogu była bardzo zmatowiała witryna, pozostałość po jakimś sklepie czy warsztacie, do niej przyklepione były plakaty z symbolem Stopwatcha, różne wycinki z czasopism i gazet, wydruki strony internetowej. Próbowałem pchnąć oszklone drzwi, zmatowiały podobnie jak witryna, ale były zamknięte. Oparłem się o szybę, osłaniając oczy rękami, by zajrzeć do środka; udało mi się dostrzec stół i parę krzeseł, inne plakaty i ścianę. Miejsce nie sprawiało wrażenia często odwiedzanego, ale nie wydawało się też definitywnie zamknięte; niektóre z artykułów przyklepionych do witryny były sprzed miesiąca czy dwóch.

Wszedłem do baru w głębi ulicy, wziąłem cappuccino i rogalik. Patrzyłem na kasjerkę, nalaną i nieobecną duchem, na pijaka ze stacji, który poprosił o butelkę grappy w zamian za ogromną ilość monet pięcio- i dziesięciocentowych. Inni klienci wchodzili i wychodzili, mniej lub bardziej niecierpliwi czy apatyczni, w zależności od tego, czy zmierzali na pociąg, czy do punktu wymiany walut albo nadawania bagażu. Miałem wrażenie, że jestem gdzieś pośrodku ich stanów ducha: raz byłem spokojny jak ci, co mają przed sobą długie oczekiwanie, w chwilę potem ogarniała mnie straszna niecierpliwość.

Poszedłem znowu w stronę siedziby Stopwatcha. Zastanawiałem się, jakie jest prawdopodobieństwo, że wcześniej czy później ktoś przyjdzie; czy powinienem czatować w pobliżu całymi dniami, przyczepić do szyby wiadomość z numerem mojego telefonu, dać spokój.

Potem, kiedy byłem o jakieś dwadzieścia metrów od celu, ujrzałem chłopaka z kędzierzawymi włosami, który przeszedł przez ulicę i przebierał w pęku kluczy przy drzwiach ze zmatowiałego szkła. Nie poznałem go od razu, bo w czasie pościgu po schodach w dawnym domu mojego ojca widziałem go tylko od tyłu, ale włosy, bez cienia wątpliwości, były jego. Nie żadne dredy, jak powiedział mój brat w oparciu o informacje dostarczone mu przez Luz; poskręcane kędziory otaczające głowę jak korona drzewa, w stylu muzyków rockowych lat sześćdziesiątych.

Przebiegłem przez ulicę w tym samym czasie, gdy on otwierał drzwi; pchnąłem ramieniem zmatowiałe szkło, wszedłem, zanim zdążył zamknąć. Krzyknął zaskoczony, cofnął się, wpadł na krzesło.

Staliśmy naprzeciw siebie w odległości dwóch metrów, w półmroku i zapachu wilgotnych ścian. Byliśmy obaj w stanie najwyższego napięcia, nasze nogi poruszały się niespokojnie, oddychaliśmy płytko.

Kędzierzawy facet zapytał „Kim jesteś? Czego chcesz?”, głosem o akcencie prawdopodobnie brazylijskim.

– Odwróć pytanie – odparłem. – Wyjaśnij mi, dlaczego wczoraj wkradłeś się jak złodziej do domu mojego ojca?

Nie mogłem dostrzec wyraźnie wyrazu jego twarzy, zamknąłem więc kopniakiem drzwi i nacisnąłem niemal na oślep wyłącznik po mojej prawej stronie. Kilka neonowych rurek drgnęło, oświetlając zimnym blaskiem pokój, twarz kędzierzawego faceta, krzesła, stół pokryty zielonkawym laminatem, plakaty na ścianach pokryte czerwonymi, żółtymi i niebieskimi znakami. Kędzierzawy facet skoczył do drzwi; przeciąłem mu drogę; rzucił się na mnie z wyciągniętą do przodu prawą ręką, niezupełnie tak, jakby chciał mnie uderzyć, ale prawie; zatrzymałem go odmianą manewru, jaki poprzedniego wieczoru zademonstrowałem mojemu bratankowi.

Szamotał się bardzo energicznie, ale teraz mogłem się posłużyć jego ramieniem jak dźwignią i przygiąłem mu głowę do podłogi. Mamrotał coś i dyszał, powiedział „*Grmmpuszczaj, bolas!*”

– Puszczę, jak mi wyjaśnisz. – Ja też nie mówiłem wyraźnie; na dodatek zastanawiałem się, czy jakiś przechodzień nie mógłby nas zobaczyć z ulicy, czy nie było błędem zapalenie światła.

– *Mmmhgrppuszczaj!* – powiedział kędzierzawy facet głosem zmienionym z wysiłku i frustracji.

Próbowałem się uspokoić, na ile było to możliwe w trakcie uporczywej walki mięśni, powiedziałem „Posłuchaj, ja nie jestem żadnym prywatnym mścicielem i wcale nie chcę oddać cię w ręce policji. Chcę tylko wiedzieć, czego wczoraj szukałeś, jasne?”

– *Grrmmmf.*

– Jasne? – powtórzyłem, nie przestając przyginać go do podłogi.

– *Hmmmtak* – powiedział w końcu kędzierzawy facet.

Zwolniłem nieco nacisk, powiedziałem „Porozmawiajmy po ludzku, zgoda?”

– *Mmrftak* – odpowiedział.

Puściłem go; wyprostował się jednym ruchem, otrząsnął się, cofnął na bezpieczną odległość. Staliśmy znów naprzeciw siebie, zadyszani. Słyszać było nasze oddechy, lekkie pbrzękiwanie szyb, gdy ulicą przejeżdżały samochody. Powiedziałem „Przykro mi. Ale nie miałem ochoty gonić cię znowu nie wiem dokąd”.

On milczał, spojrział w bok, szukając być może przedmiotu, który mógłby posłużyć do zadania ciosu. Miał piękną twarz o miękkich rysach.

Powiedziałem „Mógłbyś się uspokoić. Nie jestem wrogiem. Odwiedziłem nawet waszą stronę internetową, przeczytałem to, co piszecie. Zgadzam się z wami. Także według mnie zniszczenie równowagi na ziemi jest źródłem wszystkich problemów”.

Facet nadal milczał, ale odniosłem wrażenie, że jego napięcie zelżało, wyraz twarzy miał teraz bardziej niepewny.

Powiedziałem „Spójrz na mnie, do cholery! Myślisz, że jestem wrogiem? Czy naprawdę wyglądam na łajdaka?”

– Bo ja wiem – powiedział w końcu. – Prawie wyważasz drzwi i atakujesz mnie w taki sposób.

– Ja cię tylko zatrzymałem. I tylko wszedłem, nie prosząc o pozwolenie, tak jak ty wczoraj do mieszkania mojego ojca.

On podrapał się w czubek nosa; zapytał „Co chcesz wiedzieć?”

– Dlaczego wczoraj wszedłeś do mieszkania mojego ojca. I dlaczego twoja przyjaciółka Mette przyszła tamtego rana na cmentarz, by mnie spytać, czy znam kardynała Ndiabo, czy jak mu tam, i dlaczego wczoraj czekała na motorynce, żebyście mogli uciec?

Kędzierzawy facet patrzył na mnie uważnie, sądzę, że próbował rozstrzygnąć, czy powinien mimo wszystko uważać mnie za osobę niebezpieczną, czy też nie.

Podąłem mu rękę, wyciągając ramię bez ruszania się z miejsca, by nie odebrał tego jako nowego sygnału niebezpieczeństwa. Powiedziałem „Nazywam się Lorenzo”.

On jeszcze chwilę się wahał, po czym wyciągnął rękę i powiedział Jorge”. Uścisnął mi dłoń niezbyt silnie, szybko cofnął swoją.

Powiedziałem „Chciałbym się dowiedzieć, o co tu chodzi. Te dni są dla mnie dosyć dziwne”.

Oparł „Nie wszedłem do twego ojca, żeby kraść. Szukałem pewnej rzeczy”.

– Tego się domyśliłem. Czego szukałeś? Jeśli mi powiesz, może będę wam mógł pomóc.

On rozejrzał się po pokoju; powiedział „Tak, ale nie teraz. A poza tym, nie tutaj”.

– To kiedy? I gdzie? Twoja przyjaciółka Mette też mi powiedziała „Nie teraz, nie tutaj”, a potem zniknęła.

Kędzierzawy facet imieniem Jorge zapytał „Masz telefon komórkowy? Zadzwonimy do ciebie”.

– Ale kiedy? – spytałem z poczuciem, że straciłem już tę przewagę, jaką miałem, trzymając go za ramię.

On poszedł po leżący w kącie płócienny worek, zarzucił go na ramię. Spojrzał na zegarek, powiedział „Muszę lecieć, ale jeśli mi zostawisz numer, zadzwonimy”.

– Na pewno?

– Tak, tak. – Zgasił neonowe światło, otworzył oszklone, zmatowiałe drzwi, zaczekał, aż wyjdę.

Oparłem się o witrynę, napisałem numer komórki na odwrocie znalezionej w kieszeni paragonu z baru i podałem mu.

On włożył go do kieszeni, zamknął na klucz oszklone drzwi.

Popatrzyliśmy na siebie trochę z ukosa; w świetle ulicy nasza niedawna bójka wydawała się jeszcze bardziej absurdalna. Powiedziałem „Tylko zadzwońcie szybko, nie zostanę w Rzymie na zawsze”.

– Na pewno – i zaczął się oddalać.

W pierwszej chwili chciałem pozwolić mu odejść, ale potem pobiegłem za nim chodnikiem. Odwrócił się, z miną znowu zaalarmowaną. Powiedziałem Jedynym, co udało mi się zrozumieć, jest fakt, że to ma jakiś związek z tym kardynałem Ndiogo. Czy się mylę?”

– Ndionge – powiedział; rzucił szybkie spojrzenie na chodnik przed i za sobą.

– Jak?

– Kardynał Ndionge – powtórzył, nie zatrzymując się.

– No i? – zapytałem; doszliśmy właśnie do zakrętu ulicy. – Jaki to ma związek? Możesz mi chociaż to wyjaśnić?

– Muszę lecieć – powiedział. – Naprawdę. Już jestem bardzo spóźniony. – Zatrzymał się, przywiązana łańcuchem do latarni stała motorynka. Myśl, że to ta sama, którą dzień wcześniej uciekł z dziewczyną Mette, kazała mi ją widzieć w zaskakująco sugestywnym świetle, niby fragment historii rocka. Jorge otworzył kluczykiem kłódkę, owinął łańcuch wokół kierownicy, nacisnął pedał rozrusznika, wskoczył na siodelko, zjechał z chodnika, odjechał szybko z dymem i trzaskiem.

Krzyknąłem „Hej!”, ale wiedziałem, że pościg za nim byłby całkowicie daremny. Rozejrzałem się po ulicy, pełnej kamienic niegdyś szacownych, dziś podupadłych i zakurzonych, o kilkadziesiąt zaledwie metrów od stacji kolejowej.

Zostawiłem pikapa niedaleko gabinetu Dantego Marcadori

Zostawiłem pikapa niedaleko gabinetu Dantego Marcadori, na ulicy, gdzie mieści się wydział Nauk Politycznych. Pozdrowiłem ruchem ręki dozorcę, siedzącego w swoim pokoiku, poszedłem schodami w górę dwudziestowiecznego budynku. Myślałem o tym, ileż to razy wchodziłem nimi w okresie, gdy miałem od trzynastu do piętnastu lat, kiedy w stosunkowo krótkim czasie doświadczyłem objawów wszystkich niemal sklasyfikowanych chorób śmiertelnych. Na ten powtarzający się syndrom miały być może wpływ pewne bardzo kliniczne opisy mojego ojca, a może to mój przejściowy wiek czynił mnie szczególnie uczulonym na każdy najmniejszy sygnał, jaki z różnych części mojego ciała docierał do mózgu. Faktem jest, że przez jakieś dwa lata najmniejsze mrowienie na zewnątrz czy ledwie wyczuwalne ukłucie wewnątrz ciała utwierdzało mnie w przekonaniu, że jestem bardzo bliski końca. Kiedy myślałem, że niewiele mi już życia pozostało, mówiłem o tym matce, a ona dzwoniła do Dantego Marcadori z prośbą, by mnie zbadał, jako że, zgodnie z niepisaną zasadą rodzinną, ojciec nie zajmował się nami pod względem lekarskim. Najciekawsze, że zazwyczaj wystarczała mi wiadomość o umówionej wizycie, aby w ciągu kilku godzin wszystkie symptomy zniknęły; jeśli tak nie było, odzyskiwałem zdrowie, idąc po schodach do gabinetu. Tylko w przypadkach chorób szczególnie wyniszczających Dante musiał mnie powierzchownie zbadać, po czym obraz kliniczny zaczynał się rozwiewać. Patrzyłem na niego, gdy mnie osłuchiwał i kiwał głową, a na koniec uśmiechał się, prosty i suchy, ze swymi ostrzyżonymi na jeża włosami, na tle starych mahoniowych boazerii gabinetu, i przez nerwy przepływała mi ciepła fala ulgi. Pamiętam moje wrażenia w chwili, gdy się z nim żegnałem, zbiegałem po schodach i wyrzuciłem się na światło i odgłosy miasta: zdumiewającą lekkość, jaką czułem w nogach na myśl, że mam znowu do dyspozycji całe życie.

Nacisnąłem mosiężny guzik przy drzwiach z błyszczącego orzecha, usłyszałem w środku dźwięk starego dzwonka. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły, jakaś chuda, siwowłosa facetka w golfie wyjrzała na podest, zapytała „Tak?”

Powiedziałem „Dzień dobry, jestem Lorenzo Telmari”.

– Aha – odparła. – Wyrazy współczucia z powodu pańskiego ojca. – Podała mi rękę, suchą i nerwową, jak cała reszta jej osoby.

– Dziękuję. Chciałbym pomówić z profesorem, jeśli ma pięć minut.

Kobieta spojrzała na mnie z niepewną miną; powiedziała „Nie ma go”.

– Aha – powiedziałem.

Ona dodała „Czekaliśmy na niego tu w gabinecie dziś rano”.

– I jeszcze się nie pokazał?

Kobieta potrząsnęła głową.

– I nie wie pani, kiedy będzie?

Kobieta znowu potrząsnęła głową; jej rysy i spojrzenie wyrażały niepokój. Powiedziała „Nie odzywa się od wczorajszego popołudnia. Komórka jest stale wyłączona, jest tylko informacja, że «abonent nieosiągalny””.

– Może jest w domu?

Potrząsnęła głową jeszcze energiczniej. „Miał tam jechać wczoraj po południu, po wyjściu stąd. Ale nie. Próbowałam jeszcze dziesięć minut temu, nic”.

Przesunęło mi się przez głowę kilka obrazów Dantego Marcadori w jego gabinecie: ostatni raz, gdy poszedłem się zbadać z objawami śmiertelnej choroby, okropnie dawno; parę dni temu, w dawnym salonie mego ojca. Powiedziałem „Może miał coś ważnego do załatwienia za

miastem”.

Kobieta powiedziała „Uprzedziłby mnie. Dzisiaj o szesnastej mamy być na kongresie wirusologicznym w Fiuggi”.

Spojrzałem na zegarek, było parę minut po dwunastej. Powiedziałem „To pewnie wkrótce się zjawi”.

– Tak – odparła bez przekonania. – O czym chciał pan z nim mówić?

– To nic takiego. Chciałem go poprosić o informacje dotyczące pewnej sprawy związanej z ojcem.

Ona patrzyła na mnie spod przymkniętych powiek, stojąc sztywno przed uchylonymi drzwiami; powiedziała „Aha”.

Uścisnąłem jej znowu rękę, powiedziałem „W każdym razie jeszcze się usłyszymy, dziękuję”.

Ona odparła „Proszę”, ale nadal mi się przyglądała; minęło kilka sekund, zanim wróciła do mieszkania i zamknęła drzwi.

Schodziłem po schodach daleki od ulgi, jaką czułem w wieku trzynastu czy czternastu lat, kiedy Dante Marcadori potrafił wyzwolić mnie z taką łatwością z najokrutniejszych stanów patologicznych.

Jechałem bulwarem nad rzeką przez kilka kilometrów, z głową pełną poplątanych myśli. Zostawiłem pikapa na wolnym miejscu pod platanami przy pełnej ruchu alei, zagłębiłem się w starą dzielnicę niskich domów i wąskich ulic. Ja też przez długi czas mieszkałem na Trastevere; lubiłem myśleć, że mieszkam w miasteczku w środkowych Włoszech, które stanowi część metropolii, lecz nadal jest miasteczkiem.

Doszedłem do trzypiętrowej, otynkowanej na czerwono kamieniczki, gdzie mieszkał Dante Marcadori, w jednym z ostatnich zaułków, za którymi wzgórze zaczyna piąć się nagle w górę. Nacisnąłem guzik domofonu, poczekałem: nikt nie odpowiedział. Cofnąłem się zaułkiem aż do domu naprzeciwko, stanąłem na palcach, by spojrzeć w okna na ostatnim piętrze. Nie dostrzegłem zapalonych świateł ani ruchu.

W drzwiach małej knajpki na rogu stała niska i gruba panusia w kuchennym fartuchu, która mnie obserwowała. Zapytała „Pan też szuka profesora?”

– Tak – odparłem, trochę zaskoczony. – Ktoś go już szukał?

– Jakaś pani, strasznie chuda – powiedziała. – Uparta aż strach. Tłumaczyłam jej, że profesora nie ma i że ona nie musi stać tutaj i próbować otworzyć drzwi, i naciskać wszystkich guzików, i krzyżeć jak na jarmarku, ale ona nic. W końcu wychyliła się jedna pani z drugiego piętra, ta chora na nerwy, biedaczka.

– I co jej powiedziała?

– Że jak zaraz nie odejdzie, wezwie policję. Ta nie żartuje, wie pan. Nie pomyśli dwa razy. Zeszłego lata ludzie w restauracji robili, według niej, za duży raban, i wezwała ich, przysięgam. To jak się zjawił wóz policyjny, mój mąż mało ze złości nie dostał apopleksji.

– Ale ta pani z drugiego piętra widziała profesora Marcadoriego?

Panusia w fartuchu pokręciła przecząco palcem. „Pani Luciana, która u niego co rano sprząta, też dzisiaj przyszła i poszła, mówiła, że łóżko jest nietknięte. Wczoraj w nocy na pewno do domu nie wrócił”.

– A pani też go nie widziała?

– Kto, ja? – powiedziała, jak gdybym próbował wplątać ją w jakąś podejrzaną sprawę.

– Tak, pani.

– Nie, kochany – odparła panusia w fartuchu. – Ja nie widziałam zupełnie nic. Ani dziś,

ani wczoraj, ani jutro.

Pomyślałem, że trudno będzie uzyskać od niej inne informacje; pożegnałem ją i odszedłem.

Potem, gdy miałem już skrócić za róg zaułka, pochwyciłem kątem oka jakiś ruch: szybko przesuwały się w świetle cień. Odwróciłem się i zobaczyłem faceta z ogoloną głową, w płaszczu w kolorze wielbłądzim, który patrzył prosto na mnie, a w chwilę potem patrzył gdzie indziej. To szybkie odwrócenie wzroku skonsternowało mnie nie mniej niż fakt, że widzę go tam, gdzie przedtem nie było nikogo. Paniusia w fartuchu wróciła do swojej knajpy, zaułek był pusty, jeśli nie liczyć idącego powoli biało-czarnego kota. Tak naprawdę łysy facet rozmawiał teraz przez telefon komórkowy, wydawał się pochłonięty rozmową: obracał się w koło, gestykulował. Pomyślałem, że może popadam w paranoję albo po prostu odzwyczaiałem się od obecności tylu osób i ruchu w wielkim mieście. Skręciłem za-róg, przebiegłem kolejny, jeszcze węższy zaułek i wyszedłem na brukowaną ulicę zatłoczoną miejskimi turystami, którzy pojedynczo, parami i w grupach posuwali się, każdy z inną szybkością.

Szedłem dalej w kierunku placu, blisko którego mieszkałem przez cztery lata: mogłem dostrzec okna mojego dawnego domu. Mignął mi w głowie obraz jakiegoś śniadania, chmurne spojrzenie jakiejś dziewczyny, miłosny uścisk w wannie; odgłosy letniej nocy. Potem pomyślałem o tym, jak dziewczyna Mette odeszła cmentarnym trawnikiem, nic mi nie wyjaśniwszy; o jej ucieczce z kędzierzawym facetem imieniem Jorge; o gwałtowności, z jaką Nadine zakończyła naszą rozmowę i odjechała taksówką; o pośpiechu, z jakim Jorge oddalił się po raz drugi motorynką; o niepokoju w spojrzeniu suchej facetki na podeście przed gabinetem Dantego Marcadori. Zastanawiałem się, czy jest coś, co łączy te fakty, czy też to ja łączę je na siłę; czy są jeszcze inne, których nie udało mi się wychwycić.

Zanim skręciłem w lewo, za narożnik z restauracją, obejrzałem się i pośród wielu osób stojących i idących przez plac spostrzegłem znowu łysego faceta w wielbłądzim płaszczu. Jego oczy skierowane były bez wątpienia w moją stronę, ale nie byłem pewien, czy nie ma to związku z faktem, że ja z kolei patrzyłem na niego. W każdym razie znów natychmiast opuścił wzrok; spojrział na zegarek, odwrócił głowę, by popatrzeć na dwie dziewczyny, może Amerykanki, które przeszły, trzymając się pod rękę.

Skręciłem szybko w zaułek po prawej stronie i przystanąłem trochę dalej, przy murze. Po kilku sekundach zobaczyłem, że łysy facet skręca w lewo, krokiem na pozór swobodnym, i przygląda się przedmiotom rozłożonym na dywaniku sprzedawcy wyrobów pseudoafrykańskiego rzemiosła. Poszedłem za nim, przyspieszyłem kroku; wkrótce po nim wyszedłem na otwartą przestrzeń placu Santa Maria, pełnego turystów, mieszkańców dzielnicy, ludzi siedzących przy stolikach barów w bladym słońcu, kelnerów, fotografów-amatorów i muzyków grających cygański jazz, studentów teologii, włóczęgów, psów.

Przebiegłem po przekątnej plac, znalazłszy się po stronie południowej, spojrzałem do tyłu. Byłem przekonany, że zobaczę łysego faceta po stronie wschodniej, gdzieś między apteką a kioskiem, a tymczasem był jakieś dziesięć metrów za mną, zatrzymał się w pół kroku. Patrzyliśmy na siebie może przez dwie sekundy, po czym on się odwrócił, jakby chciał podziwiać fasadę kościoła. Sytuacja była tak dziwna, że budziła we mnie zmienne uczucia, wątpliwość, zdumienie i nieokreśloną agresję. Agresja przeważyła; ruszyłem prosto na niego.

On stał nadal w miejscu, z rękami w kieszeniach płaszczu. Chciałem na niego natrzeć, ale gdy kilka centymetrów zaledwie dzieliło mnie od zderzenia z jego ciałem, a przynajmniej od wymiany słów, moja agresja przeszła w niepewność, a niepewność w rodzaj współczucia dla jego uwagi zwróconej na pozór gdzie indziej i dla wielbłądziego płaszczu, trochę zbyt obszernego, dla pozycji jego ciała, odchylonego lekko w tył na obcasach. Przeszedłem za nim, dość blisko, by

poczuć zapach wody z supermarketu, obszedłem półkolem południowo-zachodnią stronę placu. Pomyślałem, że jesteśmy w okolicy spacerowej i całkiem możliwe, że zmierzamy po prostu w tym samym kierunku; próbowałem uświadomić sobie odległość między mną a innymi poruszającymi się osobami, by stwierdzić, czy i one mogą sprawiać wrażenie, że mnie śledzą.

Zawróciłem szerokim łukiem: łysy facet stał ciągle nieruchomo, zdawał się nadal zajęty kontemplowaniem scenografii placu. Przeszedłem krótką uliczkę łączącą plac z placikiem, gdzie jakiś chłopak z pitbullem grał okropnie na gitarze i śpiewał w języku udającym angielski. Staralem się iść normalnym krokiem, zmniejszyć napięcie mięśni. Wyszedłem na placyk pełen zaparkowanych samochodów, przy sklepie warzywniczym, którego właściciel wiele lat temu wypadł na dwór, wrzeszcząc jak wariat, tuż po zwycięstwie drużyny narodowej w mistrzostwach piłki nożnej. Pamiętałem bardzo wyraźnie, jak biegał w kółko i krzyczał z podniesionymi rękami, jak gorączkowo kręcił korbą, by zwinąć rolety i zamknąć sklep, by włączyć się w zbiorowe świętowanie.

Pokonując opór wewnętrzny, odwróciłem się jeszcze raz: łysy facet był znowu dziesięć metrów za mną. Ciepła mgła wątpliwości, czy on istotnie mnie śledzi, rozproszyła się w jednej chwili, fala adrenaliny zaczęła krążyć we krwi.

Uskoczyłem do tyłu i pobiegłem szybko bocznym zaułkiem. Ale po jakichś pięćdziesięciu metrach ciekawość zwyciężyła nad adrenaliną; zatrzymałem się, by spojrzeć do tyłu. Łysy facet zbliżał się do mnie w pełnym biegu, i gdy ujrzał, że nagle staję i odwracam się do niego, w jego oczach i rysach pojawiły się osłupienie, utajona agresja i zakłopotanie. Zaskoczenie i siła bezwładu nie pozwoliły mu zatrzymać się od razu, biegł jeszcze przez chwilę, zanim zdołał stanąć w miejscu. W tej sytuacji musiał zdać sobie sprawę, że nie ma już sensu niczego udawać: patrzyliśmy na siebie z odległości kilku metrów, w postawie wyrażającej nie tyle wyzwanie, co oczekiwanie.

Odwróciłem się i zacząłem znowu biec ile sił w nogach i ramionach, skręciłem w prawo, w wąską ulicę, gdzie po jednej stronie był mur jakiegoś ogrodu czy parku, zza muru wylaniały się gałęzie figowca. Facet pobiegł za mną, wściekłość związana z faktem, że się zdemaskował, pozwoliła mu biec szybciej; podeszwy jego butów uderzały *stuk stuk stuk* o porfirowe kostki bruku. Przez kilka sekund zachowywaliśmy tę samą odległość, potem udało mi się zyskać parę dodatkowych metrów przewagi. Kątem oka rejestrowałem jego ruchy, przypominające pracę mechanicznego tłoka, i sapiący oddech, jego całkiem bezkrytyczną determinację w próbie doścignięcia mnie. Zastanawiałem się, jaki ma właściwie cel: dopaść mnie, zasztyletować, zastrzelić, czy coś mi powiedzieć albo tylko nie stracić mnie z oczu. Zastanawiałem się także, czy nie lepiej byłoby się zatrzymać i stawić mu czoło, próbować rzucić nim o mur, rozmówić się z nim, przyjąć jakąkolwiek strategię, która nie byłaby ucieczką. Ale wszedłem w rolę uciekającego i nie umiałem z niej wyjść: biegłem dalej, najszybciej jak mogłem, na fali samonapędzających się argumentów, bardzo trudnych do zatrzymania.

Potem nagle w połowie wąskiej ulicy ukazało się kilka zaparkowanych granatowych samochodów ze stojącymi obok szoferami i ludzie zgromadzeni przed jakimś budynkiem. W pełnym biegu wpadłem w tłumek; dwie dziewczyny cofnęły się z przestrachem, jakiś chłopak coś powiedział, inni odwrócili się, gruby facet w okularach, ze słuchawką w uchu, jakie noszą ludzie z obstawy, wyprostował się czujnie. Spojrzałem do tyłu: łysy facet stał zdyszany jakieś dwadzieścia metrów za mną, ze wzrokiem utkwionym w moim. Odwróciłem się w stronę bramy i ujrzałem mojego brata Fabia, który wychodził w otoczeniu chmary fotografów i dziennikarzy z mikrofonami, kamerzystów z telekamerami, pochlebczyń i pochlebców krzyczących, uśmiechających się i gestykułujących. Spojrzeliśmy na siebie z odległości kilku kroków, z wyrazem, jak sądzę, podobnego zdumienia.

– Hej – powiedział; dał znak ochroniarzowi, który chciał mnie zatrzymać.

– Hej – odparłem, próbując złapać oddech.

– Co ty tu robisz? – zapytał Fabio.

– Przechodziłem. Po prostu. – Spojrzałem w zaułek: łysy facet zniknął.

Spojrzenia podnieconego tłumku wokół mego brata przenosiły się ze mnie na niego z mieszaniną ciekawości i irytacji.

Fabio wykonał nieokreślony gest, powiedział „Mój brat Lorenzo, samotny żeglarz”.

Ujrzałem kilka spojrzeń i parę kamer kierujących się na mnie, wśród nakładających się na siebie pytań i uwag, i kwestii, których nie byłem w stanie zrozumieć. Spojrzałem znowu w kierunku, skąd przybiegłem: był tam tylko, dużo dalej, starszy pan z psem.

Fabio skierował się do jednego z granatowych samochodów stojących przy murze, facet w okularach i ze słuchawką torował drogę pośród stojących wokół osób. Szofer otworzył mu drzwi; Fabio powiedział do mnie „Idź, wsiadaj z drugiej strony”.

Obszedłem samochód, wsiadłem. Zaraz za mną wsiadła facetka, niziutka blondyneczka w okularach. Przesunąłem się na środek, między nią a Fabia. Ochroniarz usiadł z przodu; szofer zapalił silnik.

Samochód ruszył zaułkiem, pośród gestów grupki zgromadzonych i ich głosów przytłumionych przez grube szyby. Fabio odchylił się na oparcie, westchnął; zapytał blondyneczkę „Jak wypadłem?”

– Nadzwyczajnie – odparła lekko schrypniętym głosem.

– Poważnie, czy przez grzeczność? – spytał Fabio.

– Wisiele ci na wargach, nie zauważyłeś? – powiedziała ona. – Całkiem zawojowani, słowo daję. Mogłeś z nimi zrobić, co chciałeś. – Miała okrągłe okulary bez oprawek, małe usta o wyraźnym rysunku.

Fabio potrzebował dalszych zapewnień; spytał „Czy na początku nie byłem zbyt ogólnikowy?”

– Tyle, ile trzeba, żeby osiągnąć cel – powiedziała blondyneczka. – Żeby wyszli zza swojej gardy, żeby się odsłonili, prawda?

– A potem? – spytał Fabio.

– Potem cięś prosto jak nóż – powiedziała ona. – Idealne cięcie. Mocne, trafne, zdecydowane. Skuteczne na sto procent. Aż strach.

– Część o funduszach unijnych i ministerstwie? – zapytał mój brat.

– Położyłeś ich na łopatki – odparła blondyneczka. – Widziałeś ich twarze, no nie?

Mój brat przytaknął ruchem głowy; wracał zapewne do swoich słów, do spojrzeń, które go otaczały. Wyciągnął rękę i wskazał nas sobie, powiedział „Wybaczenie, Giulia Cerlato, Lorenzo Telmari”.

– Domyśliłam się – powiedziała szybko blondyneczka.

Ucisnąłem jej rękę; jej oczy za okrągłymi szklami były kompletnie pozbawione zainteresowania moją osobą.

Skreśliśmy za róg naszym wielkim granatowym wozem, który ledwie się mieścił między murami. Przechyliłem się w stronę okienka z mojej prawej strony, żeby wyjrzeć, ale łysy facet zniknął, jedynym śladem naszej pogoni było bicie mojego serca, niezupełnie jeszcze normalne.

– Na co patrzysz? – spytał Fabio, naciskając równocześnie klawisze jednej ze swoich komórek, by odpowiedzieć na otrzymany właśnie SMS.

– Na nic – odparłem. – Jakiś facet mnie gonił. – Najdziwniejsze, że w moich myślach znowu pojawiły się wątpliwości, nie byłem już taki pewny, co się naprawdę zdarzyło.

Mój brat, w każdym razie, zbyt był zajęty, by zwrócić uwagę na moje słowa; zapytał

Giulię „Ta z haczykowatym nosem była z RAI Due czy z RAI Uno?”

– Z RAI Due – powiedziała Giulia bez chwili wahania. Była skupiona na Fabiu każdym nerwem i każdą iskrą energii, oddychała jego oddechem.

Fabio wyciągnął z kieszeni drugą komórkę, która wibrowała bezdźwięcznie, przeczytał nazwisko na ekranie, nie odpowiedział. „Dlaczego nie ma księżycowej twarzy?”

– Jest na Capri w związku z nagrodą Provenzano – powiedziała Giulia.

– Cholerny pech – powiedział Fabio. – Ta dzisiaj była trochę złośliwa, czy się mylę? Typ osoby niepewnej siebie i ambitnej, która stara się być nadgorliwa; i jeszcze ten gdczący głos.

Giulia potrząsnęła głową. „Ależ nie. Jest związana z Rovardim, ale w tym wypadku oni są po naszej stronie”. Miała na sobie spodnie i marynarkę z szarej wełny i białą bluzkę; kolana trzymała razem, odchylone w stronę drzwi, by nie zetknęły się przypadkiem z moimi.

Wyjechaliśmy na zatłoczoną ulicę; szofer włączył niebieski migacz, zaczął przyspieszać i hamować, i przyspieszać znowu, jadąc slalomem między innymi samochodami. Miałem chęć zapytać brata, czy nie ma przypadkiem najświeższych wiadomości o Dantem Marcadorim, lecz wystarczyło na niego spojrzeć, by zrozumieć, że to nie pora na zadawanie pytań.

On zapytał Giulię „O której mieli przyjść Somare i Saracco?”

– Pięć minut temu – odpowiedziała, rzuciwszy szybko okiem na zegarek. – Już na ciebie czekają. Chcesz, żebym sprawdziła?

– Nie, nie – powiedział mój brat. – Ale nudziarstwo. – Dostał kolejnego SMS-a; Giulia też dostała. Zaczęli obydwójce naciskać klawisze swoich komórek; pomyślałem, czy przypadkiem nie porozumiewają się między sobą.

Kiedy dojechaliśmy do Tybru, powiedziałem „Ja wysiadę tutaj, dziękuję”.

Szofer nawet nie zwolnił, póki Fabio nie powiedział mu „Stań na chwilę”. Giulia wysiadła, by mnie wypuścić, ale nawet z zewnątrz nie chciała stracić kontaktu z rzucanym jej co jakiś czas spojrzeniem mego brata.

Ochroniarz wysiadł, pokręcił głową na wszystkie strony, jak na podręcznikowych pokazach kontroli terenu.

Fabio zapytał mnie „Gdzie idziesz?” Ale jeden z jego telefonów zaczął dzwonić; dał mi znak, że „potem”.

Giulia podała mi rękę, prawie nie ściskając mojej, wsiadła do samochodu jak ryba wracająca do wody; ochroniarz zamknął drzwi, wskoczył na swoje miejsce z przodu.

Stałem na powietrzu w hałasie skrzyżowania, patrząc, jak granatowy samochód mego brata, migając niebieskim światłem, wjeżdża na pas zarezerwowany dla tramwajów. Potem ruszyłem wzdłuż rzeki w stronę miejsca, gdzie zostawiłem mego pikapa. Co jakiś czas odwracałem głowę, by sprawdzić, czy nie idzie za mną tysy facet lub ktoś inny, lecz wyglądało na to, że nie.

Przeszedłem przez plac z obeliskiem egipskim pośrodku

Przeszedłem przez plac z obeliskiem egipskim pośrodku, zacząłem wchodzić na górujące nad nim wzgórze. Byłem w dziwnym stanie ducha, powolne fale refleksji w morzu niejasności ożywianym nagłymi błyskami. Próbowałem naszkicować mapę nawigacyjną sytuacji, ale ciągle brakowało mi jakiejś współrzędnej. Więc pozwoliłem się nieść prądowi moich kroków, dryfujących przez popołudnie; tylko od czasu do czasu sprawdzałem sytuację po bokach i za mną.

Szedłem przez park, pogrążony w myślach. Znałem doskonale odległości między jednym punktem a drugim, ale gdy próbowałem obliczyć czas potrzebny na ich pokonanie, przeszkadzały mi w tym wspomnienia dziesiątków razy, gdy przemierzałem park w linii prostej czy łukiem, szalonym biegiem czy z przystankami, które mogły trwać wiecznie.

Przeszedłem przez asfaltowy most, gdzie kilkoro dziewczyn i chłopców na wrotkach ćwiczyło slalom między puszkami po napojach, rzucając spojrzenia na boki, by się upewnić, że są obserwowani. Ze stojącego na ziemi magnetofonu płynęła muzyka w stylu lat osiemdziesiątych, same syntezatory, baterie elektroniczne i głosy śpiewające falsetem. To nie była zabawa: nikt z nich nie śmiał się, nie żartował, nie traktował tego jako rozrywki. Jeździli tam i z powrotem w swoich pociętych džinsach i z gumkami od majtek na wierzchu, z rozjaśnionymi włosami, brutalnie wydepilowanymi brwiami i sztuczną opalenizną, jakby to była bardzo marginalna i monotonna praca w ramach jakiegoś spektaklu.

Szedłem w wilgotnym cieniu ostrolistnych dębów, gdzie sнуło się kilkoro zakochanych i paru emerytów, parę rodzin turystów zmęczonych i na wpół zagubionych. Wyszedłem na otwarty plac, między matki z dziećmi przy karuzeli i pary całujące się, robiące zdjęcia lub podziwiające panoramę miasta znad kamiennej balustrady. Ja też poszedłem spojrzeć: patrzyłem na plac z obeliskiem egipskim, z którego tu dotarłem, na bezmiar dachów i kopuł, i tarasów, i ulic, i samochodów, ciągnący się, jak okiem sięgnąć, w żółtym świetle, zamglonym dymem z rur wydechowych i urządzeń centralnego ogrzewania.

Komórka zaczęła wibrować i dzwonić w wewnętrznej kieszeni mojej kurtki: trochę czasu minęło, zanim usłyszałem ją w ogólnej wibracji dochodzącej od strony miasta. Na ekranie widniał napis „numer zastrzeżony”, mimo to jednak odpowiedziałem.

Jakiś dziewczęcy głos z cudzoziemskim akcentem spytał „Lorenzo Telmari?”

– Tak, a ty? – odparłem, chociaż ją poznałem.

– Mette – powiedziała ona. – Gdzie jesteś? – w tle słycać było także odgłosy ruchu ulicznego.

Wyjaśniłem jej, gdzie jestem.

Powiedziała „To spotykamy się na schodach na Piazza di Spagna za dziesięć minut”.

Chciałem zapytać ją o różne rzeczy, ale już się wyłączyła.

Czekałem na szczycie scenograficznych schodów, pomiędzy furgonetkami sprzedawców napojów i kanapek i turystami, którzy przystawali, by odsapnąć, studiowali swoje mapy i obserwowali innych turystów, rozproszonych na prowadzących w dół jasnych stopniach schodów i na placu z palmami i dorożkami konnymi, i na mrowiących się tłumem ulicach trochę dalej. Między tyloma postaciami nieruchomymi i w ruchu starałem się dostrzec postać Mette, taką, jaką zapamiętałem, ale pole obserwacji było zbyt szerokie i ciągle się zmieniało. Na dodatek nie wiedziałem, z której strony ma nadejść; przesuwałem ciągle wzrok z jednego miejsca w drugie.

Zszedłem do połowy schodów, notując w pamięci twarze i pozycje ciał, i spojrzenia, i gesty, i głosy, aż nagle niżej, po prawej stronie, ujrzałem płaszcz w kolorowe wzory i miodoworude włosy, które dobrze pamiętałem. Dogoniłem ją w kilku susach, powiedziałem „Hej”.

Mette lekko drgnęła; jej twarz wydała mi się równie nieznajoma i swojska jak jej sposób mówienia.

Próbowałem ustalić, jak się mam wobec niej zachować, ale było już za późno. Powiedziałem „No więc?” tonem kompletnie niezdecydowanym.

Ona machnęła nerwowo ręką w stronę prostopadłej do placu via Condotti, powiedziała „Przejdźmy się”.

Zeszliśmy na dół i ruszyli w milczeniu dwukierunkową rzeką spacerowiczów i oglądających, między wystawami kipiącymi światłem, ubraniami, butami, torebkami i biżuterią. Nie patrzyliśmy na siebie, chyba że przelotnie, rejestrując ruch wokół nas.

W pewnej chwili Mette zapytała „Dlaczego dziś rano napadłeś na Jorgego?”

– Nie napadłem na niego – powiedziałem. – Chciałem tylko, żeby znowu nie uciekł i żeby mi wytłumaczył coś z tego, co się dzieje.

Ona wyciągnęła z kieszeni czarną wełnianą czapkę i założyła ją na głowę. Powiedziała „To nie takie proste”.

– Przynajmniej to zrozumiałem. – Byłem skrepowany; wydawało mi się, że ton mojego głosu jest głupi, że mam sztywne ruchy.

Mette podniosła na mnie wzrok, jakby raz jeszcze chciała mnie szybko ocenić; jej wargi rozciągnęły się na chwilę lekkim uśmiechem.

Powiedziałem „Chciałbym zrozumieć *wszystko razem*. Na przykład, dlaczego dzisiaj byłem śledzony przez nieznanego faceta na Zatybrzu. Choć może wyda ci się to dziwne, nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się nic takiego”.

Ona stanęła; jej niebieskie oczy były ciemniejsze, niż mi się zdawało, pojawiały się w nich również inne kolory. Zapytała „Kiedy?” Parę dziesiątków spacerowiczów-oglądających przeszło obok nas, niesionych prądem; twarze i płaszcze, i futra, i puchowe kurtki, i czapki, i kapelusze, i komórki, i usta, i oczy, oczy, oczy.

– Półtorej godziny temu, mniej więcej.

– Jesteś pewny?

– Oczywiście, że jestem pewny. Szedł za mną przez dwadzieścia minut.

Rzeka ludzi za naszymi plecami płynęła niepowstrzymanie, przepychała się; Mette ruszyła do przodu. Zapytała „Jak wyglądał?”

– Łysy. W wielbłądzim płaszczu.

Ona zdawała się ogromnie zaniepokojona; zapytała „A ty co zrobiłeś?”

– Próbowałem uwolnić się od niego. Ale to nie było łatwe. Potem zacząłem biec.

– A on?

– Pobiegł za mną. Potem napotkałem brata i innych ludzi, a gdy się rozejrzałem po ulicy, już go nie było.

Doszliśmy do skrzyżowania z via del Corso, gdzie podwójna rzeka ludzka, której stanowiliśmy część, zbiegała się z inną podwójną rzeką, jeszcze bardziej zwartą. Mette szybkim ruchem wzięła mnie pod ramię; przeszliśmy na drugą stronę, weszli w uliczkę biegnącą okrężnie w lewo.

Dziwne wrażenie robiła na mnie ta bliskość, pozwalająca uchwycić wewnętrzny rytm jej kroków: podobało mi się to, a jednocześnie myślałem, że nic nie wiem o niej ani o jej zamiarach. Powiedziałem „Czy możesz być tak uprzejma i coś mi z tego wyjaśnić? Na przykład, czego u

diabła szukaliście w domu mojego ojca? I czy jest jakiś związek między tym, czego szukaliście, a faktem, że ktoś chodzi za mną zaułkami Zatybrza? Czy może chcę za dużo wiedzieć?”

Ona kiwnęła głową. Tkwiąca w niej mieszanina nieśmiałości i zdecydowania zdawała się odpowiadać liniom jej czoła i nosa. Rozejrzała się wkoło, powiedziała „Pytałam cię, czy słyszałeś o Ndongem, okay?”

– Okay – powiedziałem, lekko nachylony ku niej, by lepiej słyszeć jej głos w ogólnym hałasie.

Ona przycisnęła mi biodro do biodra, by skrócić w brukowaną ulicę na lewo; powiedziała „To był kardynał z Senegalu”.

– Dlaczego był?

– Umarł – powiedziała Mette. – Na AIDS.

– Aha.

– Tak.

– I jak się tego nabawił? Przez transfuzję krwi?

– Nie.

– Aha – powtórzyłem.

Mette powiedziała „Watykan oczywiście próbował wszystko zatuszować. Kiedy czuł się już bardzo źle, przekonano go, by pozwolił się zabrać do Rzymu i zamknięto w jakiejś klinice. Wersja oficjalna głosi, że umarł na zapalenie płuc”.

– No tak – powiedziałem. – Wyobrażam sobie, że nie zależy im na rozpowszechnianiu tej wiadomości: kardynał umiera na AIDS.

– Nie. Ale to nie była jedyna prawda, którą należało ukryć.

– Dlaczego, były jeszcze jakieś inne prawdy?

Mette przycisnęła jeszcze mocniej moje ramię, powiedziała „Kiedy Ndionge dowiedział się, że jest chory, przeżył straszny kryzys moralny i napisał żarliwy memoriał przeciw polityce Kościoła katolickiego w sprawie antykoncepcji i odmowie zmierzenia się w sposób uczciwy z problemami AIDS i przeludnienia”.

– Naprawdę? – byłem skoncentrowany w równym niemal stopniu na treści zawartej w jej słowach i na ich brzmieniu w moim prawym uchu.

– Tak – powiedziała. – To dokument napisany z całkowitą szczerością i pasją, który wykazuje bez ogródek, jaką zbrodnią jest występować zajadle przeciw prezerwatywom i ograniczać się do patrzenia, gdy tymczasem w ciągu dwudziestu pięciu lat przeszliśmy od kilkudziesięciu do *czterdziestu ośmiu milionów* przypadków nosicieli i chorych na AIDS na świecie. Z których tylko milion ma dostęp do leków. A *trzy miliony* umierają co roku, w tym pół miliona *dzieci*.

– Wiem, to potworne – powiedziałem.

– I nie mówi tych rzeczy z zewnątrz, oddalony o tysiąc długości i filtrów, ale z samego środka, rozumiesz? Z samego serca problemu, z piekła, gdzie zakażonych przybywa w rytmie *pięciu milionów* na rok.

– Jasne – obecna w jej głosie pasja udzielała mi się i jak prąd płynęła pod skórą.

– Ale mówi nie tylko o AIDS – powiedziała Mette. – Czy o dziesiątkach milionów osób, które co roku umierają z głodu. Mówi o polityce Stanów Zjednoczonych i ONZ, o racjach tkwiących za całkowitą rezygnacją państw i organizacji międzynarodowych z kontroli nad przyrostem ludności. Mówi, że błędne w samym założeniu są rządzące ekonomią i polityką koncepcje rozwoju i wzrostu.

Przytaknąłem ruchem głowy, bo nie mogłem znaleźć słów, by jej powiedzieć, jak bardzo się z nią zgadzam.

Ona powiedziała „A fakt, że wszystko to napisał kardynał katolicki, przydaje sprawie ogromnej wagi. Ktoś, kto trzymał się zawsze nakazów hierarchów watykańskich, choć zdawał sobie sprawę, jak straszne są ich konsekwencje”.

– Jasne. A wy macie kopię memoriału?

– Nie.

– To skąd to wszystko wiecie?

– Mamy nasze kanały – odparła tym samym tajemniczym tonem, jakim mówiła ze mną na cmentarzu.

– Ale w tym szczególnym wypadku? Kto był waszym kanałem?

Ona spojrzała na wysokiego faceta, który rozmawiał przez komórkę oparty o mur; na panią w futrze, która obeszła nas naokoło, by spojrzeć pożądliwie na jakąś wystawę. Powiedziała „Asystent Ndiongego. Maurice. Był naszym przyjacielem, uczestniczyliśmy razem w kampanii przeciw niszczeniu środowiska Buszmenów południowoafrykańskich”.

– Dlaczego mówisz, że był? Teraz już nie jest?

– On też nie żyje.

– Z powodu AIDS?

– Nie. Potracony przez ciężarówkę, w Senegalu.

Popatrzyłem na nią z bliska, w ciepłym świetle wystawy z artykułami piśmiennymi: był dziwny kontrast między czystością jej rysów a mrocznym niepokojem, jaki przekazywały mi jej słowa.

Mette powiedziała „To on przepisał na maszynie memoriał Ndiongego”.

– Na maszynie?

– Tak, nie mieli komputera. Napisać na maszynie. Przez kalkę, żeby zrobić kopię.

– I opowiedział wam, co tam było?

– Tak – odparła Mette. – To nie był dokument zastrzeżony, zwracał się do wszystkich mieszkańców planety. Umówiliśmy się z Maurice’em, że spotkamy się w październiku i porozmawiamy o tym, co zrobić, by go jak najbardziej upowszechnić.

– A tymczasem on też zmarł.

– Stał na skraju drogi, czekając na autobus, by wrócić do domu z wioski rodziców, i najechała na niego jakaś rozpedzona ciężarówka. Potem kierowca uciekł. Zdarzyło się to na tydzień przed wyjazdem Ndiongego do Rzymu. Strasznie nas to wszystkich przybiło, bardzośmy go lubili.

– A memoriał, co się z nim stało? Zniknął za sprawą tych z Watykanu?

Potrząsnęła przecząco głową. „Kiedy przyszli po Ndiongego, by go przywieźć tutaj i zamknąć w klinice, położyli ręce na jego papierach, ale dwóch kopii memoriału już tam nie było”.

– A gdzie były?

– U twojego ojca – powiedziała Mette.

Przystaliśmy przed wystawą z męskimi koszulami;

trochę dalej, na rogu, stał facet i grał na skrzypcach jakiś utwór Paisiella. Patrzyłem na Mette z odległości kilku centymetrów, w szumie i gwarze oglądających-spacerowiczów, którzy nas mijali, a tymczasem jedna część mojego mózgu łączyła ze sobą, na własny rachunek, niewytłumaczalne na pozór wydarzenia ostatnich dni. Zapytałem Jakim cudem u mojego ojca?”

Mette powiedziała „Twój ojciec i Ndionge poznali się na międzynarodowym kongresie w Rotterdamie, kilka lat temu. Potem, kiedy Ndionge dowiedział się, że jest chory, ponownie nawiązał z nim kontakt, pisywali do siebie i rozmawiali przez telefon w okresie, gdy pisał memoriał. Ndionge myślał, że epidemiolog tak sławny i szanowany w całym świecie jak Teo

Telmari pomoże mu go rozpowszechnić w najlepszy sposób, z całym potrzebnym aparatem naukowym i dokumentacją”.

– Nie mogliście powiedzieć mi tego wcześniej?

– Próbowaliśmy. Ale to nie było łatwe. Twój ojciec nie chciał mieć z nami nic wspólnego, a o tobie nie wiedzieliśmy, po czyjej jesteś stronie.

Skrzypek na rogu wziął fałszywą nutę, w zamian przyspieszył tempo; światło dnia odchodziło z takim samym pośpiechem. Powiedziałem „Po waszej, czy tego nie widać?”

– Z czego miałyby być widać?

– Z mojej twarzy. Sama to wiesz, inaczej nie opowiedziałabyś mi tych rzeczy, prawda?

Ona przyjrzała mi się jeszcze w świetle wystawy, wywołując we mnie rodzaj wewnętrznego laskotania. Powiedziała „Więc pomóż nam zabrać memoriał od twego ojca”.

– Jesteście pewni, że te dwie kopie są jeszcze w jego domu?

– Nie. Ale mamy nadzieję, że tak. Jeśli twój ojciec nikomu ich nie dał, muszą tam być.

– Jasne. A potem co zamierzacie z nimi zrobić?

Ona znów wzięła mnie pod rękę; zakręciliśmy w prawo i weszli w inną brukowaną ulicę. Powiedziała „Rozpowszechnić memoriał wszelkimi możliwymi sposobami. Zorganizować konferencję prasową, umieścić go w Internecie, wydrukować, rozesłać po świecie, jakby tego chciał Ndionge. Jeśli nam się uda, może wywołać ogromny szok, coś naprawdę może się ruszyć. Takie okazje zdarzają się bardzo rzadko”.

Na ulicy, gdzie było mniej wystaw, mniej przechodniów i mniej świateł, czułem z większą intensywnością ciepło jej ciała i jego konsystencję, jej oddech, jej zapach polnych kwiatków. Powiedziałem „W takim razie, jedźmy go szukać od razu. Zostawiłem mojego pikapa dziesięć minut drogi stąd”.

Mette spojrzała na mnie: wyraz jej twarzy był poważny, świadczył o gotowości do akcji.

Zaraz potem przypomniałem sobie o Fabiu; powiedziałem „Mój brat, po tym, jak do domu dostał się Jorge, kazał postawić na zewnątrz faceta, który sprawdza, kto wchodzi i kto wychodzi. Myślał, że to był złodziej”.

Mette zwolniła kroku; jej dziecięcy niemal profil czynił sytuację, w której znaleźliśmy się oboje, jeszcze bardziej niepokojącą. Powiedziała „Lepiej, żebyśmy tam poszli dzisiaj w nocy”.

– O której?

– O jedenastej. Spotkamy się u wylotu mostu, przed domem twojego ojca. – Wysunęła rękę spod mojego ramienia i oddaliła się szybko, co wywołało u mnie dziwne wrażenie straty, zagubienia.

Na zaciemnionej części ulicy stała motorynka, gdy znaleźliśmy się w świetle latarni, ujrzałem za kierownicą Jorgego. Powiedział coś do Mette, podniósł w moim kierunku rękę gestem nieśmiałego pozdrowienia. Mette usiadła na siodelku za nim; odwróciła się, by mi pomachać, i motorynka zniknęła w pełnym już listopadowym wieczorze.

Zjadłem w kuchni z Harrym i Emily

Zjadłem w kuchni z Harrym i Emily: ryż gotowany na parze, cukinie i krewetki, płaskie placuszki. Rozmawialiśmy o miejscowościach, jakie poznałem na Filipinach, uparcie próbowaliśmy odtworzyć niektóre trasy. Fabio, Nicoletta i Tommaso byli na otwarciu jakiejś wystawy: widzieliśmy ich przez parę sekund na ekranie telewizora, w którym dźwięk ściszony był do minimum.

Potem obejrzeliliśmy materiał o ptasiej grypie, która groziła przeniknięciem z Azji do Europy. Głos spoza ekranu opisywał sytuację w tonie rosnącej paniki, zdjęcia pokazywały ludzi w białych kombinezonach, którzy gonili kaczki i gęsi, chwyтали je za skrzydła lub szyje i wpychali do plastikowych worków. Na innych zdjęciach plastikowe worki wrzucano do świeżo wykopanych, pulsujących życiem dołów, które ktoś zasypywał szuflami wapna. Następnie pojawił się jakiś lekarz, który tłumaczył, że szczepionka nie jest jeszcze dostępna, ale że wszystko jest pod kontrolą. Potem ukazał się minister zdrowia i wyjaśnił grzmiącym głosem, że rząd zajął się już zakupem trzydziestu milionów dawek szczepionki i nie ma się zupełnie czym martwić. Potem pojawił się znowu spiker w studio, wyliczył inne dane, jeszcze bardziej alarmujące, i zakończył słowami, że nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Myślałem nadal o profilu Mette i o jej słowach w czasie naszej wędrówki przez brukowane ulice centrum, o jej zapachu polnych kwiatów, o tym, jak trzymała mnie pod rękę. Od czasu do czasu patrzyłem na zegarek, rosła we mnie niecierpliwość.

Fabio, Nicoletta i Tommaso wrócili, wnosząc do mieszkania stan napięcia. Tommaso poszedł bez słowa do swojego pokoju, Nicoletta zajrzała, mówiąc z wymuszonym uśmiechem „Co słyhać?”, i odeszła korytarzem, zabierając ze sobą Emily.

Fabio wszedł, poprosił Harry'ego o szklankę soku z grejpfrutów, zapytał mnie „No więc?”

– No więc? – powtórzyłem, cokolwiek by to miało znaczyć.

Powiedział „My dwaj nie mamy nigdy czasu o niczym porozmawiać”.

– To prawda – powiedziałem, chociaż to zdanie wydało mi się czysto okolicznościowe.

Zapytał „Przejdziemy tam?”

Poszliśmy do salonu, ja usiadłem na jednym z foteli, on na kanapie przed wielkim ekranem TV. Obaj, jak sądzę, pomyśleliśmy o wielu sprawach, o których należało porozmawiać, ale obydwaj byliśmy pochłonięci innymi myślami. Fabio manewrował pilotem, by sprawdzić, czy na którymś kanale nie ma czegoś, co by go dotyczyło. Powiedziałem, że widzieliśmy ich w telewizji; kiwnął potakująco głową, zaczął czytać i pisać SMS-y na jednej ze swoich komórek. Znowu spojrzałem na zegarek: było dwadzieścia po dziesiątej, serce zaczynało mi bić szybciej.

Fabio włożył komórkę do kieszeni, rzucił na mnie okiem; spytał „Wszystko w porządku?”

– Wszystko w porządku.

– Dzisiaj nie wydawałeś się taki pogodny – powiedział; na plazmowym ekranie dwie trzeciorzędne postaci telewizyjne odgrywały z wielkim zapałem kłótnię pod okiem zawodowej prowokatorki.

– Nie? – zdumiewało mnie, że to zauważył.

– Wyglądałeś, jakby krew uderzyła ci do głowy. – Nacisnął znowu guziki pilota: na ekranie ukazał się polityk z bloku rządowego, któremu telewizyjny błazen rzucał w twarz tort ze śmietaną, a on natychmiast odpowiadał kopniakiem.

– To możliwe – powiedziałem. – Jeśli wziąć pod uwagę, że właśnie ktoś mnie gonił przez

pół Zatybrza.

Fabio odwrócił się do mnie znowu, zobaczyłem, jak zaciskają się mięśnie jego szczęki. Zapytał „Kto?”

– Jakiś łysy facet w wielbłądzim płaszczu. Próbowałem powiedzieć ci o tym, kiedyśmy się spotkali, ale nie bardzo mnie słuchałeś.

On zgasił telewizor, patrzył na mnie nieruchomo.

Powiedziałem „Nawet wiem, dlaczego mnie gonił. Odkryłem to dziś po południu”.

– Co odkryłeś?

– Że tata miał w swoich papierach memoriał pewnego senegalskiego kardynała, który umarł na AIDS.

– Wiem o tym – powiedział szybko.

– A skąd wiesz? – zapytałem z poczuciem, że jestem zawsze o krok do tyłu w stosunku do faktów.

Fabio podniósł się z kanapy, powiedział „Możliwe, że dla ciebie nie jest to zupełnie jasne, ale ta sprawa ma poważne konsekwencje, Lorenzo”.

– Otóż właśnie jest to dla mnie zupełnie jasne. Nie sądzisz, że powinienś być porozmawiać o tym ze mną, przytoczyć jakieś dowody?

– Nie chciałem cię w to mieszać – powiedział.

– W jakim sensie, wybaczyć? Mam wrażenie, że jestem w to zamieszany w takim samym stopniu, jak ty.

– Więc powiedzmy, że ja byłem bardziej świadomy konsekwencji, w porządku?

– A to dlaczego?

– Ze względu na moją pracę. Na rolę, jaką pełnię, okay?

– I co z tego? – zapytałem, czując, że w moje zniecierpliwienie wkrada się nuta niepokoju.

– Otrzymałem pewne sygnały z pewnych kręgów i zachowałem się odpowiednio do nich.

– Co to znaczy? Czy mógłbyś, z łaski swojej, przestać mówić szyfrem?

Dał mi znak, żebym mówił ciszej; powiedział „Oddałem ten memoriał, dla dobra wszystkich zainteresowanych”.

– Kiedy? Komu? – spytałem, czując nagłą chęć pochycenia go za marynarkę i potrząśnięcia.

– Dziś wieczorem. Temu, kto mnie o to poprosił.

– A kto cię o to poprosił? Kto?

– Nie krzycz – powiedział Fabio; otworzył drzwi balkonowe, wyszedł na taras.

Wyszedłem za nim w nieruchome światło podświetlających taras reflektorów. Spytałem „Ci z Watykanu? Co? To oni, prawda?”

Fabio machnął ręką, żeby mnie uciszyć; spojrzał w stronę salonu, w stronę podwórza, zwrócił się znowu do mnie. Powiedział „Słuchaj, mieli wszelkie prawo tego chcieć. To był jeden z ich kardynałów i to jest ich sprawa wewnętrzna”.

– To wcale nie jest ich sprawa wewnętrzna! To sprawa dotycząca *świata*! Ndionge napisał ten memoriał, bo chciał, by wszyscy go przeczytali!

– Nie krzycz! – powtórzył Fabio gardłowym głosem. – Co ty zresztą o tym wiesz? Czytałeś ten memoriał?

– Nie. Ale mi o nim mówiono.

– Kto mówił? Czy przypadkiem nie twoi przyjaciele ze Stopwatcha? Ci, którzy weszli do domu taty, próbując go ukraść?

– Co ty wiesz o Stopwatchu?

Uśmiechnął się leciutko. „Nie jesteś wielkim konspiratorem, Lorenzo. Widziano cię”.

- Kto? – spytałem, próbując cofnąć w myśli taśmę rejestrującą moje trasy z ostatnich dni.
- Powiedzmy, że ci, którzy poprosili mnie o memoriał.
- Ci ze Stopwatcha nie chcieli go ukraść. Chcieli go tylko zanieść w bezpieczne miejsce.
- Bardzo przepraszam – powiedział Fabio. – Ale wejść po kryjomu do cudzego mieszkania z zamiarem wyniesienia z niego czegokolwiek, to dla mnie znaczy k-r-a-ś-ć.
- Dokładnie to samo zrobiłeś ty! – powiedziałem. – To ty byłeś złodziejem! I tchórzliwym oportunistą!
- Ja wszedłem do domu mojego ojca. Wziąć rzecz wchodzącą w skład należnego mi prawnie i moralnie spadku.
- To był, zdaje się, i *mój* ojciec! Nie miałeś żadnego prawa robić czegoś takiego, nic mi o tym nie mówiać!

Fabio włożył ręce do kieszeni i zbliżył się do mnie, trzymając się prosto na nogach, by wyrównać te dwa i pół centymetra wzrostu, jakie różniły nas na jego niekorzyść. Powiedział „Zrobiłem tę jedną jedyną rzecz, jaką mogłem i musiałem zrobić, Lorenzo”.

- Ale *dłaczego*?

Potrząsnął z wolną głową, powiedział „Czy naprawdę myślisz, że dla polityka z aspiracjami nieekstremistycznymi dobrym pomysłem byłoby stawać, w tym kraju, przeciw Kościołowi katolickiemu?”

- Ndionge też był katolikiem – powiedziałem. – Był wręcz kardynałem. Jego memoriał występuje przeciw błędnej polityce najwyższych władz kościoła katolickiego i innych potęg światowych, a nie przeciw katolikom! Mówi również o prezydencie amerykańskim i o ONZ!

Fabio pokiwał palcem w prawo i w lewo, powiedział „Ej? Czy mógłbyś mi wyjaśnić, w jakim stanie jest twoja głowa, Lorenzo? Czyżby ci pozostały strefy wiecznej niedojrzałości, niepozwalające ci zrozumieć, jak funkcjonuje świat?” – Az tobą co się stało? Z tą patologiczną pogonią za powszechną aprobatą, niezależnie od tego, czy na nią zasługujesz?

- To zadziwiające, do jakiego stopnia jesteś infantylny.
- To zadziwiające, do jakiego stopnia jesteś cyniczny.
- Gdyby dokument tego rodzaju – powiedział – dotarł do publicznej wiadomości, jego efekt byłby druzgocący! Czy możliwe, żebyś nie zdawał sobie z tego sprawy?
- Zdaję sobie sprawę, że zapoczątkowałby wreszcie dyskusję!
- Zejdz z księżycy, Lorenzo! Jaką niby dyskusję! Kardynał, który wyznaje, że złapał AIDS, a potem pisze dziesiątki stron o tym, że polityka Watykanu wobec antykoncepcji jest „tragicznym błędem, który upór czyni potworną zbrodnią” i że „pasterze, zamiast prowadzić swoje trzody ku zbawieniu, prowadzą je, jak oprawcy, na rzeź”! Dosłownie!
- Więc go przeczytałeś.

Nie słuchał mnie; powiedział „Kościołowi katolickiemu przyniosłoby to szkody nieobliczalne! Nieobliczalne!”

- Albo mógłby przemyśleć jeszcze raz swoje wybory! Wyjść spod swojej przerażającej kapy dogmatyzmu i hipokryzji!
- Obudź się, Lorenzo! – powiedział Fabio. – Skończ z tym opowiadaniem się zawsze po niewłaściwej stronie, w imię Bóg wie jakich abstrakcyjnych zasad!
- To nie jest abstrakcyjna zasada! To zasada, która nie pozwala pogrzebać po raz kolejny problemu, w którym kryją się wszystkie inne!
- I jakież to miałby być problem?
- Rozmnażanie się naszego gatunku ponad wszelkie dopuszczalne limity! Definitywne zniszczenie wszelkiej równowagi między nami a planetą, na której żyjemy!

– To planeta, która umie się dostosowywać – powiedział mój brat z ironicznym i asekuracyjnym uśmiechem. – Przeżyła tyle rzeczy przez te miliony lat. Meteoryty, zlodowacenie. A jakże.

– Ale i dostosowywanie się ma swoją granicę! Ponad połowa ludzi na ziemi żyje już teraz w warunkach niedopuszczalnych, a w ciągu najbliższych dwudziestu lat urodzi się ich kolejne dwa miliardy! To *dwa tysiące milionów* osób! Dziesiątki milionów z nich umrą na AIDS, dziesiątki milionów z głodu! Wszystkie inne gatunki zwierzęce i roślinne zostaną zniszczone w sposób nieodwracalny! Przy całkowitym milczeniu tych, którzy mogliby podjąć jakieś decyzje, a tymczasem nawet o tym nie mówią!

– Może trochę zbyt długo byłeś włóczęgą i pustelnikiem, Lorenzo. Gdybyś zasięgnął informacji, odkryłbyś, że mówi się o przyszłości świata.

– Kto mówi? Nafciarze? Szefowie międzynarodowych przedsiębiorstw handlu bronią, tytoniem i mlekiem w proszku, którym rozpaczliwie potrzeba coraz dalej sięgających rynków?

– Polityka, Lorenzo. Polityka o tym mówi. I zamiast wpadać w niepotrzebną panikę, próbuje znaleźć odpowiedzi.

– Ach, tak? Jaki rodzaj odpowiedzi?

– Zmniejszenie nierówności, abolicja długów, konkretnie kierowana pomoc, dostęp do narzędzi postępu.

– Wśród których nie ma kontroli urodzin, prawda?

Nie słuchał mnie; powiedział „Nowoczesne rolnictwo doprowadziło do zwiększenia czte-ro-krot-nie plonów z hektara w ciągu kilku dziesiątków lat. Gdyby istniał równy podział zasobów, każdy mieszkaniec ziemi miałby tyle żywności, ile mu potrzeba”.

– A jak uzyskać ten równy podział? Odbierzesz Tommasowi połowę jego zakichanych batoników i wyślesz je do Afryki?

– Co ma do tego Tommaso?

– To, że zasoby, które pochłania twój syn, wystarczyłyby na przyzwoite wyżywienie kilku dziesiątków osób w innych częściach świata. A twoja pensja parlamentarzysty – kilku *tysięcy*? Ale wy dwoje bylibyście gotowi zrezygnować choćby tylko z połowy tego, co macie? Z jednej trzeciej? Z jednej czwartej?

– Co to ma do rzeczy? Moja praca jest poważną pracą w służbie ludzi! Dla innych! Przeczytaj sobie propozycję prawa, którą podpisaliśmy z Langonettim, dotyczącego przekazania jednego koma siedem procenta naszego PNB na pomoc dla krajów rozwijających się! Zanim przyjdiesz mi wygłaszać te pieprzone demagogiczne tyrady!

– Ale chodzi o to, że żaden rodzaj pomocy nie odniesie skutku, jeśli nadal będziemy się mnożyć w takim tempie! Możesz wysyłać jałmużnę w postaci ilu chcesz tylko worków ryżu i wody mineralnej w plastikowych butelkach, ale nigdy nie będzie tego dosyć! A o ile, twoim zdaniem, może wzrosnąć jeszcze produkcja rolna, by sprostać wykarmieniu za kilka lat kolejnych dwóch miliardów osób?

– Lepiej niż nic nie robić, nie sądzisz? – powiedział Fabio.

– Pewno, że lepiej! Ale to nie rozwiąże w najmniejszym nawet stopniu problemu, o ile równocześnie, ze wszystkich sił i przy użyciu wszelkich dostępnych środków, nie będzie się próbowało zatrzymać wzrostu populacji!

– No cóż, zatrzyma się go, wcześniej czy później. Jak mówią demografowie, w pewnej chwili krzywa przestanie rosnać i po trochu stanie się linią poziomą.

– Ale jak będzie wtedy wyglądał świat? Biorąc pod uwagę, że nie jest w stanie rozszerzyć się w przestrzeni poza swoje fizyczne granice?

– Ależ ty jesteś katastrofistą – powiedział mój brat. – Matko boska. Sam się zastanów.

I choć uważałem, że jest nieznośnie arogancki i obrzydliwy, budził we mnie tę samą mieszaninę gniewu i współczucia, którą czułem jako dziecko, gdy w czasie kłótni tkwił z uporem po niewłaściwej stronie, nie mając dosyć informacji ani elastyczności umysłowej, by od swego stanowiska odstąpić.

Nicoletta wyrzała z salonu, przeobrażona znowu nie do poznania: uśmiechając się miło i trochę uwodzicielsko, zapytała „O czym obaj bracia dyskutują z takim ożywieniem?”

– O niczym – odparł Fabio.

– Nie zimno wam? – spytała.

– Chyba tak – powiedział Fabio.

– Tak – potwierdziłem.

Wróciliśmy wszyscy razem do salonu. Nicoletta miała najwyraźniej ochotę na jakąś interesującą rozmowę we troje, ale Fabio otworzył telewizor, ja spojrzałem na zegarek.

Powiedziałem „Muszę iść”.

– Dokąd? – spytała Nicoletta, z nutą złośliwości zupełnie nie na miejscu.

– Do przyjaciół – powiedziałem. Poszedłem po kurtkę, pomachałem jej z korytarza i skierowałem się szybko w stronę drzwi wyjściowych.

Wsiadłem do mojego pikapa

Wsiadłem do mojego pikapa; była już prawie jedenasta, w pośpiechu wykonywałem gwałtowne ruchy. Kluczyki upadły mi na podłogę, a w tej samej chwili telefon komórkowy zaczął wibrować w wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnąłem go trzęsącymi się rękami, przyłożyłem do ucha, próbując równocześnie lewą ręką podnieść kluczyki; byłem prawie pewny, że usłyszę głos Mette.

A tymczasem był to głos innej kobiety, łamiący się ze zdenerwowania; zapytał „Lorenzo?”

– Tak? – patrzyłem na samochód ochrony mojego brata, zaparkowany obok drzwi wejściowych, trzydzieści metrów przede mną.

– Powiedz temu draniowi twojemu bratu, że ogromnie mu dziękuję – powiedział głos.

Jakiś facet wysiadł z samochodu ochrony, zaczął patrzeć w moim kierunku.

Udało mi się podnieść kluczyki i w tej samej chwili poznałem głos w telefonie; zapytałem „Nadine? O czym ty mówisz?”

Facet z ochrony szedł ostrożnie w moją stronę z pistoletem maszynowym w ręku. Drugi facet, również uzbrojony, wysiadł z samochodu.

– Zdemolowali mi mieszkanie – powiedziała Nadine, zdawała się bliska płaczu.

– Mieszkanie? – powtórzyłem, czując konieczność udania się natychmiast w różne strony równocześnie. Wsunąłem kluczyk do stacyjki i przekręciłem go, zapalając silnik starego diesla.

– Tak, mieszkanie! – powiedziała Nadine, wydawała się wściekła w równym niemal stopniu, co przestraszona. – Powiedz temu draniowi, że mu ogromnie dziękuję!

Facet z pistoletem był już o kilka metrów ode mnie, mówił coś, jego słowa zagłuszał częściowo warkot silnika. Drugi typ stanął przy nim pośrodku ulicy, dawał mi gwałtowne znaki wolną ręką.

– Wezwałaś policję? – zapytałem Nadine.

– Nie – odparła. – Co by to dało?

– Podaj mi swój adres – powiedziałem. – Prędko.

– Zgaś silnik i wysiądź! – krzyknął drugi z uzbrojonych facetów poprzez warkot diesla, wymachiwał pistoletem.

Nadine podała mi swój adres tonem jeszcze bardziej niepewnym z powodu dźwięków dochodzących z mojej komórki.

– Odłóż ten pieprzony telefon i wychodź! – krzyknął pierwszy z uzbrojonych facetów. Jego małe ciemne oczy błyszczały niepokojem, miał szpiczastą bródkę, która wyglądała jak narysowana na brodzie węglem.

Skończyłem rozmowę, wrzuciłem pierwszy bieg i zakręciłem kierownicą.

Drugi z uzbrojonych facetów przyskoczył z mojej prawej strony, uderzył kolbą pistoletu w szybę i krzyknął „Stój, kurrrwa mać!”

Opuściłem szybę w lewym oknie i powiedziałem do pierwszego faceta „Spieszę się, muszę jechać”.

On wbił we mnie oczy, jego wargi osłaniały zaciśnięte zęby, mięśnie napięte miał tak, że całe ciało zdawało się wibrować. Krzyknął „Wyyyłaż, kurrrwa”, tonem jeszcze bardziej grubiańskim od swego kolegi, zaciskając prawą rękę niebezpiecznie blisko spustu.

Pomyślałem, że zostać zamordowanym przez ludzi z ochrony mojego brata byłoby czymś dość paradoksalnym, ale w gruncie rzeczy pasującym do sytuacji. Zgasilem silnik, otworzyłem

drzwi i bardzo ostrożnie wysiadłem.

Jeden z uzbrojonych facetów chwycił mnie za ramię i pchnął z całej siły na bok pikapa, drugi wolną ręką zaczął mnie macać po piersi i bokach, po plecach, wzdłuż nóg. Pytali „Co ty tu, kurwa, robisz? Skąd się, kurwa, wzięłeś? Na co, kurwa, patrzyłeś? Z kim, kurwa, rozmawiałeś? Gdzie, kurwa, chciałeś jechać?” Obydwaj trzęśli się z napięcia, krzyczeli i przyciskali mnie do boku pikapa, dyszeli, skakali w tył i w przód i rozglądali się wokoło, ściskali swoje pistolety maszynowe, krótkie i czarne, których metal świecił się w blasku latarni.

Powiedziałem „Trzy minuty temu wyszedłem z domu mojego brata, Fabia Telmariego”.

Oni cofnęli się prawie niedostrzegalnie; jeden z nich powiedział „Pokaż jakiś dokument. Wyciągnij go powoli”.

Wydobyłem z kieszeni portfel, walcząc z naciskiem jego ręki, która mnie przygniatała do boku samochodu, i z narastającą w nogach niecierpliwością.

On wyciągnął mój dowód osobisty, przestudiował go dokładnie i pokazał drugiemu: napięcie odplynęło z ich spojrzeń i mięśni w ciągu dwóch sekund, ustępując miejsca bezdennemu rozczarowaniu, znudzeniu i konsternacji. Pierwszy oddał mi portfel i dowód, powiedział „Proszę”.

Drugi powiedział „Bardzo przepraszamy, ale taką mamy pracę”.

– Rozumie pan – powiedział pierwszy, uśmiechając się z przymusem półgębkiem.

– Jasne, jasne – powiedziałem, powstrzymując z wysiłkiem chęć skopania ich za ten cenny czas, jaki przez nich zmarnowałem. Wróciłem do pikapa, zapaliłem silnik i ruszyłem najszybciej jak mogłem do byłego domu mego ojca.

Zaparkowałem na południowo-zachodnim skraju placu, przeciąłem ulicę i pobiegłem wzdłuż murku nad Tybrem. Przy wlocie mostu ani dalej nie było nikogo. Spojrzałem na zegarek: dwadzieścia cztery po jedenastej. Pomyślałem, że Mette czekała na mnie, a potem odeszła; że nie wiem, gdzie jej szukać; że muszę jechać do Nadine, by zobaczyć, co tam się stało. Rozejrzałem się wokół ogarnięty niepokojem, patrzyłem na światła latarni i cienie drzew, krzewy i żywopłoty. Próbowałem się też zorientować, czy człowiek przysłany przez mojego brata ma ciągle na oku wejście do byłego domu naszego ojca, ale było za daleko i parkowało tam zbyt dużo samochodów, by móc to stwierdzić. Ulicą napływały co jakiś czas fale pędzących samochodów, przesuając ławice nocnego powietrza, zimnego i wilgotnego.

Poczułem ucisk na ramieniu, odwróciłem się gwałtownie: ujrzałem postać zwartą i giętką, w czarnej wełnianej czapce, krótkiej, czarnej, puchowej kurtce, czarnych dżinsach. Dopiero po ułamku sekundy rozpoznałem w tym stroju Mette w wersji komandoskiej; powiedziałem cicho „Hej”.

– Nie jesteś punktualny – odparła. Jej twarz na tle ciemnego stroju wydawała się jeszcze jaśniejsza.

Ująłem ją za ramię i pociągnąłem przez ulicę, w miejsce, gdzie mały skwerek dawał gęstszy cień. Przez kilka sekund staliśmy nieruchomo, by złapać oddech. Powiedziałem cicho „Nie mamy po co iść. Memoriału już tam nie ma”.

– Jak to nie ma? – zapytała ona, była tak blisko, że czułem ciepłe tchnienie jej oddechu.

– Mój brat przekazał go tym z Watykanu.

– Ale dlaczego?

– On jest politykiem. Przykro mi. – Nadal spoglądałem na obrzeża placu, by sprawdzić, czy nie ma tam postaci stojących nieruchomo lub krążących wokół budynków, ale moje zmysły zbyt były pobudzone, przekazywane przez nie wrażenia niepewne.

Mette odsunęła się, powiedziała Jorge”. W cieniu znów coś się poruszyło, rozległ się

szelest i w świetle latami ujrzałem twarz Jorgego. Podszedł do nas, oddychał ciężko.

Jego nadejście, mimo całego pośpiechu i niepokoju, które krążyły mi we krwi i napinały mięśnie, wywołało we mnie dziwne wrażenie niepożądanego wtargnięcia. Powiedziałem „Chodźmy stąd”, mszyłem w stronę mojego pikapa.

– A memoriał? – zapytał Jorge.

– Już go tu nie ma – powiedziałem krótko, nie odwracając się.

– Zabrał go jego brat – powiedziała Mette.

Szli za mną cicho, w sposób sprawdzony zapewne przy innych okazjach, ale i tak zdawało mi się, że jesteśmy zbyt dobrze widoczni ze wszystkich stron placu. Powiedziałem „Przed chwilą dzwoniła do mnie Nadine, była asystentka mojego ojca. Przewrócili jej mieszkanie do góry nogami”.

– Z powodu memoriału – powiedziała od razu Mette.

– Możliwe – odparłem. – Wiedziała mniej czy więcej o wszystkim, co robił mój ojciec.

– To oni – powiedział Jorge.

Wyszliśmy z cienia małego skwerku na otwartą ulicę, oświetloną latarniami. Wskazałem na mój pikap zaparkowany przy chodniku, spytałem „Jedziecie ze mną?”

Mette powiedziała „Ale tam będzie policja”.

– Nie możemy jechać, jeśli tam jest policja – powiedział Jorge.

– Nadine jej nie wzywała – powiedziałem. – Nie ufa jej i myśli, że tak czy inaczej nic by to nie pomogło.

Oni wymienili spojrzenia; Mette powiedziała „Dobrze”.

– Motorynka – powiedział Jorge, wyciągnął rękę w kierunku pobliskiego narożnika.

Wskazałem na Mette. „Ona może wsiąść ze mną, ty pojedziesz za nami”.

Nastąpiła kolejna szybka wymiana spojrzeń między nimi, po czym Mette poszła ze mną w stronę pikapa, Jorge pobiegł za róg ulicy.

Otworzyłem drzwi; ona wskoczyła zręcznie, zapięła pas bezpieczeństwa. W zamkniętej kabinie jej lekki zapach i oddech, jej wewnętrzne rytmy i myśli tworzyły wokół niej jakąś aurę, przekazywały mi jakieś nieregularne elektryczne bodźce, które czułem, zapuszczając silnik.

Prowadziłem wśród z rzadka teraz, nocą, przejeżdżających samochodów, spoglądając na nią od czasu do czasu. Fakt, że siedzi o parę centymetrów ode mnie po mojej prawej stronie, miał zaskakującą, niemal cudowną wymowę. Miałem ochotę zmienić kierunek i uciec z nią w stronę Apeninów czy gdziekolwiek indziej, dać sobie spokój z memoriałem i jego konsekwencjami już widocznymi, i tymi, które dopiero wypłyną. Myślałem, że właściwie prawie jej nie znam i że nie było między nami żadnej wymiany słów czy gestów, które nie dotyczyłyby spraw zewnętrznych, z wyjątkiem może ujęcia mnie pod ramię, gdy szliśmy ulicami centrum czy niemal stykania się w cieniu na małym skwerku przed kilkoma minutami. Zastanawiałem się, czy moje odczucia nie wiążą się z tym, że zbyt długo żyłem samotnie; czy aby przypadkiem nie miał racji mój brat, mówiąc o wiecznej niedojrzałości. Ale były to tylko myśli fragmentaryczne, drugoplanowe wobec faktu, że miałem ją obok siebie, prowadząc najszybciej jak mogłem opustoszałymi ulicami.

Jorge bez trudu podążał za nami swoją motorynką, na czerwonych światłach stawał od strony Mette, dawał jej znaki ręką lub głową. Na każdym zakręcie miałem nadzieję, że nas zgubi i zostanie z tyłu, ale tak nie było.

Zapytałem Mette „Długo się znacie?”

– Dość długo – odparła. – Od kiedy prowadziliśmy razem pewną akcję w Amazonii, trzy lata temu.

– Dużo was jest? – zapytałem.

– To znaczy w Stopwatchu?

– Tak.

– Nie, nie jest nas dużo.

– A z czego żyjecie? Jak możecie się utrzymać, jeździć, robić to, co robicie?

– Dajemy sobie radę. Wykonujemy różne prace, w zależności od tego, gdzie jesteśmy. Czasem ktoś przyśle nam pieniądze czy dokona darowizny, ale to zdarza się rzadko. A przede wszystkim nie mamy wielkich potrzeb.

– A tu, w Rzymie, gdzie mieszkacie, ty i Jorge?

– W domu przyjaciela, który teraz jest w Peru – odparła.

Właściwie chciałem się dowiedzieć, jakiego rodzaju związek ich łączy, ale nie umiałem sformułować pytania, które zabrzmiałoby naturalnie. Więc streściłem jej pokrótce kłótnię z bratem, słowa, jakimi usprawiedliwił oddanie memoriału, scenariusze polityki religijnej, o których mi wspomniał.

Mette trzymała się uchwyty, patrzyła przed siebie, jak gdyby niezupełnie ufała mojemu prowadzeniu samochodu, sprawdzała, czy jedzie za nami Jorge, tylko od czasu do czasu zwracała się w moją stronę.

Kiedy to robiła, uświadamiał mi to lekki wstrząs, który przenikał w każdy mój gest i słowo, paraliżując mnie niemal: zmieniałem biegi ze zgrzytem, na którymś z zakrętów zawadziłem kołem o krawędź chodnika.

Mette powiedziała „Ej!”, zaśmiała się, uczepiona uchwyty, z taką samą gotową na wszystko naturalnością, jaką okazywać by mogła na łodzi na wzburzonym morzu czy w samolocie transportowym lecącym nad dżunglą.

Pierwszy raz widziałem, jak się śmieje: ja też się zaśmiałem, o mały włos nie stuknąłem w zaparkowany samochód, pikap zakołysał się, gdy nagle gwałtownie skręciłem kierownicę.

Powiedziała „Uwaga”, na wpół zaniepokojona, na wpół ubawiona.

Odparłem „Przepraszam, przepraszam”, próbowałem uzyskać równowagę między brawurą a kontrolą w moim sposobie trzymania kierownicy. Poczulem nagłą chęć, by dotknąć jej ramienia czy nawet trącić ją lekko, ale nie miałem najmniejszego pojęcia, jakby mogła wytłumaczyć sobie mój gest, i zrezygnowałem. Myślałem, że mógłbym prowadzić tak godzinami z nią przy boku, w tym rozklekotanym wozie, w którym każdy nasz najmniejszy ruch wywoływał nieproporcjonalny hałas.

Ale w chwilę potem dojechaliśmy pod adres podany przez Nadine: zatrzymałem się przy chodniku, zgasilem silnik, wysiedliśmy.

Jorge był dwa metry za nami na swojej motorynce; wjechał na chodnik, znowu wymienił spojrzenia z Mette.

Powiedziałem „To tutaj”, wskazałem na bramę z numerem, który Nadine podała mi przez telefon.

Nadine siedziała na oparciu zielonej kanapy

Nadine siedziała na oparciu zielonej kanapy z kieliszkiem w ręku, dostrzegłem ją przez przymknięte, na wpół wyrwane z zawiasów drzwi. Zastukałem w drewno, spytałem „Można?”

Jakiś facet chudy i wysoki, z siwymi, ostrzyżonymi bardzo krótko na skroniach włosami, zastąpił mi drogę, patrzył wrogo na mnie i stojących z tyłu Mette i Jorgego.

Powiedziałem „To moi przyjaciele”.

On ściągnął jeszcze bardziej mięśnie twarzy, jakby chciał powiedzieć, że jest to rzecz bez znaczenia, biorąc pod uwagę, że ja nie jestem jego przyjacielem. Ale odwrócił się do Nadine, a ona skinęła głową; pozwolił nam wejść.

Podłoga saloniku zasłana była kartkami i fotografiami, płytami CD powyciąganymi z pudełek, wycinkami z gazet, zeszytami i książkami, ołówkami, piórami i wszelkiego rodzaju przedmiotami z biurka i z półek, wywróconymi do góry dnem szufladami; krzesło leżało na boku, fotelik nogami do góry. Nawet obrazy zostały zdjęte lub poprzesuwane, odsłaniając jaśniejsze miejsca na ścianach.

Nadine podniosła się z kieliszkiem w ręku, może był to koniak, jej twarz była długa i blada, nozdrza mocno zaczerwienione; firmowe oprawki jej okularów i obcięte po męsku włosy mówiły o specyficznej, typowo miejskiej wrażliwości. Patrzyła z niepokojem na Mette i Jorgego.

– Są ze mną – powiedziałem.

Upiła łyk ze swego kieliszka, z zamkniętymi oczami.

Zapytałem „Kiedy to się stało?”

Nie patrząc na mnie, powiedziała „Zastałam to wszystko o wpół do jedenastej. Kiedy wróciłam z kina”.

– Co ukradli?

Zrobiła nieokreślony gest. „Tylko torbę, którą trzymałam pod łóżkiem, z biżuterią i innymi rzeczami”.

Spojrzałem w stronę jednego z pokojów: tam także podłoga usłana była rozrzuconymi i przemieszkanymi fragmentami jej dotychczasowego prywatnego życia.

– Szperali wszędzie – powiedziała Nadine. – Wszędzie.

Schyliłem się, by podnieść rybę z malowanego drewna, którą zapewne podarował jej mój ojciec, ale w chwilę później nie wiedziałem już, gdzie ją postawić. Stojąca za mną Mette zdjęła czapkę z czarnej wełny i potrząsnęła włosami. Jorge stał przy drzwiach z rękami w kieszeniach kurtki.

Nadine pociągnęła nosem; powiedziała „Twój brat będzie zadowolony”.

– Ależ nie sądzę, żeby to była jego wina.

Nie słuchała mnie; powiedziała „Jego przyjaciele z Watykanu będą mu wdzięczni. Z pewnością odwzajemnią się swoim cennym poparciem”.

Mette spojrzała na mnie, jakby nagle odkryła, że zna brata jakiegoś potwora.

Powiedziałem „Nie trzeba Fabia, żeby wiedzieć, że byłaś asystentką naszego ojca. To fakt powszechnie znany”.

Nadine odparła „Tak mnie zawsze nienawidził. Zrobiłby wszystko, żeby mnie zniszczyć”.

– Ale nie *to* powiedziałem z myślą o moim bracie, ale i o Mette.

– Ach, nie? – powtórzyła Nadine, wydawała się znowu bliska płaczu. – Gdybym była w domu i gdyby mnie zamordowali, byłby teraz jeszcze bardziej zadowolony.

Jej przyjaciel patrzył na mnie oskarżycielsko; czułem się coraz bardziej nieswojo.

– A druga kopia memoriału Ndiongego? – zapytał Jorge za moimi plecami.

– Była tutaj? – spytała Mette.

Nadine podniosła głowę, jakby ją poraził prąd; zwróciła się do mnie. „Co oni o tym wiedzą? Kim oni są?”

Powiedziałem „Są ze Stopwatcha. To oni mi o wszystkim opowiedzieli”.

Mette powiedziała „Od kilku miesięcy próbowaliśmy nawiązać kontakt z profesorem Telmarim. Jestem Mette Dalgaard”.

– Co wy tu robicie? – spytała Nadine. – Czego chcecie?

– Rozmawialiśmy ze sobą przez telefon wiele razy, ja i ty – odparła Mette. – Wysłałam ci trzy listy i nie wiem już ile e-maili. Ale nie udało mi się nigdy porozmawiać z profesorem Telmarim.

Nadine zrzuciła kilka kartek i kopert z kanapy, usiadła, upiła znowu łyk koniaku czy co tam miała. Powiedziała „Teo nie chciał, by sprawa tak ważna i delikatna potraktowana została w niewłaściwy sposób”.

– Albo chciał zatrzymać memoriał dobrze zamknięty w jakiejś szufladzie? – powiedział Jorge. – Na zawsze?

Nadine zrobiła się czerwona, powiedziała „Teo pierwszy zrozumiał wagę tego memoriału! I był przyjacielem Ndiongego, obiecał mu pomoc w rozpowszechnieniu memoriału na całym świecie!”

– No więc? – zapytała Mette. – Dlaczego nie chciał, żebyśmy uczestniczyli w tym rozpowszechnianiu?

– Bo chciał to zrobić jak należy! – powiedziała Nadine.

– W odpowiednim kontekście, w sposób wyważony, poparty niezbędnymi informacjami naukowymi, sprawdzonymi i sprawdzalnymi!

– Tak, by osłabić jego wymowę? – spytał Jorge. – Pozbawić go siły pierwszego uderzenia?

– Ależ wręcz odwrotnie! – powiedziała Nadine. – Tak, by nadać mu jak największy rozgłos i ściągnąć jak największą uwagę! Ale nie uciekając się do ekstremistycznych prowokacji czy przekształcenia wszystkiego w cyrk medialny i urażenia milionów katolików!

– Co zrobilibyśmy my – powiedziała Mette z gorzkim uśmiechem.

– Ja też jestem katolikiem – powiedział Jorge. – Mój brat jest księdzem w Manaus.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Nadine twardo. – Ale Teo nie godził się z waszymi metodami i waszym językiem.

– Nie znał nas – zauważyła Mette.

– Widział waszą stronę internetową – powiedziała Nadine. – Czytał o waszych wyczynach w gazetach.

– A z *ich* metodami? – zapytał Jorge, półkolistym ruchem ręki wskazując zdewastowany salonik. – Z *ich* językiem?

Nadine powiedziała „Zważ, że to *mój* dom zniszczyli!” Znowu wstała z miejsca, trzęsła się pod wpływem szoku i strachu, gniewu i poczucia bezsilności. Jeśli przyszlicie tutaj, by krytykować Teo i jego wybory – tam są drzwi! Są już nawet otwarte! Możecie od razu iść!”

Jej wysoki i chudy przyjaciel stał obok niej z wrogą miną, zdawał się gotowy wypchnąć nas z domu.

Podniosłem otwarte dłonie, powiedziałem „Spokojnie. Nie kłóćmy się, przynajmniej my. Jesteśmy po tej samej stronie, prawda?”

– Nie wydaje mi się! – powiedziała Nadine. – Jeśli będziecie atakować Teo, na pewno nie!

– Nie atakujemy go – powiedziałem, czując tajemny dreszcz na myśl, że bierze mnie i Mette za ciało kolektywne. – Poza wszystkim był moim ojcem.

Mette przycupnęła na podłodze, powiedziała „Nie atakujemy go. Chociaż nam nie ufał, Teo Telmari był uczciwy”.

Próbowałem napotkać jej wzrok, by zrozumieć, czy te wyrazy szacunku obejmują również i mnie.

Jorge też przycupnął, w pozie, która należała może do ich technik mówienia ciałem: w sytuacji potencjalnego konfliktu spoglądać od dołu. Swoim przeciągłym akcentem spytał Nadine „Miałaś, czy nie, drugą kopię memoriału Ndionego?”

Nadine zawahała się; powiedziała „Nie”.

Mette podniosła z podłogi książeczkę z pieśniami afrykańskimi, ale uważnie słuchała Nadine.

– Już go tu nie było – powiedziała Nadine i przygryzła wargę.

Mette i Jorge wymienili spojrzenia; Mette zapytała „A gdzie się podział?”

Nadine zdawała się jeszcze niepewna, czy im zaufać, czy nie; popatrzyła wokół, poszła odstawić kieliszek na biurko. Powiedziała „Oddałam go komuś”.

– Komu? – spytała Mette.

Nadine nie odpowiedziała, patrzyła w ciemne okno.

– Wybacz – powiedziałem. – Ale dlaczego nie zrobiliście fotokopii?

– Bo Teo nie chciał ryzykować, by wpadły w niepowołane ręce – odparła Nadine.

– Na przykład nasze – powiedział Jorge.

– Takie były również wyraźne dyspozycje Ndionego – dodała oschle Nadine.

Powiedziałem „Więc mieliście tylko dwie kopie dokumentu takiej wagi? W czasach, gdy odbitki robi się od ręki i w dowolnej ilości?”

Nadine potwierdziła ruchem głowy. „Napisane na maszynie przez Ndionego”.

– Z jego podpisem na stronie tytułowej i na końcu – powiedziała Mette.

– I odręczną parafką na każdej stronie – powiedział Jorge.

Nadine zdawała się zaskoczona dokładnością ich informacji, ale to nie uczyniło ich z pewnością w jej oczach bardziej sympatycznymi. Powiedziała „Winszuję roboty szpiegowskiej”.

– Mieliśmy przyjaciela, który pracował z Ndiongem – powiedziała Mette. – Został zamordowany.

Nadine zeszytniała, jej twarz pobladła jeszcze bardziej.

– A gdzie jest teraz twoja kopia? – zapytałem. – Komu ją oddałaś?

Nadine wahała się nadal; w końcu powiedziała „Dantemu Marcadori. Zgodnie z pisemnymi dyspozycjami, jakie zostawił mi Teo”.

Mette i Jorge, przycupnięci między rozrzuconymi papierami i przedmiotami, spojrzeli na siebie: było jasne, że wśród ich informacji nie było nazwiska Dantego.

Zapytałem „Ale gdzie jest Dante? Wczoraj chciałem do niego wpaść, ale nie było go ani w gabinecie, ani w domu. Jego asystentka nie miała o nim wiadomości od poprzedniego wieczoru”.

– Wiem – powiedziała Nadine. – Ja też go szukałam. Dzisiaj też nikt go nie widział i nie słyszał. Nie wrócił na noc do domu, jego komórka jest stale wyłączona.

– Wybaczcie – odezwał się wysoki i chudy przyjaciel. – Ale jeśli rzeczy tak się mają, trzeba zgłosić zniknięcie na policji.

– Zrobiła to już siostra Dantego – powiedziała Nadine.

– Szukają go, ale na razie bez skutku.

– I nie masz najmniejszego pojęcia, gdzie mógłby być?

– spytała Mette.

Nadine potrząsnęła głową; powiedziała „Wczoraj po południu miał, wcześniej niż to było zamierzone, przedstawić memoriał Ndionego na kongresie epidemiologów w Fiuggi”. Zadrzała, spojrzała ku półprzymkniętym drzwiom.

Jej przyjaciel poszedł wyjrzeć na podest, wrócił do środka. Milczeliśmy wszyscy pięcioro, patrząc na siebie spod oka. Z ulicy dochodził hałas śmieciarki, która podnosiła pojemniki pełne odpadków, odwracała je i połykała ich zawartość.

Jorge podniósł się, powiedział „Gdybyście nas dopuścili do sprawy dwa miesiące temu, nie doszłoby do tego, byśmy zostali tak jak teraz, z pustymi rękami”.

– A ty nie zaczynaj znowu! – powiedziała Nadine. – Pogorszyliście tylko sytuację, próbując wmieszać się w to za wszelką cenę i przyjeżdżając do Rzymu, żeby tu rozrabiać!

– W jaki sposób? – zapytał Jorge. – Powiedz mi, w jaki sposób ją pogorszyliście? W porównaniu z tym, co jest teraz!

– Nie tym tonem! – odezwał się wysoki i chudy przyjaciel Nadine.

– Nie możesz nas oskarżać w taki sposób! – zwrócił się Jorge do Nadine. – Bez żadnej podstawy! Tak na wszelki wypadek!

– *Porfawr* – powiedziała Mette półgłosem.

– *A culpa e dele!* – powiedział Jorge. – *E falso, ndo tern razdo!*

– Widzicie, że jesteście ekstremistami? – powiedziała Nadine. – Że mieliśmy rację, nie chcąc was dopuścić do takiej delikatnej sprawy?

– Przeciwnie, myliliście się, i to grubo! – odparł Jorge. – Spójrzcie teraz, jak to się skończyło! Dzięki tej całej waszej ostrożności i delikatności! Chcąc robić wszystko w sposób wyważony, w odpowiednim czasie, w odpowiednich miejscach, z odpowiednimi osobami!

– Oj, brasileiro, weź pod uwagę, że to nie jest karnawał w Rio! – powiedział groźnie przyjaciel Nadine, wyprostowany na całą wysokość.

Jorge stanął przed nim, równie agresywny; powiedział „Co tu ma teraz do rzeczy karnawał? Co? Imbecil! Vaipara o diabo!”

Chciałem ich rozdzielić, ale Mette dotknęła ramienia Jorgego, powiedziała mu coś, czego nie dosłyszałem.

On, choć niechętnie, cofnął się, powiedział „To on mówił coś bardzo głupiego i obraźliwego”.

– Tak, ale już dosyć – odparła Mette.

Jorge uniósł rękę, spuścił wzrok.

Poczułem absurdałne, drobne ukłucie zazdrości o tę łatwość, z jaką się porozumiewali; o te trzy lata, w ciągu których robili razem kto wie ile rzeczy, w kto wie ilu częściach świata. Powiedziałem „W każdym razie, tak wygląda sytuacja. Kłócenie się nic nam nie da”.

– A co mamy robić, według ciebie? – spytał Jorge. – Poddać się i dać spokój? Uznać się za pokonanych?

– Oczywiście, że nie – powiedziałem. – Poczekamy, aż wróci Dante Marcadori. Nie zniknął przecież na zawsze, prawda?

– Fanone zniknął na zawsze – zauważył Jorge.

– Kto? – zapytała Nadine.

– Asystent Ndionego – odparła Mette. – Maurice Fanone.

– Potracony przez ciężarówkę – dodał Jorge. – Na parę dni przed tym, jak zabrano Ndionego do Włoch, pomyśleć, co za zbieg okoliczności.

Powiedziałem „Tak, ale my jesteśmy w Rzymie, nie we wsi senegalskiej. A Dante Marcadori jest lekarzem znanym na całym świecie”.

Jorge spojrział na mnie bez słowa; inni też milczeli.

Potem Nadine wstała, by odprowadzić nas do drzwi, powiedziała „Jeśli pozwolicie, potrzebuję chwili spokoju. Muszę was pożegnać”. Dotknęła nasady nosa, brwi miała ściągnięte z napięcia.

Powiedziałem „Przecież nie możesz tu spać sama przy otwartych drzwiach. Wszyscy tu z tobą zostaniemy”. Przemknął mi przez głowę obraz, przedstawiający mnie i Mette leżących obok siebie na wolnym kawałku podłogi, i Jorgego w drugim końcu pokoju Nadine wskazała swego przyjaciela, powiedziała „Będę spać u niego”.

Obraz z moich myśli zniknął w jednej chwili; powiedziałem „No to do jutra, będziemy w kontakcie”.

– Zgoda – powiedziała Nadine, chociaż było jasne, że przede wszystkim zależy jej na tym, by się od nas uwolnić.

Jej przyjaciel patrzył na mnie nadał złym okiem; pomyślałem, że może są ze sobą od czasu, gdy rozstała się z moim ojcem, i on odczuwa rodzaj zazdrości retrospektywnej, która rozciąga się i na mnie.

Nie było wielkich pożegnań: ja, Jorge i Mette unieśliśmy rękę lub skinęli głową i skierowaliśmy się do drzwi.

Na ulicy popatrzyliśmy wkoło w zimnym świetle latarni. Wszyscy troje próbowaliśmy sprawdzić, czy ktoś nas nie obserwuje z zaparkowanego samochodu czy zza rogu, ale trudno to było stwierdzić. Jorge pobiegł do przodu z pochyloną głową, zaglądając przez okienka. Ja zostałem przy Mette: miałem nadzieję, że weźmie mnie pod ramię, jak wtedy, gdy szliśmy razem, ale nie zrobiła tego.

Jorge wrócił zdyszany. „Nic, ale mogą być za każdym z tamtych okien”, wskazał fasady domów przed nami.

Mette powiedziała do mnie „No to słyszymy się jutro rano”.

– Jak chcesz – powiedziałem. – Mnie się właściwie nie chce spać, nie wiem.

Ona spojrzała na mnie i odwróciła się do Jorgego.

Miałem wielką nadzieję, że Jorge powie „Jadę sam”, ale on uczepił się jej z całą poufałością fizyczną, jaką dawały trzy lata bliskiej zażyłości, zapytał „Jedziemy?”

Mette kiwnęła głową. Uścisnęła mnie i ucałowała w oba policzki, powiedziała znowu „Słyszemy się jutro rano”.

Zapytałem „Ale jak?”

– Zadzwonimy – powiedziała, używając nadal liczby mnogiej. – Mamy twój numer.

Zdawałem sobie sprawę, że w tym kontekście może to zabrzmieć dwuznacznie, ale powiedziałem „Gdybyś mi dała swój, uprościłoby to bardzo nasze kontakty”.

Ona odwróciła się do Jorgego; zdawał się poirytowany, ale mimo to podała mi swój numer.

Zostałem na chodniku, patrząc, jak wsiadają na motorynkę i odjeżdżają, czując jeszcze dokładnie i trójwymiarowo krótki uścisk, który wymieniliśmy z nią dwie minuty wcześniej.

Obudziłem się wcześniej w przegrzanym pokoju

Obudziłem się wcześniej w przegrzanym pokoju po całej nocy przewracania się z boku na bok i niedobrych, urywanych snów. Gimnastykowałem się przez pół godziny przed otwartym oknem, przez które płynęły odgłosy i zapachy ruchu ulicznego, potem wzięłem prysznic, odebrałem od Harry'ego moją upraną i uprasowaną bieliznę, włożyłem to samo co zwykle ubranie.

W kuchni mój brat, bratowa i bratanek siedzieli przy śniadaniu, kłócili się na temat zdań domowych, których Tommaso nie odrobił. Kiedy wszedłem, wszyscy troje odwrócili się w moją stronę, każde z innym wyrazem twarzy, wyrażających podejrzliwość, wrogość i obojętność.

Wyspałem płatki owsiane do garnuszka, lecz Emily odsunęła mnie od razu, mówiąc „Ja to zrobię, proszę pana”. Próbowałem wycisnąć pomarańcze, ale ona pospieszyła zrobić i to za mnie.

Fabio i Nicoletta napominali nadal swego syna, odgrywając rodzaj cyklicznego przedstawienia, przerywanego ciągłym zerkaniem na komórki, na rozłożone na stole gazety i telewizor nastawiony na wiadomości. Tommaso z kolei przyjmował technikę na wpół biernego oporu: z założonymi rękami i opuszczoną głową, przed swoją filiżanką kawy z mlekiem i nietkniętymi batonikami różnych rodzajów. Co jakiś czas wydawał któryś ze swoich nieartykułowanych dźwięków, tylko w pewnym momencie powiedział wyraźnie „Gównu z tego rozumiecie”.

– Mówiłem ci już, że nie chcę słyszeć u ciebie tego języka, jasne? – zareplikował Fabio. Ale i tym razem było w jego tonie coś sztucznego, wzrok uciekał mu w stronę ekranu, gdzie ukazywały się obrazy jakiejś rzezi w Iraku: ciała i krew, i kurz, porzrzucone wszędzie szczątki samochodów.

Nicoletta ugięła się nagle przed moralnym szantażem swego syna: powiedziała „Tommaso, proszę cię, zjedz coś!

Nie możesz tak iść do szkoły!”

On wyczuł od razu, że sytuacja odwróciła się na jego korzyść: powiedział bardzo wyraźnie „Walcie się obydwójcie!”, wstał i wyszedł z kuchni, za nim podążyła Emily.

Fabio i Nicoletta spojrzeli na siebie, po czym ona wyszła śladem syna. Fabio rzucił mi spojrzenie z pozycji nieugiętej, nic nie mówiąc. Nastawił głośniejszy telewizor, by posłuchać jak zwykle programu zmontowanego z oświadczeń przedstawicieli wszystkich partii: najpierw tych z bloku rządowego, potem z opozycji, potem znowu związanych z rządem, którzy poruszali bezdźwięcznie wargami przed dziesiątkami mikrofonów, a ich słowa streszczane były chaotycznie przez spikera.

Skończyłem wyciskać pomarańcze, które Emily zostawiła, wychodząc; Fabio jadł szybko łyżeczką chudy jogurt.

Z korytarza dochodziły krzyki Nicoletty i Tommasa: prośby i nieartykułowane obelgi, kolejne oskarżenia i groźby represji, trzaskanie drzwiami.

Potem spojrzałem znowu w telewizor na półce i ujrzałem zwolnione ujęcie szarego bmw stojącego na skraju wiejskiej drogi. Spiker powiedział „W pobliżu jeziora Bracciano, o świcie, powiadomiona przez wędkarza policja znalazła w samochodzie ciało profesora Dantego Marcadori, światowej sławy wirusologa. Marcadori od dwóch dni nie pokazywał się w pracy ani w domu, krewni i rodzina zgłosili jego zaginięcie. Prowadzący śledztwo sprawdzają przyczyny śmierci, ale pierwsze oględziny zwłok zdają się nie wskazywać na ślady przemocy.

Siedemdziesiąt dziewięć lat, friulańczyk z pochodzenia, rzymianin z wyboru, zdobywca licznych nagród krajowych i zagranicznych... ”

Postawiłem gwałtownie szklankę na blacie kuchni, połowa soku wylała się na podłogę. Na ten hałas Fabio podskoczył, ale natychmiast wrócił do telewizora; oderwał się od niego dopiero wtedy, gdy rozpoczął się następny program.

Patrzyliśmy na siebie bez wyrazu, ja stojąc, on siedząc.

Nicoletta wróciła do kuchni pełna jeszcze swoich roszczeń macierzyńskich, powiedziała do Fabia „W końcu ty też powinieneś mu wyjaśnić, że jeśli uważa, że może sobie pozwolić...” Z wyrazu naszych twarzy zdała sobie jednak sprawę, że w powietrzu wisi coś poważniejszego od zachowania jej syna, przesuwając wzrok ze mnie na męża.

Fabio podniósł się, błady; włożył ręce do kieszeni.

– Jesteś zadowolony? – spytałem, czując, że szok zaczyna przekształcać się w falę gniewu wielkiego jak morze, bezgranicznego w swoim napięciu i rozmiarze.

– Co się stało? – spytała Nicoletta, patrząc na sok rozlany na podłodze.

– No? – powiedziałem do Fabia. – Sądzisz, że tym razem stanąłeś po właściwej stronie?

– O czym ty, do cholery, mówisz? – odparł, mięśnie jego twarzy były napięte, przymknął oczy.

– O twoich drogich przyjaciółach, którzy go zamordowali.

– Co ty, kuuurwa, mówisz? – wybuchnął Fabio nieskładnie, z zaczerwienioną twarzą, strzykając białą od jogurtu śliną. – Na jakiej cholernej podstawie pozwalasz sobie snuć tego rodzaju domysły?

– To nie są domysły! Jest zupełnie jasne, kto to zrobił i dlaczego! Wiedziałem od wczoraj, że to się zdarzy albo że już się zdarzyło! Od przedwczoraj!

– Kto został zamordowany? – spytała Nicoletta. – Przez kogo?

– Nie znaleziono żadnych śladów przemocy! – krzyknął mój brat. – Ty też słyszałeś to przed chwilą!

– W telewizji? – krzyknąłem. – Od tych mistrzów dziennikarstwa śledczego, wolnego i niezależnego, które ty dobrze znasz? W każdym razie są tysiące sposobów zamordowania człowieka, nie musisz koniecznie masakrować go kamieniem!

– A jakież byłby motyw, możesz mi to wyjaśnić? – krzyknął Fabio. – Możesz mi to wyjaśnić?

– To, że miał drugą kopię memoriału Ndionego! – krzyknąłem.

On zbladł jeszcze bardziej, bezdźwięcznie poruszył wargami.

– Powiedziała mi to wczoraj wieczorem Nadine. W swoim kompletnie zdemolowanym mieszkaniu!

Fabio cofnął się w stronę okna, potrącił jakąś półkę.

Zapytałem „Nie uprzedzili cię o tym twoi przyjaciele?”, chociaż wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że nie.

– Czy możecie mi powiedzieć, co się stało? – zapytała Nicoletta urażonym tonem.

– Zamordowano Dantego Marcadori – powiedziałem.

– Dantego? Kiedy? Kto?

– Przyjaciele Fabia albo ci, co dla nich pracują.

Nicoletta odwróciła się, by spojrzeć na Fabia, jej twarz porządnej paniienki ściągnięta była niepokojem.

On patrzył na mnie nadal, otarł ślady jogurtu z kącika ust. Wziął w myślach rozbieg i powiedział „Spróbuj się zastanowić, Lorenzo, zanim zaczniesz apodyktycznie wyciągać równie poważne wnioski! To historia nie z tej ziemi!

– Jak najbardziej z tej ziemi! – powiedziałem. Znowu, na przekór samemu sobie, poczułem rodzaj współczucia, jakie budził we mnie czasem jako dziecko, kiedy fakty burzyły nagle jakąś jego małą, z trudem zdobytą pewność. Mimo oburzenia i tkwiącego we mnie niepokoju poczułem odruchową chęć klepnięcia go po ramieniu czy po głowie, wyprowadzenia ze stanu szoku, porozmawiania z nim jak brat z bratem, znalezienia wspólnego stanowiska wobec tego, co działo się wokół nas.

Nie miałem do czynienia z tym samym Fabiem, co wtedy, gdy mieliśmy dziesięć i dwanaście lat; jego pewniki były tysiąc razy bardziej ugruntowane, jego stosunki ze światem nieskończenie bardziej realne. Wyciągnął z marynarki jedną ze swoich komórek, wystukał numer, powiedział „Fabio Telmari, dzień dobry, bardzo proszę połączyć mnie z szefem policji”. Wyszedł z kuchni, oddalił się korytarzem.

Minął się z Harrym, który holował Tommasa, ciągnąc jego plecak; do kuchni wróciła Emily, wzięła szmatkę i zaczęła ścierać sok z podłogi.

Nicoletta patrzyła na mnie zmrużonymi oczami, całe jej ciało pod ubraniem dobrej marki wibrowało niepokojem wywołanym brakiem informacji. Spytała „Co to za historia, Lorenzo? Możesz mi to wytłumaczyć?”

Wytłumaczyłem jej, jak się rzecz miała, w oparciu o elementy, jakie posiadałem: powiązałem fakty, które zdarzyły się po moim przyjeździe do Rzymu, z tymi, o których opowiedziała mi Mette, ze sprawą Nadine i ostatnimi wiadomościami z telewizji.

Nicoletta usiadła. Powiedziała „Dobrze, ale to nie może tak być”.

– Tak *jest* – odparłem.

Ona potrząsnęła głową, powiedziała „Twoja teoria jest odmianą teorii spiskowej lat siedemdziesiątych”.

– Twoja jest formą negowania rzeczywistości.

– Jakiej rzeczywistości? To tylko dowolne łączenie faktów, jak mówi Fabio.

– Ach tak? I natknęliśmy się tylko na splot zadziwiająco licznych zbiegów okoliczności, tak?

Ona nie wiedziała właściwie, co mi odpowiedzieć; odparła „Pewne jest tylko, że to może być jedynie... Chcę powiedzieć, że nie możesz... Że nie można...”

– Popelnił samobójstwo – oświadczył Fabio, stając w drzwiach, tonem wielkiej ulgi, przemieszanej z lekką nutą smutku. – Zatrął się spalinami w swoim samochodzie. Obrażenia czy przemoc wykluczone w stu procentach. – Na dłoni trzymał komórkę jako niepodważalny dowód.

– A dlaczego miałby to zrobić? – zapytałem.

– Miał raka prostaty. W ostatniej fazie.

– Nie wydaje mi się to takie oczywiste – powiedziałem.

– I nie sądzę, by wydało się oczywiste jego najbliższemu współpracownikom.

Fabio powiedział „Szef policji mówi, że czekają na wyniki sekcji, ale jest dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent pewności, że tak jest”.

– Miał idealne wycucie chwili, prawda? Dokładnie wtedy, gdy rozpoczynał się międzynarodowy kongres wirusologii, na którym miał przedstawić memoriał Ndiongego.

– Kiedy ktoś postanawia się zabić, nie myśli zbytnio o zbiegach okoliczności, Lorenzo.

– Że był bardzo przygnębiony, było widać – powiedziała Nicoletta, uczepona ulgi, jaką odczuwał mąż. – Miał to wypisane na twarzy.

– Chcesz powiedzieć, zaraz po śmierci taty? – zapytałem. – Który przypadkiem był jego najlepszym przyjacielem od ponad pięćdziesięciu lat? Według ciebie powinien być wesoły i tryskający humorem? Skakać i robić piruety między zbolałymi członkami rodziny?

– Lorenzo, on *popelnił samobójstwo* – powtórzył Fabio tonem sztucznie spokojnym,

którym mógłby się posłużyć, składając jedną ze swoich deklaracji przed kamerami telewizyjnymi. – Przyjmij to do wiadomości. I kropka.

– Jaka znów kropka! A jego kopia memoriału, gdzie się podziała? Powiedział ci to szef policji? Albo może nic w samochodzie nie znaleziono? Co?

– Lorenzo – powiedział mój brat, jakby się zwracał do kapryśnego dziecka, z cierpliwością, której dla swego syna nie miał. – Jeśli twoim źródłem informacji jest wirus-Nadine, bardzo możliwe, że Dante nie miał nigdy żadnej kopii żadnego memoriału.

– No pewno! W ten sposób wszystko jest jasne. I może tata także nie miał żadnego memoriału, no nie? I ty nie przekazałeś niczego nikomu, no nie? Nie ulegając żadnym naciskom, prawda?

– Posłuchaj mnie, Lore – powiedział Fabio, wchodząc jeszcze głębiej w swoją rolę osoby zrównoważonej i rozsądnej. – Nie wiem, co sobie wbiłeś do głowy na temat tego memoriału, ale mogę cię zapewnić, że nie jest to tak rewolucyjny dokument, jak sobie ty i twoi przyjaciele ze Stopwatcha wyobrażacie. To sprawy, o których już mówiono obszernie i wielokrotnie, z dużą domieszką afrykańskiego irracjonalizmu i goryczy człowieka, który wie, że musi umrzeć z powodu choroby niezbyt, powiedzmy, zgodnej z jego pozycją publiczną.

– Dlaczego, wobec tego, twoi przyjaciele tak bardzo się boją, że ktoś mógłby go przeczytać? Dlaczego nie zawahali się nawet przed morderstwem, byle tylko zniknął?

– To nie było morderstwo, Lorenzo – powiedział Fabio.

– Dante popełnił samobójstwo.

Nicoletta przytakiwała ruchem głowy, ale mimo wszelkich wysiłków nie wyglądała na równie pewną, co on.

Popatrzyłem na nich oboje, dobrze ubranych i dobrze uczesanych od samego rana, w ich kuchni z meblami znanych projektantów i wyposażeniem w najlepszym gatunku: wydali mi się dwójgim istot z innej planety, zajętych odgrywaniem roli ludzi, którym nie zaprogramowano śladu poczucia śmieszności ani żadnego rodzaju wątpliwości czy wahań. Powiedziałem „Życzeń dobrego dnia” i wyszedłem.

Oni wyszli za mną na korytarz, ich twarze miały identyczny niemal wyraz. Mój brat zapytał „Gdzie, u diabła, idziesz?” Nicoletta powiedziała „Lorenzo”.

Powiedziałem „Do zobaczenia”. Otworzyłem opancerzone drzwi wejściowe z ich podwójnymi zamkami, zbiegłem po schodach.

Telefon stacjonarny Nadine nie odpowiadał

Telefon stacjonarny Nadine nie odpowiadał, komórka była wyłączona. Podjechałem pod jej dom, nacisnąłem guzik domofonu, ale nikt nie odpowiedział.

Stałem na chodniku w tym samym miejscu, gdzie ubiegłej nocy stałem obok Mette. Wrażenie jej bliskości powróciło do mnie, jak gdyby nadal trwało w powietrzu, serce zaczęło mi bić szybciej. Odszukałem jej imię w spisie telefonów w mojej komórce: wydało mi się czymś niewiarygodnym móc je zobaczyć pośród innych. Nacisnąłem klawisz, wysłuchałem krótkiego, przeciągłego sygnału „wolny”, który dobiegł z jakiegoś nieznanego punktu wielkiego miasta wibrującego wokół mnie, pełnego trzasków i zgrzytów.

Jej głos powiedział ostrożnie „Tak?”

– Muszę się z tobą zobaczyć – powiedziałem, moje serce biło jeszcze szybciej. Patrzyłem na przejeżdżające samochody i pieszych na ulicy i wokół pobliskiego placu; nawet najbardziej

niewinna twarz wydawała mi się twarzą ewentualnego mordercy.

Mette milczała, w tle słychać było muzykę fortepianową. Z jej milczenia wynikało jasno, że nie wie jeszcze nic o Dantem Marcadori.

Zdałem sobie sprawę, że dla niej moje słowa mogły zabrzmieć jak prośba czysto osobista; powiedziałem „Zdarzyło się coś bardzo niedobrego, związanego z tym, o czym wiesz”.

Ona odpowiedziała natychmiast „Dobrze”.

– Kiedy? – Czułem rosnącą niecierpliwość, głowę miałem pełną migających w przyspieszonym tempie obrazów przyszłych wydarzeń.

– Za godzinę. U nas, zgoda?

– Ale ja nie wiem, gdzie mieszkacie – powiedziałem, czując lekkie, irracjonalne ukłucie na słowo „nas”.

– Tam, gdzie napadłeś na Jorgego.

– Nie napadłem na niego.

– Tak czy inaczej, rozumiesz gdzie.

– Zgoda. – Spojrzałem na zegarek, była dziewiąta.

– Cześć – powiedziała Mette.

– Cześć – odparłem, chociaż miałem ochotę rozmawiać dalej.

Przez parę minut chodziłem tam i z powrotem przed bramą Nadine, potem zobaczyłem starszą panią, która nadeszła z torbą zakupów i wyciągnęła klucze. Pomimo jej podejrzliwości wsunąłem się za nią, zanim zdążyła, zamknąć; pobiegłem schodami na górę.

Myślałem, że podest będzie pusty, a tymczasem był tam wysoki i chudy przyjaciel Nadine, który majstrował przy drzwiach śrubokrętem. Odwrócił się gwałtownie, skulony w pozycji obronnej, zanim mnie rozpoznał.

Zapytałem go „Nadine?”

Był jeszcze mniej przyjazny niż poprzedniego wieczoru; wskazał głową na wnętrze mieszkania. Przymocowywał zewnętrzną zasuwę do drzwi na wpół wyrwanych z zawiasów, odsunął się niechętnie, by mnie przepuścić.

Nadine także drgnęła na mój widok: miała ściągniętą twarz, sińce pod oczami. Na zielonej kanapie leżała otwarta walizka, druga, już zamknięta, stała na podłodze zasłanej papierami i najrozmaitszymi przedmiotami jak minionej nocy.

Zapytałem „Słyszałaś o Dantem?”

Ona zaczęła znowu zbierać kartki, książki i broszury i wrzucać je do otwartej walizki, rzuciła na mnie tylko parę razy wzrokiem.

– Myślisz, że go zabili? – spytałem.

Ona milczała nadal; przechodziła z jednego punktu pokoju w drugi jak poszukiwaczka muszli na plaży, która ma bardzo mało czasu do dyspozycji.

Powiedziałem „Fabio rozmawiał z szefem policji. Utrzymują, że popełnił samobójstwo”.

Nadine zacisnęła wargi w czymś w rodzaju słabego uśmiechu; spojrzała na mnie, natychmiast odwróciła wzrok.

– Wyjeżdżasz? – wskazałem na walizki.

Ona zbierała kolejne rzeczy z różnych punktów pokoju, wrzucała je do walizki. Nagle stanęła, upuszczając kilka trzymanyh w obu rękach płyt. Powiedziała „Gdybym była w domu wczoraj wieczorem, teraz też bym nie żyła!”

Powiedziałem „Nadine”.

Jej przyjaciel zajrzał natychmiast do pokoju, nastawiony do mnie jak najgorzej.

Udałem, że go nie widzę. Powiedziałem „Całe szczęście, że cię nie było”.

– Wielkie szczęście, co? – odparła ze swoim akcentem frankofońskim, który przebijał

przez rzymski jakby w wyniku osmozy traumatycznego pochodzenia.

Zapytałem ją „Gdzie jedziesz?”

– Do moich, do Genewy. Nie mów o tym nikomu. Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz.

– Obiecuję.

– Nawet twojemu bratu – przygryzła dolną wargę.

– Oczywiście, że nie.

– Nawet twoim przyjaciołom ze Stopwatcha.

– Nikomu.

Nadine podniosła z podłogi wieczne pióro, fotografię mojego ojca siedzącego na kamiennym murku, jakiś zeszyt, małego pluszowego kangura, płytę Jimi Hendriksa, zapinkę do włosów ze strasu w kształcie motyla. Wrzuciła wszystko do walizki w sposób tak chaotyczny, że nie mogłem zrozumieć, czy jest to wybór przemyślany, czy zupełnie przypadkowy. Zaciągnęła zamek błyskawiczny, otworzyła go znowu, poszła zdjąć ze ściany malowany akwarelą obrazek przedstawiający makrelę, wsunęła go do walizki, zamknęła zamek. Przycisnęła rękę do czoła, oddychała ciężko przez nos. Spojrzała na mnie znowu, powiedziała „Chodzi o to, że nie ufam temu krajowi, Lorenzo”.

– Rozumiem cię – powiedziałem. To było uczucie, które znałem dobrze, choć z pewnością nie było mi przyjemnie, że potwierdza je obywatelka szwajcarska.

– Mieszkałam tutaj przez czternaście lat i byłam pewna, że się przystosowałam, szczególnie za sprawą twego ojca. Ale to nieprawda. Tym, czego nie potrafię zaakceptować, jest *elastyczność* waszych zasad. Z początku podobało mi się to w porównaniu ze Szwajcarią. Czułam się wolna. Ale to elastyczność straszliwie niebezpieczna, zacierająca ciągle granice między dobrem a złem, między prawdą a fałszem, tym, co dozwolone, a tym, co niedozwolone, między pełnym prawem a czasowym przyzwoleniem, które w każdej chwili można odwołać.

Kiwnąłem głową; czułem się współodpowiedzialny jako Włoch, syn swojego ojca, nie wiem.

– To ta *niejednoznaczność* budzi mój lęk – powiedziała Nadine. – Potworna nieokreśloność.

– Przemycana przez lekkomyślność – powiedziałem wbrew sobie. – Przez łatwość przystosowywania się i improwizację twórczą.

– Twój ojciec posłużył się pięknym obrazem. – Zamyśliła się, by przypomnieć go sobie i powtórzyć precyzyjnie.

– „Piękna Italia, gdzie na tle ruin dawnych zasad chwieją się wodne trzciny interpretacji zasad”.

Pomyślałem, że w ciągu tych lat stale, jeszcze bardziej może niż ona, czułem się cudzoziemcem.

– I tak dochodzi do tego – powiedziała Nadine, jej wargi drżały. – I wiesz od początku, że absolutnie żalosne jest oczekiwanie, że sprawiedliwości stanie się zadość, że przynajmniej coś się wyjaśni. Bo powiązania są niejasne i skomplikowane, bo wszystko zdane jest na widzimisię każdego pojedynczego sędziego czy policjanta, czy strażnika miejskiego, który przekreśla prawo i nagina je w zależności od tego, skąd wieje wiatr.

– Tak.

– Wiesz od początku, że zakwestionowane zostanie nawet to, czy to, co się stało, stało się naprawdę! Czy nie jest to tylko twór twojej żalosej wyobraźni!

Obydwoje spoglądaliśmy co jakiś czas ku drzwiom i oknu, nastawialiśmy ucha, by wychwycić dźwięki dochodzące z ulicy i z podestu schodów.

Nadine podniosła kilka kul z kolorowego szkła, upuściła je znowu. Powiedziała „Teraz

się zastanawiam, jak naprawdę umarł Teo”.

– Jak to? – spytałem, bo i ja, naturalnie, zadałem sobie to pytanie. – W jego wypadku nie ma wątpliwości, prawda? Umarł w domu, na zawał. Miał osiemdziesiąt trzy lata.

Ona nie odpowiedziała, blada w swoim swetrze z niebarwionej wełny: niegdyś piękna dziewczyna szwajcarsko-francuska, która zakochała się w sławnym epidemiologu włoskim, żonatym, z dwoma synami.

Jej przyjaciel wrócił do salonu ze śrubokrętem w ręku, powiedział „Ja skończyłem. Jesteś gotowa?”

Nadine włożyła płaszcz. Patrzyła jeszcze na rozrzucone wokół przedmioty; wzięła pióro ze złotą nakrętką spod biurka, wsunęła do kieszeni.

Zapytałem „Więc w sprawie memoriału nic się już nie da zrobić?”

Ona potrząsnęła głową; podniosła małą busolę i leżący przy oknie szal z surowego jedwabiu.

– Zniknął na zawsze? Rozpłynął się, jakby go nigdy nie było?

Nadine owinęła sobie szal wokół szyi, pociągnęła nosem.

– Idziemy? – zapytał niecierpliwie jej przyjaciel.

Wzięła walizkę, ja chciałem wziąć drugą, ale jej przyjaciel wyrwał mi ją z ręki jakby w obawie, że mogę ją ukraść. Na podeście zamknął na kłódkę zasuwę, którą dopiero co założył, oddał klucze Nadine. Ona przycisnęła ręce do drzwi w geście pożegnania, a może by stwierdzić ich słabość wobec gwałtu zadanego im przez tego, kto wszedł zdewastować jej dom.

Na ulicy pożegnaliśmy się, w czasie gdy jej przyjaciel wstawiał walizki do bagażnika swojego auta. Nadine wyglądała już na uciekinierkę; powiedziała znowu półgłosem „Nie mów nikomu, dokąd jadę”.

Powtórzyłem „Nikommu” z ruchem głowy, który potwierdzić miał moje słowa i zatrzeć wrażenie moralnej słabości Włochów.

Ona oparła mi ręce na ramionach, przysunęła głowę i otarła się policzkami o moje policzki. Potem wyciągnęła z kieszeni płaszcza fotografię mojego ojca i podała mi ją.

Powiedziałem „Dziękuję”, zaskoczony jej gestem; włożyłem zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki, prawie na nie nie patrząc.

Nadine ściągnęła lekko wargi, odwróciła się nagle i wsiadła do samochodu swego przyjaciela, który patrzył na mnie przez przednią szybę bez żadnej sympatii.

Wróciłem do mojego pikapa, rzucając okiem na boki, by wyłowić spojrzenie killera czy szpiega z potoku spojrzeń płynących chodnikami.

Zaparkowałem o kilometr przynajmniej od siedziby Stopwatcha

Zaparkowałem o kilometr przynajmniej od siedziby Stopwatcha, przeszedłem krętą drogę, tak by dojść do stacji od strony południowej i przemierzyć poczekalnię wzdłuż, w kierunku północnym. Pomyślałem, że to środki ostrożności raczej zbyt liczne, zważywszy, że miejsce, do którego zmierzam, jest prawie na pewno pod kontrolą, ale chciałem przynajmniej skomplikować trochę życie temu, kto może mnie śledzić. Ta myśl kazała mi się odwracać gwałtownie po każdym zakręcie, cofać się o kilkadziesiąt metrów, potrać przechodniów, przecinać grupy przyjeżdżających czy odjeżdżających podróżnych.

Za pięć dziesiątą byłem na rogu ulicy, gdzie znajdowała się siedziba Stopwatcha, patrzyłem ciągle na zegarek, by nie przyjść za wcześnie czy za późno. Ruch pieszych i samochodów zwalniał zniemię i przyspieszał; w powietrzu unosił się ostry zapach i głosy syren o różnej częstotliwości dźwięku.

Skręciłem za róg i jakieś sto metrów przed sobą ujrzałem czarny dym, samochody policyjne, czerwony wóz strażacki, bariereki trzymające na odległość gapiów. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i przyspieszyłem kroku, chociaż niedowierzanie radziło mi się zatrzymać. A jednak, zanim jeszcze zbliżyłem się dostatecznie do siedziby Stopwatcha, byłem pewny, że dym płynie stamtąd. Lodowaty pot pokrył mi plecy, głowę wypełniły wymaginowane obrazy, przemieszane bez sensu z tymi, które miałem przed oczami.

Doszedłem do miejsca, skąd zobaczyłem, jak Jorge otwiera drzwi z matowego szkła, ale za bielą i czerwienią barierki, granatem policyjnych mundurów i ciemnym brązem z żółtymi pasami kombinezonów strażaków, którzy wyłaniali się, zwijając węże, był tylko rodzaj poczerniałej i dymiącej pieczary.

Stałem pośród gapiów w zapachu spalonego plastiku, który u wszystkich wywoływał kaszel, ze stopami na połyskliwych i trzeszczących odłamkach szkła rozrzuconych na przestrzeni kilkadziesiąt metrów. Niepokój i gniew, jakie czułem jeszcze parę minut temu, rozplynęły mi się we krwi, ustępując miejsca jednej podstawowej obawie, w której znikają twarze, postaci, gesty, spojrzenia, zdania i imiona, tracąc nagle i równie szybko odzyskując swój wymiar.

Wyciągnąłem komórkę i wystukałem numer Mente, moje palce tak się trzęsły, że musiałem dwa razy zaczynać od nowa. Elektroniczny głos tonem nieznośnie rześkim mówił „Abonent, do którego dzwonicz, jest chwilowo nieosiągalny”. W mojej głowie zwijały się i rozwijały nieustannie taśmy obrazów i dźwięków: zaspany, a może zamyślony głos Mente w telefonie przed godziną, powolny ruch kamery wokół samochodu Dantego Marcadori, spojrzenia mojego brata i Nicoletty w ich dobrze urządzonej kuchni, słowa Nadine w jej przewróconym do góry nogami saloniku, dziesiątki ludzkich gestów i wymienianych spojrzeń, i ruchów mechanicznych kompletnie nieznanym, zarejestrowanych wzdłuż odcinka, który przeszedłem pieszo.

Patrzyłem na czarne języki sadzy na fasadzie budynku, stojącą przed nim spaloną furgonetkę, samochody z rozbitymi szybami, które powiększały ilość rozrzuconych wokoło odłamków szkła. Próbowałem dostrzec coś wewnątrz przekształconej w pieczarę byłej siedziby Stopwatcha, ale tłum był zbyt zwarty, a nie chciałem zbliżać się za bardzo do policjantów.

Zwróciłem się do jakiegoś faceta, który trzymał szalik przy nosie dla ochrony przed dymem, i zapytałem go „Czy tam w środku ktoś był?”

– Ba – odpowiedział, nie patrząc na mnie, zajęty obserwowaniem drugiej strony ulicy.
– Jednego zabrali – powiedział rzemieślnik stojący w drzwiach swojej pracowni ram. – Karetka, ale nie było po co.
– Dlaczego nie było po co? – zapytałem, wpatrując się z natężeniem w jego twarz.
– To był już trup nieboszczyk – odparł bez najmniejszej emocji.
Z wysiłkiem zwróciłem się do niego ponownie; zapytałem „Mężczyzna czy kobieta?”
– A bo ja wiem – odparł ramiarz. – Wyglądał jak kawał węgla.
– Kiedy to się stało? – serce biło mi tak wolno, jakby miało stanąć.
– Ze dwadzieścia minut temu – powiedział facet z szalikiem.
– Pół godziny – powiedział ramiarz, nie patrząc ani na mnie, ani na tamtego. – Huk był taki, że pomyślałem o trzęsieniu ziemi albo że to islamscy samobójcy czy trzecia wojna światowa, niech to wszyscy diabli.

Próbowałem rozpaczliwie obliczyć, ile czasu mogło zająć Mette zdjęcie płyty z muzyką fortepianową z odtwarzacza, przywołanie Jorgego, o ile nie było go właśnie obok niej, przyszykowanie się, włożenie butów i płaszcza albo kurtki, wyjście z domu, uruchomienie motorynki i jazda przez miasto nie wiedzieć skąd, aby dotrzeć tutaj; brakowało mi zbyt wielu elementów, by sformułować choćby najbardziej ogólną hipotezę. Spojrzałem znowu na ramiarza, ale nie chciałem go już o nic pytać.

Powiedział „Dym był taki gęsty i czarny, że nie widziałeś nic na dwa kroki, swąd większy niż teraz. Potem przyjechali strażacy i policja, wszystkich odpędzili”.

Strażacy wydawali się teraz dość opanowani, ale policjanci nadal poruszali się bardzo niespokojnie wewnątrz i na zewnątrz dawnej siedziby Stopwatcha zmienionej w pieczarę, krążyli tam i z powrotem po chodniku i pośrodku ulicy. Był tam jakiś cywil, może komisarz, który rozmawiał przez telefon komórkowy i wydawał polecenia ludziom w mundurach, przepuszczał lub odpędzał fotografów i ekipy telewizyjne. Poza tym przepatrywał tłum gapiów, wśród których byłem ja, wzrokiem bardzo doświadczonego drapieżnika. Pomyślałem, że to niedobry pomysł stać tu tak blisko i na widoku, ale nie do pomyslenia było również, by stąd odejść bez zdobycia przynajmniej jakiejś dokładniejszej informacji.

Zapytałem innych gapiów, czy wiedzą coś o rannych lub spalonych; ich wersje były całkowicie sprzeczne. Przeszedłem przez ulicę, zapytałem strażaka, który pił mleko z półlitrowego kartonu. On spojrzał na mnie z podejrzliwą miną, cały spocony i brudny od sadzy; zapytał „A ty dla kogo pracujesz?”

– Dla nikogo – próbowałem się ukryć przed wzrokiem szefa policjantów w cywilu.

Strażak wzruszył ramionami, odwrócił się i zaczął znowu pić swoje mleko. Kilka metrów za nim szef policjantów kazał podać sobie walkie-talkie, rozmawiał i rzucał wokół agresywne spojrzenia.

Wyślizgnąłem się spomiędzy ludzi stojących i przemieszczających się, poszedłem chodnikiem z uczuciem strasznej pustki, nie mając najmniejszego pojęcia, co robić. Potem, tuż za małym sklepem z firankami, z zakurzoną wystawą, poczułem, że ktoś dotyka moich pleców; odwróciłem się gwałtownie, obmyślając w jednej chwili dziesiątki ruchów zaczepnych i odpornych, i naprzeciw siebie ujrzałem Mette.

Zaskoczenie i ulga, że widzę ją przed sobą, były tak silne, że pokonały w jednej chwili wszystkie negatywne doznania przenikające każde włókno mojego ciała: powiedziałem „Ale...”

Potrząsnęła głową, nakazując mi milczenie, i ruszyła szybko w stronę najbliższej przecznicy. Poszedłem za nią równie szybko, próbując odgadnąć, nie odwracając się, czy ktoś za nami idzie.

Skręciliśmy za róg i przyspieszyli kroku, jedno za drugim, a potem obok siebie.

Przeszliśmy na drugą stronę, skręcili w kolejną ulicę, nie patrząc na siebie i nie odzywając się. Sądzę, że mieliśmy oboje ochotę puścić się biegiem, ale wiedząc, że w ten sposób stalibyśmy się bardziej widoczni, szliśmy dalej szybkim krokiem pod prąd samochodów, taksówek i autobusów.

Doszedłszy do drzew na obrzeżu placu, zwolniliśmy i w końcu spojrzeliśmy na siebie. Zapytałem Jorge?”

Mette odparła „Nie wiem”. Jej źrenice rozszerzone były z niepokoju, wargi niemal bezbarwne.

Znowu ruszyliśmy szybko, co jakiś czas oglądając się za siebie. Wciąż powracało mi na myśl zdanie ramiarza o kawałku węgla, ale było zbyt okropne, by powtórzyć je Mette czy nawet o nim myśleć. Zapytałem „Nie przyjechaliście razem?”

– Nie, ja wsiadłam do autobusu. Jorge wyjechał pierwszy motorynką, bo miał coś odebrać w Testaccio.

– Nie możesz do niego zadzwonić?

Spojrzała na mnie szybko „To najgłupszy sposób, żeby dać się złapać. Mogą umiejscowić każdy telefon, każdy ruch, od razu”.

Uświadomiłem sobie, że moja komórka jest nadal włączona; wyciągnąłem ją z kieszeni i zgasilem. Powiedziałem „Może Jorge zobaczył cały ten burdel na ulicy i zaraz odjechał”.

Mette potrząsnęła wolno głową. Powiedziała Jego motorynka jest tam, gdzie ją zawsze zostawia”.

– Gdzie? – Jakiś brzydki facet w przeciwsłonecznych okularach obserwował nas, stojąc przed sklepem z samochodami.

– Na bocznej ulicy. Przy latarni.

– To nie znaczy, że był w środku, kiedy nastąpił wybuch.

Nie odpowiedziała, ale było jasne, że myśli przeciwnie.

Powiedziałem „Nie zdążyłby nawet przyjechać. Kiedy do ciebie dzwoniłem, była dziewiąta, wybuch nastąpił gdzieś koło wpół do dziesiątej”.

– Jorge jest bardzo szybki – odparła. – Motorynką dojeżdża wszędzie w dziesięć minut.

Szliśmy dalej, widząc się tylko z boku, nasze oczy zajęte były ocenianiem twarzy przechodniów, typowaniem wśród barów i sklepów tych, które mogłyby być schronieniem, i tych, które kryć mogły pułapki. Znowu chciałem spytać, co ją łączyło z Jorgem, ale zdawałem sobie sprawę, że to nie jest z pewnością właściwy moment. Niepewność sytuacji kazała mi rejestrować wszystkie szczegóły bez różnicy, przyspieszać lub zwalniać kroku w zależności od najbardziej przypadkowych sygnałów. Doszliśmy do ulicy szybkiego ruchu, przebiegliśmy ją prędko w hałasie nieustannie przesuwających się pojazdów, wsunęliśmy się pod drzewa przy bocznej jezdni, skręcili w pierwszą ulicę po prawej. Za wycieraczkę mojego pikapa wsunięty był mandat. Wsiadliśmy i zastygli bez ruchu na siedzeniach, próbując złapać oddech i patrząc przed siebie. Mimo odczuwanego niepokoju, obecność Mette tuż obok wprawiała mnie w rodzaj elektrycznej wibracji, jeszcze silniejszej niż poprzedniej nocy. Pomyślałem, że gdyby ona o tym wiedziała, znienawidziłaby mnie zapewne, ale nie miałem na to wpływu: było to zjawisko wywołane przez rozsiane w moim ciele receptory i kierujące wyobraźnią ośrodki w mózgu, wytwarzające małe koncentryczne fale wokół serca.

Z pewnym wysiłkiem skupiłem się na praktycznych aspektach sytuacji, które nie wydawały się pocieszające. Zapytałem „Co teraz zrobimy?”

Mette odwróciła się, by spojrzeć na ulicę, powiedziała „Muszę się dowiedzieć, co się stało z Jorgem”.

– Tak, ale w jaki sposób? – Zdawałem sobie sprawę, że nie mam żadnego szczególnego doświadczenia w zakresie działalności konspiracyjnej, jeśli nie brać pod uwagę historii sprzed

ośmiu może lat, z pewną kobietą zamężną z niezwykle zazdrosnym mężczyzną.

Mette pocierała palcami wskazującymi o kciuki; powiedziała „Mamy pewien system komunikowania się. Przez czat”.

– Więc jedźmy poszukać gdzieś dostępu do Internetu.

Ona kiwnęła głową, była całkowicie owładnięta paniką.

Zapuściłem silnik, zacząłem jechać przez boczne ulice, prowadząc na przemian ostrożnie i ryzykownie.

Miałem na oku wejście do punktu internetowego

Miałem na oku wejście do punktu internetowego, a Mette kilka metrów ode mnie stuknęła w klawiaturę komputera. Było tylko kilku innych klientów, przeważnie Azjatów czy osób ze Środkowego Wschodu; za szybą trwał ruch dużej ulicy handlowej. Zastanawiałem się, czy w przypadku takim, jak nasz, bezpieczniej jest na przestrzeni otwartej, pełnej ludzi, czy w cieniu ciasnych zaułków; instynkt mówił mi, że żadna z tych sytuacji nie jest dobra. Ale był to instynkt dość abstrakcyjny, który nakazywał pośpiech, nie dawał czasu do zastanowienia i podsuwał obrazy ucieczki w najróżniejsze strony. Kazał mi, na przykład, przebiegać wstecz drogę, którą przebyłem kilka dni wcześniej, z Rzymu autostradą, potem drogą główną, potem w górę i w dół drogami przez Apeniny, drogami prowincjonalnymi i gminnymi aż do dróżki prowadzącej na pokryty śniegiem szczyt wzgórza, z którego wyruszyłem. Inny instynkt ostrzegał mnie przed tą odbywaną w myśli drogą i w rezultacie oscylowałem nieustannie między różnymi impulsami i wrażeniami. Chwilami mój kamienny domek wydawał się najbezpieczniejszym w świecie miejscem, gdzie moglibyśmy się z Mette schronić, zaraz potem pułapką, gdzie odnaleźć by nas mógł nawet najmniej sprytny z naszych wrogów bez twarzy. Przesuwały mi się przez głowę bardzo precyzyjne obrazy nas dwojga wsiadających do pociągu czy samolotu i znikających natychmiast w przebiegu elementarnej przezorności.

Mette ruszała myszką i stuknęła w klawisze przy swoim stanowisku w rogu, z dala od szyby: ze swoją twarzą cudzoziemki, włosami upiętymi i schowanymi pod czarną czapką, zwinnym ciałem, które zdawało się gotowe zerwać na pierwszy sygnał alarmu.

W końcu podniosła się z twarzą bez wyrazu, poszła zapłacić do kasy. Przechodząc obok mnie, powiedziała „Nic”.

– Może jeszcze za wcześnie – odparłem.

Ona potrząsnęła głową, wyszła na pełną hałasu ulicę.

Wróciliśmy do pikapa, zapaliłem silnik, ale sprzeczne impulsy, które w sobie czułem, odebrały mi w rezultacie wszelką orientację. Zapytałem znowu „Co robimy?”

Mette zdawała się równie jak ja zagubiona; powiedziała „Nie wiem”.

– Nie macie jakiejś siatki punktów kontaktowych na wypadek, gdy sprawy przybierają zły obrót?

Ona spojrzała mi w oczy, powiedziała „Nie jesteśmy organizacją terrorystyczną!”

– Wiem, *wiem*. Chciałem zapytać, czy nie macie bezpiecznych miejsc, gdzie by można pójść, czy osób, z którymi można by się skontaktować w takich jak ten przypadkach?

– Nie było nigdy takich przypadków! Prowadząc nasze akcje, ryzykujemy co najwyżej, że nas zatrzymają i oskarżą o utrudnianie czy działanie na szkodę albo naruszenie prywatnej własności! Nie, że ktoś nas *zamorduje!*

– Pewno – instynktownie chciałem objąć mocno jej ramiona.

Ona przeciągnęła ręką pod nosem krótkim, gniewnym gestem; powiedziała „A w każdym razie, jeśli coś źle pójdzie, zasadą jest nie mieszać w to osób bezpośrednio z tą sprawą niezwiązanych”.

Przytaknąłem ruchem głowy. Odkrycie, że nie jest obeznana z rodzajem niebezpieczeństwa, w jakim znaleźliśmy się, była pogrzejająca, a jednocześnie zwiększała znacznie mój niepokój. Miałem wrażenie, że oboje mamy bardzo niewiele atutów, które by nam pozwoliły stawić czoło tej przerastającej nas sytuacji, nie licząc instynktu samozachowawczego,

dobrych warunków fizycznych i łatwości wysnuwania wniosków. Pod każdym innym względem byliśmy bezbronni i wystawieni na niebezpieczeństwo, mając nadto coraz mniej czasu do dyspozycji. Powiedziałem „Najważniejsze, żeby się stąd wynieść”, zdając sobie sprawę, jak ogólnikowy jest ten pomysł.

– Dokąd? – patrzyła na mnie, patrzyła na ruch uliczny.

– Najpierw wyjechać z Rzymu – powiedziałem, mając w głowie cztery czy pięć tras równocześnie, rozchodzących się, niby kolorowe linie na mapie, w kierunkach, z których żaden nie wydawał się odpowiedni.

– Ja nie wyjadę, póki nie dowiem się czegoś o Jorgem. Zostaję tutaj.

– Niby gdzie? Na ulicy? W waszym domu, gdzie z pewnością ktoś już na ciebie czeka przed bramą albo na schodach?

– Nie wiem. Ty sobie jedź, gdzie chcesz. Dam sobie radę.

– Ja na pewno cię nie zostawię. – Zdawałem sobie sprawę, jak przemieszane wydawać się mogły moje racje osobiste i ogólne, ale nie miałem czasu ani ochoty zastanawiać się nad tym.

– Ty nie masz z tym nic wspólnego – powiedziała Mette. – To my wciągnęliśmy cię w tę historię. Możesz to wyjaśnić, mogą sprawdzić. Brat ci pomoże, jestem pewna. – Palcami obejmowała kłamkę, jej ciało gotowe już było otworzyć drzwi, wysiąść, pójść szybko chodnikiem i zniknąć między ludźmi.

Nagle myśli, że ona może odejść i zostawić mnie mojemu dotychczasowemu życiu, wywołała we mnie uczucie nieznośnej pustki: powiedziałem Jak to, nie mam nic wspólnego? Teraz mam z tym tyle samo wspólnego co ty i Jorge! I to nie wy wciągnęliście mnie w tę historię! Zostałem w nią wplątany w dniu, gdy Ndionge po raz pierwszy nawiązał kontakt z moim ojcem!”

Chociaż wstrząśnięta i przerażona, była twarda; powiedziała „Nie musisz się czuć zobowiązany do pomagania mi. Umieję sobie radzić”.

– Nie czuję się zobowiązany. I nie wątpię, że umiesz sobie radzić. Ale w tej sprawie tkwimy razem, jasne?

Ona patrzyła na ruch uliczny, nieprzekonana.

Powiedziałem „Możesz mi spojrzeć w oczy, z łaski swojej?”

Zwróciła oczy w moją stronę, ale tylko na chwilę.

Przesuwałem wzrokiem po linii jej czoła, nosa i podbródka; zastanawiałem się, czy jej słowa płyną z pobudek altruistycznych, czy też z chęci pozbycia się mnie, by bez przeszkód podejmować decyzje. Nie mogłem tego zrozumieć, ale czułem, jak nagli czas, którego upływ z każdą sekundą zawęża nam pole manewru. Pomyślałem, że nie możemy tkwić wiecznie w moim pikapie na poboczu ruchliwej ulicy, z silnikiem na jałowym biegu; wrzuciłem kierunkowskaz i pierwszy bieg, powiedziałem „Zmywajmy się stąd”.

Mette przechyliła się, by włączyć radio: łapała stację za stacją, ale były tylko standardowe, pełne sztucznego entuzjazmu głosy disc jockeyów i reklamy, i piosenki zniekształcone przez głośniki nabite kurzem i zaschniętym błotem. Zgasiła, zapytała „Dokąd jedziemy?”

Stałem pod światłami, patrzyłem na samochód policji nadjeżdżający przeciwnym pasem; ledwo zapaliło się zielone światło, skręciłem ostro w lewo. „Do domu mojego brata. To trzy minuty stąd”.

– Ależ twój brat jest przeciwko nam! – powiedziała Mette, trzymając się mocno uchwytu.

– Przekazał memoriał tym z Watykanu, może posłał ich także do domu asystentki twojego ojca!

– Właśnie dlatego. To najbezpieczniejsze miejsce, do jakiego możemy teraz pojechać, póki nie podejmiemy decyzji, co robić.

– Ja nie jadę – powiedziała, jej rysy ściągnięte były wyrazem całkowitej determinacji.
– A właśnie, że jedziesz! – krzyknąłem – bo jak na razie nie mamy żadnej alternatywy, a nie sądzę, żebyś chciała dać się zastrzelić na ulicy czy potrącić przez samochód albo pozwolić gdzieś zawlec!

Ona zdawała się zaskoczona moim stanowczym głosem. Nie powiedziała już nic, trzymała się klamki, gdy mijałem o włos stojące samochody i skręcałem ostro w ulice prowadzące do domu mojego brata.

Zostawiłem pikapa na cudem znalezionym wolnym miejscu; poszliśmy w stronę bramy, starając się nie rozglądać w sposób zbyt widoczny. Samochód ochrony odjechał, gdy tylko zrobiło się widno; portier pozdrowił mnie ręką zza swojej szyby, przeciągłym spojrzeniem obrzucając Mette, która trzymała dłoń przy skroni.

W domu była tylko Emily, która ze swoją z lekka maniacką skrupulatnością czyściła podłogi odkurzaczem, powiedziała, że Nicoletta wyszła, ale ma wrócić na obiad. Mette poruszała się jak egzotyczne zwierzę na terytorium wroga: stawiała ostrożnie stopy na podłodze, trzymała się z daleka od ścian i mebli. Zapytałem, czy chce się czegoś napić albo skorzystać z toalety; potrząsnęła przecząco głową. Kurtkę i czapkę zdjęła dopiero na moje naleganie, a potem położyła je na fotelu w salonie, jakby chciała mieć je pod ręką na wypadek ucieczki. Pod spodem miała popielaty golf, przylegający miękko do jej figury. Otworzyłem wielki telewizor na ścianie, ale nie było żadnego dziennika i zgasilem.

Krępować mnie moje obeznanie z tym miejscem, udaremniiona potrzeba ruchu sprawiała, że czułem się jak w pułapce. Nie byłem już nawet pewny, czy miałem dobry pomysł, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Miałem mnóstwo pytań, które chciałbym zadać Mette, ale byłem prawie pewny, że nie chciałaby mi na nie odpowiedzieć. Tkwiłszy bez słowa, z dała od siebie, w tym zbyt dużym, jasnym pokoju; rozglądaliśmy się wokół pośród obrazów i mebli, i przedmiotów znanych marek, jak dwie ryby w na wpół pustym akwarium.

Poszedłem do kuchni wycisnąć kilka pomarańczy. Emily próbowała mi w tym przeszkodzić, ale odwróciłem się do niej plecami, powiedziałem, że sam to zrobię. Napeliłem dwie szklanki zimnym, gęstym sokiem pomarańczowym, wróciłem do salonu. Mette przeglądała album fotograficzny na temat różnych form wody: natychmiast odstawiła go na miejsce, oddaliła się na bezpieczną odległość od półki.

Podąłem jej szklankę. Potrząsnęła przecząco głową, ale stałem nadal z wyciągniętą ku niej szklanką i w końcu ją wzięła. Podniosła do warg, wypila powoli, jednym ciągiem.

Ja też wypilem: wydało mi się to rodzajem cichego, łączącego nas rytuału.

Potem zrobiła się pierwsza i włączyłem telewizor z plazmowym ekranem, był właśnie dziennik. Zobaczyliśmy kolejne obrazy zamachów w Iraku i nowe deklaracje papieża na temat prywatnego życia obywateli, nowe ostrzeżenia i zapewnienia w związku z ptasią grypą, nowy koktajl oświadczeń przedstawicieli wszystkich formacji politycznych. Usłyszałem głosy z przedpokoju, w chwilę później do salonu zajrzała Nicoletta.

Powiedziała do mnie „Cześć”, ale zaraz jej spojrzenie powędrowało ku Mette, która w dalszej części pokoju patrzyła na ekran, budząc w niej natychmiast instynkt terytorialny i instynkt kobiecej rywalizacji.

Zrobiłem niewyraźny gest prezentacji: „Mette, Nicoletta”.

Mette powiedziała ledwie dosłyszalnie „Cześć”.

– Dzień dobry – odparła Nicoletta najzimniejszym tonem ze swego repertuaru.

Pomyślałem, że trudno by było wyobrazić sobie dwie kobiety bardziej różniące się rysami, kolorytem, stylem, sposobem poruszania się: kontrast nawet im musiał wydawać się tak oczywisty, że obie przyjęły wyraz wzajemnej głębokiej nieufności.

W dzienniku pokazywali teraz panoramiczne ujęcie pocerniałej i dymiącej jamy, która była dotychczas rzymską siedzibą Stopwatcha, przy zagrodzonej ulicy pełnej gapiów, policjantów i strażaków w ciągłym ruchu. Ja i Mette podeszliśmy do ekranu; podniosłem pilotem dźwięk.

Nicoletta powiedziała „Lorenzo?”

Syknałem „Szzsz”.

Spiker mówił „Dziś rano, o dziewiątej trzydzieści, w pobliżu dworca Termini, z nieustalonych dotychczas przyczyn miał miejsce wybuch w siedzibie Stopuac, organizacji podejrzewanej od dawna o działalność ekoterrorystyczną...”

– Lorenzo, wybacz – powiedziała Nicoletta.

– Daj mi posłuchać! – odparłem z gestem równie ostrym, co mój głos.

Kamera wkraczała teraz przez dym i spalone resztki do pomieszczenia, w którym starliśmy się z Jorgem; spiker powiedział „Na miejscu znalezione zostały zwłoki mężczyzny należącego prawdopodobnie do organizacji, który, zgodnie z hipotezą prowadzących śledztwo, zginął w trakcie szykowania ładunku wybuchowego”.

– Jorge – powiedziała Mette łamiącym się głosem, odeszła sprzed telewizora.

– *Dranie* – mruknąłem, nie będąc w stanie przelać moich wrażeń w określone uczucia, a tym bardziej w słowa, ale z nową, gwałtowną chęcią wzięcia jej w ramiona. Nicoletta patrzyła raz na mnie, raz na nią, wskazała palcem ekran „To był ktoś, z kim mieliście coś wspólnego?”

Mette podeszła do balkonu, oparła czoło o szybę.

Nicoletta wzięła mnie za ramię, od jej starannie wyważonej postaci kobiety-dziewczynki, żony i profesjonalistki biło nie-rozumienie. Powiedziała „Lorenzo, czy byłbyś tak dobry i poinformował mnie, co się dzieje? Jak to się stało, że jesteś zamieszany w tę historię? A ona kim jest?”

Na ekranie pokazywano teraz reportaż o napadzie na furgon przewożący pieniądze w Apulii; Mette płakała z czołem na szybie. Wyrwałem się Nicoletcie, powiedziałem „To byli przyjaciele Fabia”.

– Co ty mówisz? – powiedziała Nicoletta. – Jak możesz mówić takie rzeczy?

– Zapytałaś mnie, co się dzieje.

– Chciałam wiedzieć, co się dzieje z *tobą!* Co ty zacząłeś robić, w jakie sprawy się wplątałeś! Kim jest ona?

– Ją zostaw! – powiedziałem, podnosząc gwałtownie głos, kierowany instynktem opiekuńczym.

– A właśnie, że nie zostawię! Skoro mi ją przyprowadzasz do domu! Jeśli myślisz, że tu jest rodzaj portu, to się mylisz, Lorenzo!

– Możemy porozmawiać we dwójkę gdzie indziej? – próbowałem popchnąć ją w stronę korytarza.

– Zostaw mnie! – krzyknęła Nicoletta, czerwona na twarzy. – Porozmawiamy sobie tu i teraz! W obecności tej pani!

Zaczął dzwonić telefon stacjonarny na dziewiętnastowiecznej angielskiej konsoli przy drzwiach. Nicoletta znieruchomiała w stanie chwilowego zawieszenia, dopóki nie włączyła się sekretarka elektroniczna. Z małego głośnika rozległ się głos Fabia, mówiący „Nico? Jesteś w domu? Halo?”

Nicoletta wzięła słuchawkę, słuchała przez kilka sekund; powiedziała Jest tutaj. Próbowałam mu wytłumaczyć, że zachowuje się w sposób karygodnie nieodpowiedzialny, nie licząc się w najmniejszym stopniu z tobą i ze mną!”

Spojrzałem na Mette z drugiego końca salonu: wkładała właśnie swoją krótką kurteczkę z

wyrazem twarzy, od którego zabolalo mnie serce. Zapytałem „Co ty robisz?”

Nie odpowiedziała; podniosła z fotela swoją wełnianą czapkę i wciągnęła ją na głowę, wzięła torbę w kształcie plecaka.

Nicoletta podała mi telefon. „Twój brat”. Wysłała na korytarz, usłyszałem szybki stukot jej obcasów po podłodze.

– Lorenzo? – zapytał Fabio, najwyraźniej spięty.

– Tak – próbowałem ręką zagrozić drogę idącej ku drzwiom Mette.

– Posłuchaj mnie – powiedział Fabio. – Nie chcę nawet wiedzieć, z jakich powodów nawiązałeś ostatnio pewne znajomości, ale mogę cię zapewnić, że są w *najwyższym stopniu* niebezpieczne i nie mam najmniejszego zamiaru zostać w to w jakikolwiek sposób wmieszany.

– Nie mam najmniejszego zamiaru mieszać cię w to.

– Doskonale wiesz, o czym mówię! – krzyknął. – Przestań zachowywać się jak naiwny chłopaczek!

– A ty przestań grać oportunistę gotowego iść na układy z najgorszymi z najgorszych, żeby coś tam zyskać w zamian! Nie sądzę, że twoi wyborcy głosowali na ciebie po to, żebyś teraz służył fanatycznym integrystom i mordercom!

– Zabraniam ci mówić takich bredni! Zabraniam!

Mette próbowała przejść, ale zatrzymałem ją ramieniem;

rzuciła mi wściekłe spojrzenie, policzki miała zaczerwienione, czapkę krzywo wciągniętą na czoło.

Fabio powiedział „Chcę, żebyś wiedział, że dzisiaj rano Stopwatch został wpisany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych na listę organizacji w wysokim stopniu niebezpiecznych! Są poszukiwani na terenie całego kraju, Lorenzo!”

– Bravo! – krzyknąłem. – Najpierw ich zabijają, a potem wpisują na czarną listę!

– Sami się zabijają, Lorenzo! Ten dzisiaj wyleciał w powietrze przez swoją własną bombę! Kto wie, gdzie zamierzał ją zdetonować!

– Masz informacje niewiarygodnie precyzyjne! – krzyknąłem. – Dokładnie takie, jakie podają w dziennikach kilkadziesiąt minut później!

Mette nacisnęła mocno na moje wyciągnięte ramię. Niełatwo było ją zatrzymać, mając w jednej ręce telefon; popychaliśmy się i odpychali z napiętymi mięśniami i przyspieszonym oddechem, póki nie udało mi się odwrócić bokiem i oprzeć o framugę drzwi.

– Halo, halo? – powiedział Fabio. – Co się tam, u diabła, dzieje?

– Nic – próbowałem oddychać normalnie. – Nic, co by cię mogło obchodzić.

– To jest *mój* dom! I obchodzi mnie każde głupstwo, jakie tam robisz! Daj mi Nicolettę!

– Nie ma jej tutaj.

– Daaawaj mi ją zaaaraz! – krzyknął mój brat. – Naaatychmiast!

Wyrzalem na korytarz: Nicoletta była o dwa kroki od drzwi. Wyrwała mi z ręki słuchawkę i zaczęła rozmawiać z mężem, jaskając się pod wpływem ogarniającego ją oburzenia.

Mette skorzystała z okazji, by wymknąć się z salonu; skoczyłem i przytrzymałem ją za ramię w korytarzu, przycisnąłem do muru. Powiedziałem „Czy naprawdę nie rozumiesz, że ta sprawa dotyczy nas obojga?”

– Nie potrzebuję twojej pomocy. Nie trzeba, żebyś zaczął z mojego powodu klócić się z całą rodziną.

– Guzik mnie obchodzi moja rodzina. Spróbujmy tylko, bardzo cię proszę, zdecydować razem, co mamy robić. Mój brat powiedział mi właśnie, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wpisało Stopwatch na czarną listę.

Odwróciła wzrok, dyszała lekko. Powiedziała „Czy to coś, według ciebie, zmienia? Po

tym, co zrobili z Jorgem?”

– Może tak. Jeżeli jesteś poszukiwana przez policję, to coś zmienia. Może mają twój rysopis, nie wiem.

Ona starała się zachować wyraz obojętności, ale nie było to łatwe; zagryzała wargi, patrzyła w bok.

W salonie Nicoletta mówiła do mojego brata „Dobrze, dobrze, *dobrze*, nie musisz mi tego powtarzać jeszcze sto razy”. Odłożyła słuchawkę, podeszła i stanęła mi za plecami.

Wymieniliśmy wszyscy troje spojrzenia na korytarzu, ja między dwiema niewiarygodnie różnymi kobietami.

Nicoletta wyciągnęła palec w stronę Mette, powiedziała do niej „Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie możesz zostać w tym domu ani minuty dłużej”.

– I właśnie wychodzę – odparła Mette.

– A ja wychodzę z nią – oświadczyłem.

– Ależ nie możesz! – powiedziała Nicoletta tonem świadczącym o tak nadszarpniętym rozsądku, że aż przez chwilę było mi jej żal.

– Niby dlaczego? To moja sprawa, no nie?

– To także sprawa twojego brata! I moja! Wyobrażasz sobie, jakie konsekwencje pociągnęłoby za sobą aresztowanie ciebie razem z nią?

– Słuchajcie, nie ma sprawy – powiedziała Mette. – Idę sama. – Odepchnęła mnie na bok i ruszyła w stronę drzwi; ja próbowałem ją zatrzymać, Nicoletta chwyciła mnie za ramię, zbiliśmy się razem i kręcili w kółko w wąskiej przestrzeni, powodowani różnymi intencjami, wykonując desperackie gesty.

– Idę z tobą – powiedziałem. – Idę z nią.

– Ale dokąd? – spytała Nicoletta. – Dać się złapać na pierwszej blokadzie? W ten sposób znajdziecie się w wieczornym dzienniku w telewizji, dwoje ekoterrorystów bombardierów, z których jeden, pomyśleć tylko, jest bratem Fabia Telmariego z Mirtu Demokratycznego.

Powiedziałem „Słuchaj, bardzo mi przykro z powodu wszelkich możliwych uszczerbków waszych wizerunków, twojego i Fabia”.

– *Przykro* ci? Wiesz, gdzie ja mam twoje przykrości? I nie byłyby to uszczerbki wizerunków, mój drogi! Byłoby to coś znacznie poważniejszego!

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Ja idę z nią.

– Zastanów się, Lorenzo, do cholery!

– Już się zastanowiłem.

– *Proszę*. Przynajmniej raz w twoim życiu.

– Co ty wiesz o moim życiu? Dlaczego mówisz o moim życiu?

Ona przeniosła wzrok ze mnie na Mette, jej orzechowe oczy rzucały błyski. Powiedziała „Więc przynajmniej spróbuj pojechać gdzieś, gdzie was nie zgarną po pięciu minutach jak dwoje cieląt!” Minęła nas, poszła w stronę drzwi i zaczęła grzebać w brązowej misie pełnej kluczy.

Ja i Mette ruszyliśmy za nią, w równym, sądę, stopniu zdezorientowani. Nicoletta wyciągnęła pęk kluczy z zieloną etykietką, podała mi je.

Patrzyłem na nią z kluczami w rękę, nie rozumiejąc, co ma oznaczać jej gest. – Dom nad morzem – powiedziała. – Wiesz, gdzie to jest, prawda?

Kiwnąłem głową, nie mogłem pozbierać myśli.

– Postaraj się jechać prosto tam, zamknij się w środku. Nie używaj telefonu, nie zapalaj świateł zewnętrznych i nie rób innych głupot, dość ich już narobiłeś.

– Aha.

Ona pogrzebała w torebce i wyciągnęła jeszcze jeden klucz, który też mi podała. „I weź

mój samochód, stoi na podwórku. Twojego pikapa nawet nie dotykaj, na pewno jest już namierzony”.

Wahałem się jeszcze chwilę; powiedziałem „Dziękuję”, chociaż nie byłem pewny, czy to słowo odpowiednie do jej motywacji.

Nicoletta otworzyła pancerne drzwi, powiedziała do mnie cicho „Postaraj się myśleć logicznie, Lorenzo”.

Nie odpowiedziałem, patrzyłem na Mette, która lekko uniosła rękę nieodwzajemnionym gestem pożegnania i zaczęła schodzić po schodach.

Przypomniałem sobie o swoim plecaku, pobiegłem po niego do pokoju, w którym sypiałem, wróciłem do drzwi wejściowych najszybciej, jak mogłem.

Nicoletta zatrzymała mnie przed drzwiami, powiedziała „Niech sobie idzie, Lorenzo. Daj sobie z nią spokój”.

– Przepuść mnie – powiedziałem.

– Nie zachowuj się jak dziecko. Spróbuj pomyśleć logicznie. Proszę cię.

– Zostaw mnie – odsunąłem ją na bok, najłagodniej, jak mi na to pozwalał szalony pośpiech.

Ona powiedziała Jeśli dzisiaj naprawdę nie jesteś w stanie, spróbuj to przemyśleć przynajmniej jutro”.

– Zgoda. Dziękuję! – Przeskakując po kilka stopni, pobiegłem w dół schodami szacownego domu, zamieszkałego przez adwokatów i notariuszy, z oczami utkwionymi w czarnej czapce Mette trzy podesty niżej.

Prowadziłem superkrótki samochodzik Nicoletty przez miasto

Prowadziłem superkrótki samochodzik Nicoletty przez miasto w kierunku zachodnim. Dziwne wrażenie robiło na mnie podróżowanie tak nisko, w porównaniu z moim pikapem, bez maski z przodu i kufra z tyłu. Czuję się bardziej bezbronny i bardziej zwinny, a na pewno bliższy Mette w ciasnym wnętrzu. Ona patrzyła przed siebie nic nie mówiąc; oddychała przez nos, rysy twarzy miała napięte.

Byłem aż nazbyt świadomy niebezpieczeństw związanych z naszą sytuacją, ale nie przeszkadzało mi to odczuwać wyraźnie jakiejś formy szczęścia na myśl o tym, że uciekamy razem. Milczeliśmy, jakby w obawie, że nasze słowa może ktoś usłyszeć; analizowaliśmy najmniejsze nawet zmiany ruchu na ulicach i na chodnikach. Moja uwaga była tak napięta i pobudzona, że wyolbrzymiała każde odczucie; najlżejsze zetknięcie naszych ramion, rąk czy nóg, wywoływało we mnie małe wstrząsy, które przenikały przez niepokój i docierały do najbardziej ukrytych obszarów.

Pojechaliśmy obwodnicą, okrążyli miasto w natrętnym świetle z siłą odśrodkową, która zbliżała nas do siebie na każdym zakręcie. Potem wjechaliśmy na autostradę prowadzącą wzdłuż wybrzeża, nabraliśmy szybkości na prostej wstędze asfaltu. Patrzyliśmy na fragmenty bladego morza po naszej lewej stronie, za rzędem oleandrów i eukaliptusów. Przed nami, po prawej, były nagie góry, jechaliśmy wśród szklarni i upraw pod folią, składów, brzydkich budowli, porzrzucanych lub skupionych w osiedlach mieszkalnych. Ruch samochodów i ciężarówek był raczej niewielki; nie potrafiłem powiedzieć, czy jest to dla nas korzystne, czy nie.

Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, żeby zatankować, nie wysiadając, chociaż oboje byliśmy głodni. Przed barem, jakieś dziesięć metrów przed nami, stał samochód policyjny. Ja i Mette nie powiedzieliśmy nic do siebie, cofnęliśmy się tylko lekko na oparcia foteli i tak zostali, póki pracownik stacji nie skończył napełniać baku.

Kiedy znów zaczęliśmy jechać w kierunku północnym, poczułem nieuzasadnioną ulgę; dotknąłem kolana Mette i powiedziałem Jesteśmy za miastem”.

– Tak, ale co dalej?

– Dalej zobaczymy.

Przez sto następnych kilometrów nie odzywaliśmy się prawie do siebie; siedzieliśmy spięci i pogrążeni w myślach, wśród zdyszanego warkotu silnika i wiatru szeleszczącego po małym płóciennym dachu.

Dotarliśmy do drogi biegnącej środkiem laguny, kiedy słońce stało już nisko nad morzem, a warstwy szaroniebieskawej mgły płynęły w głąb ładu. Jechałem zapamiętaną drogą po południowo-wschodniej stronie cypla. Jak mi się to już kilka razy zdarzyło, minąłem właściwy zakręt, pojechałem za daleko, musiałem zawrócić i cofnąć się. Mette patrzyła na zewnątrz: o tej porze i przy tym nastroju nie był to z pewnością krajobraz pogodny, woda w dole odbijała resztki światła, po prawej ciążyła nad nami ciemna masa góry, wśród roślinności rysowały się dwie brzydkie wieże wojskowe.

Zawróciłem i wjechałem w wąską, krętą drogę, która biegła w górę ku tkwiącym na zboczu domom lotniskowym. Mijaliśmy powoli fasady, długie balkony, bramy i kryte matami, wykrojone w ciasnej przestrzeni parkingi, aż do stromeego podjazdu letniej rezydencji należącej

kiedyś do rodziców Nicoletty. Wysiadłem, by otworzyć bramę, na której widniał napis „Buen retiro”, samochodzik z wysiłkiem wjechał stromą alejką w górę. Powiedziałem „To tutaj”, wróciłem na dół zamknąłem bramę. Mette wysiadła, patrzyła naokoło na kamienne murki i pinie nadmorskie, na kępy hortensji w niesymetrycznych narożnikach cementowych murów. Jej wygląd kontrastował z otoczeniem w sposób, który w normalnych okolicznościach wydałby mi się zabawny. Próbowałem się do niej uśmiechnąć, ale nie zauważyła tego; bolały mnie mięśnie i nerwy twarzy.

Otworzyłem drzwi, wyłączyłem alarm przy wejściu, tak samo, jak to zrobili mój brat i Nicoletta te dwa czy trzy razy, gdy otwieraliśmy dom razem, nacisnąłem główny wyłącznik elektryczności. To był dziwny przyjazd w porównaniu z moimi poprzednimi wizytami: bez bagażu i bez gospodarzy; nie było lata, upału, nudy, czekania na jedzenie i wino, wciąż tych samych rozmów, czasu upływającego jak woda, która nic nie kosztuje.

Mette weszła za mną, poruszała się ostrożnie. Powietrze było bardzo zimne i wilgotne, miało zapach słonawy i trochę zatechły. Idąc korytarzem, zapalałem kolejne lampy; oświetliłem wielki salon z kanapami i fotelami w stylu czasopism architektonicznych lat sześćdziesiątych i z obrazami włoskiego popartu na ścianach. Efekt połączenia gustu rodziców Nicoletty z upodobaniami Nicoletty i Fabia był dość przerażający. Patrzyłem na Mette, która rozglądała się naokoło, i miałem wrażenie, że chcąc nie chcąc, jestem odpowiedzialny za to miejsce. Po ciszy i bliskości w małej, poruszającej się kabinie, trudno nam było przystosować się do obszernego i nieruchomego miejsca. Byliśmy dwojgiem prawie nieznanym sobie ludzi na cudzym terenie, skrępowanych onieśmieleniem i nieufnością, niepewnych nawet tego, jaki ruch mają teraz wykonać.

Wydało mi się, że dla ułatwienia przejścia z jednej sytuacji w drugą potrzebny jest jakiś energiczny gest lub przynajmniej słowa. Powiedziałem „Czuj się jak u siebie”. Zaraz potem zdałem sobie sprawę z absurdalności tego zdania, jako że ja sam czułem się całkowicie nie u siebie: wilgotne tkaniny zasłon i obić wchłonęły moje słowa. Zacząłem otwierać drzwi balkonowe, ale przypomniałem sobie, co Nicoletta powiedziała na temat ograniczania do minimum zewnętrznych oznak życia. Puściłem klamkę, machnąłem ręką.

Pokazałem Mette, gdzie jest najbliższa łazienka, wyjąłem dla niej z szafy dwa ręczniki, wyłączyłem elektryczny bojler. Wyszedłem na zewnątrz, by włączyć ogrzewanie, ale żelazne drzwi do kotłowni były zamknięte. Wróciłem do domu, zacząłem szperać w szufladach w kuchni i w salonie w poszukiwaniu klucza, ale bez rezultatu. Pomyślałem, żeby wyłamać zamek, ale wyobraziłem sobie hałas, jakiego narobiłbym w ciszy tego wieczoru, więc wyszedłem znowu, by zebrać narzędzie drewna leżącego w rogu przy grillu, i zaniósłem je do salonu. Zdjąłem z kominka dwa konie z kolorowego metalu i marmurowy moździerz, pociągnąłem za łańcuch przy drzwiczkach: wyleciał deszcz piasku i sosnowych igieł. Położyłem drewno na żelaznych podpórkach, poszedłem do kuchni poszukać gazet do podłożenia i zapalek. Panujący wszędzie porządek był wzorowy: mogłem sobie wyobrazić Nicolettę dokonującą z Harrym i Emily końcowego obchodu dla upewnienia się, że stan zimowego zawieszenia jest zgodny z jej standardami. Widziany w tym świetle, jej gest przekazania mi kluczy wydawał się niezwykle wspaniałomyślny; o ile nie był podyktowany odruchem przezornej samoobrony.

Mette wróciła do salonu, gdy właśnie rozpalałem ogień. Bez śladów makijażu wokół oczu jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejsza, rysy naznaczone niezliczonym ciągiem pokoleń żyjących w odległych miejscach i klimatach. Zapytała „Dasz radę?": jej akcent brzmiał bardziej cudzoziemsko, niż mi się to wydawało w Rzymie.

– Mam nadzieję – odparłem. – W moim domu o tej porze roku spędzam chyba czwartą część dnia na rozpalaniu ognia.

– W Rzymie?

– Na wsi. Już od lat nie mieszkam w Rzymie. – Drewno było wilgotne jak cała reszta, ale podłożyłem więcej papieru i zacząłem mocno dmuchać; ogień powoli zaczął się rozpalać.

Mette usiadła na kamiennym obramowaniu kominka, z uwagą obserwowała technikę moich ruchów. Powiedziała „U mnie w domu też rozpalamy wielkie ogniska”.

– W Norwegii? – zapytałem, nie patrząc na nią wprost.

– W Danii.

Uderzyła mnie myśl, że uciekamy razem przed poważnym niebezpieczeństwem, nie wiedząc nawet, z jakich części świata pochodzimy. Pomyślałem, że może to i lepiej: przerażała mnie myśl o nagłej lawinie wszelkich możliwych informacji o naszym życiu.

Patrzyliśmy na ogień i wdychali dym, chłonąc pierwsze, słabe ciepło. Wyszedłem znowu na dwór, by przynieść kolejne naręcze drewna, sprawdziłem, czy za ogrodzeniem widać jakieś światła, czy coś słychać. Powietrze było na pozór nieruchome, ciemne z fioletowymi refleksami, ciężkie.

Kiedy wróciłem do środka, Mette pogrzebaczem poprawiała ogień, by dać mu więcej oddechu, czerwień płomieni odbijała się jej na twarzy.

Przez jakiś czas siedzieliśmy bez słowa i prawie bez ruchu, dorzucając tylko z rzadka czy przesuając jakieś polano. Cisza dzwoniła mi w uszach, wyolbrzymiała każdy najmniejszy trzask czy podmuch z kominka. Miałem wrażenie, że tkwię całkowicie w chwili bieżącej, bez żadnego przedtem czy potem; a przecież byłem zupełnie ogłuszony tym, co się zdarzyło, i pełen obawy o to, co stać się może. Trzy plany nakładały się na siebie: wystarczyło uwolnić myśli od wrażeń, by przejść od stanu prawie-bezruchu do najbardziej szalonej gonitwy myśli. Próbowałem trwać w tym prawie-bezruchu, ze wszystkim nie-dopytanym i nie-wyjaśnionym, które w sobie zawierał; wykonywałem ruchy ledwo widoczne, słuchałem ledwo dosłyszalnych dźwięków, patrzyłem tylko na jedną rękę czy jedno ucho Mette, na fragment jej włosów. Kiedy niechcący rozszerzałem pole widzenia i spostrzegałem ją całą, jeden czy dwa obrazy wymykały się chwili bieżącej i serce zaczynało mi bić szybciej; musiałem odwracać oczy i oddychać głęboko, by wrócić do poprzedniego stanu zawieszenia. Nie przypominałem sobie, że bym kiedykolwiek był w sytuacji równie napiętej i nietrwalej, może tylko wtedy, gdy miałem piętnaście czy szesnaście lat; nie miałem najmniejszej ochoty zmieniać tej sytuacji.

Potem nagle głód, który od wielu godzin tkwił we mnie utajony, wybuchnął z niepowstrzymaną siłą. Zerwałem się z miejsca, zapytałem „Nie jesteś głodna?”

Mette przestraszyła się: zerwała się także, gotowa do działania.

– Przepraszam – powiedziałem, choć znajdowałem niezmierne upodobanie w każdym jej ruchu czy zmianie wyrazu twarzy. – Nie chciałabyś czegoś zjeść?

– Tak. Ale czego?

– Nie wiem. Zaraz zobaczymy.

Obszedłem kuchnię wyłożoną kafelkami z prowansalskim wzorem, wzdłuż półek, na których, porządnie ustawione, zimowały ekspres do kawy, mikser, wirówka, wyciskacz do soku, toster, frytkownica i ruszt elektryczny, każde ze swoim kablem starannie zwiniętym i ściśniętym gumką. Z dala od ciepła bijącego z kominka musiałem ruszać się o wiele energiczniej, by pokonać chłód, wilgoć i pustkę domu: zrobiłem kilka wymachów rękami, kilka przysiadów i podskoków.

Wielka lodówka, wyłączona jak inne urządzenia elektryczne, była kompletnie pusta. Za to w szafach stało kilka opakowań makaronu i ryżu, herbatniki, puszki tuńczyka, butelki sosu pomidorowego, słoiczek kaparów, paczki kawy, sól, cukier. Wyciągnąłem garnek i napełniłem go wodą, postawiłem go na czarnej ceramicznej płycie niemieckiej kuchni elektrycznej.

Przekręciłem gałkę, ale nie zapaliło się żadne światełko; ukląknęłam, by wetknąć wtyczkę do kontaktu, przez materiał spodni czułam lodowatą podłogę.

Odwrociwszy się, zobaczyłem Mette, która stała w drzwiach, obserwując mnie w milczeniu. Miała szczególny sposób stania, z lekko pochyloną głową i opuszczonymi rękami, jedną nogą wyprostowaną, drugą ugiętą lekko w kolanie: zdawało się, że mogłaby tak stać długo, nie czując zmęczenia.

Podnosząc się powiedziałem „Hej”; jej spojrzenie i postać wywoływały podskórne ciepło, silniejsze od wszelkich stanów niepokoju czy zimna związanego z klimatem.

Ona zdawała się zamyślona, ale po kilku sekundach zaczęła lekko drżeć i oddychać szybko, z jej gardła zaczęły dochodzić ciche dźwięki; zakryła oczy ręką.

Podszedłem bliżej, patrzyłem na nią z odległości kilku centymetrów, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić. Potem ona zaczęła łkać, a ja ją objąłem: pchnięty niepowstrzymaną siłą, która ograniczyła do minimum odległość między nami, grubość naszych ubrań, powietrze w naszych płucach.

To było zdarzenie tak nieoczekiwane, że musiałem prawie natychmiast rozluźnić uścisk i cofnąć się, chwiejnie i bez tchu, ogarnięty płynącymi z mojej twarzy i szyi, dłoni i ramion, piersi, brzucha, pachwin i nóg wrażeniami, które kilka sekund później przeniknęły mi do krwi.

Mette odeszła szybko, wzięła papierową serwetkę z leżącej na półce paczki, którą otworzyła trzęsącymi się rękami.

Poszedłem za nią w pewnej odległości, wzburzony tym, co się stało, nie wiedząc zupełnie, jak mamy do siebie mówić. Powiedziałem „Przykro mi z powodu Jorgego”.

Ona dalej płakała i łkała, z twarzą ukrytą w białej papierowej serwetce, z ciałem wstrząsanym nieustannym drżeniem.

Próbowałem powstrzymać impuls, który pchał mnie do tego, by objąć ją znowu, zignorować pulsujące we mnie uczucia. „Naprawdę. Czułem do niego sympatię, chociaż mało rozmawialiśmy ze sobą”.

Ona, wśród łkań, powiedziała „On też czuł do ciebie sympatię”.

– Tak? – Czułem się także winny, bo mój żal z powodu Jorgego krył w sobie nutę zazdrości i był mniej silny od zawrotu głowy, jaki niedawno, gdy wzięłem ją w ramiona, wywołało we mnie zetknięcie naszych ciał. Chciałem przywrócić właściwą skalę emocji, ale mimo wszelkich wysiłków przeważała ciągle ta niepohamowana presja, która rzuciła nas ku sobie.

Mette powiedziała „To był fantastyczny człowiek. Fantastyczny”.

– Wiem.

– Ależ prawie go nie znałeś.

– Miałem wrażenie, że go znam. Po pierwszym trudnym zetknięciu. Może chodzi o to, że był tak bliski tobie.

Ona odwróciła się, jej jasne oczy były pełne łez. Powiedziała „Nie byliśmy razem, ja i Jorge”.

– Ach nie? – Krótka, karygodna fala ulgi uderzyła we mnie, spłynęła pianą na wszystkie moje odczucia.

Mette potrząsnęła głową. „To był mój najlepszy przyjaciel”.

– Na pewno. Chodzi o to, że rozumieście się w sposób tak naturalny. Tak instynktowny. Dlatego myślałem, że jest twoim chłopakiem.

– Był czymś więcej – powiedziała Mette. – Nie było między nami żadnych gier miłosnych. Tego, co było, nigdy nie udałoby się zepsuć. Nigdy.

Powiedziałem znowu „Na pewno”, próbując z najwyższym wysiłkiem dzielić jej ból,

zamiast myśleć o otwierającej się nagle możliwości przeniknięcia do wolnych być może obszarów jej serca. To był rodzaj myśli, przez które poczułem się czymś w rodzaju sentymentalnego szakala; powiedziałem „Dranie”.

– To takie straszne, takie straszne – powiedziała ona.

Poszedłem otworzyć i zamknąć dwukrotnie jedną z szaf, by nie ulec instynktownej chęci wzięcia jej znowu w ramiona, by nie ścisnąć jej mocno, nie okryć pocałunkami i pieścizotami.

Ona powiedziała „I jeszcze to, że robią z niego kogoś, kto szykował bomby. Z niego, który był osobą najmniej agresywną ze wszystkich, jakie znałam. Nie potrafił mieć nawet agresywnych *myśli*. A przecież wychował się w środowisku z pewnością niełatwym, z matką alkoholizką i chorym bratem, z ojcem, który ich bił i uciekł z inną kobietą, kiedy Jorge miał sześć lat”.

– To był fantastyczny człowiek – powiedziałem, teraz, kiedy retrospektywna ulga pozwalała mi być wspaniałomyślnym.

– Tak. – Wytarła nos papierową serwetką, ręką otarła oczy.

– I poznaliście się w Amazonii?

Skinęła głową. Jego brat miał mały ośrodek pomocy dla Indian zmagających się z kolonami, z *garimpeiros* i zbirami z amerykańskich i japońskich kompanii do handlu drewnem. Powstał autoryzowany przez rząd brazylijski program zniszczenia tysiąca dwustu hektarów dżungli, w której żyły trzy plemiona, poznaliśmy się właśnie wtedy”.

– W dżungli? – I chociaż nie miałem już powodów do zazdrości o Jorgego, czułem rodzaj niepowetowanej straty na myśl o tym wszystkim, co ona widziała i robiła, czuła i myślała, zanim ja dowiedziałem się w ogóle o jej istnieniu.

– Tak.

– Ja też byłem w dżungli – powiedziałem. – Ale nie wtedy, gdy ty tam byłaś. – Patrząc z tego punktu widzenia, widziałem to jako absurdalną stratę: energii, uwagi i zapachu roztrwonionych na próżno, milionów gestów i kroków, i myśli zmarnowanych, gdy moje życie nie miało zupełnie nic wspólnego z jej życiem.

Ona wsunęła ręce do kieszeni kurtki, stojąc przy drzwiach.

Garnek skwierczał na kuchni, woda prawie się wygotowała. Podniosłem go przy pomocy dwóch łapek z rysunkiem lamparta i napełniłem na nowo pod kranem w zlewie; zetknięcie się zimnej wody z rozgrzanym metalem wywołało obłok pary. Potem wyjąłem sos pomidorowy, tuńczyka i kapary, wymieszałem i zagrzałem wszystko na patelni.

Mette wzięła kolejną papierową chusteczkę, znowu otarła oczy, wysiakała nos. Nasze oddechy tworzyły małe obłoczki; mimo kurtek, jakie mieliśmy na sobie, musieliśmy się ciągle ruszać, żeby nie zamarznąć.

Podąłem jej drewnianą łyżkę, powiedziałem „Pomieszaj trochę” i zacząłem otwierać drzwiczki w poszukiwaniu jakiegoś alkoholu. W jednej z niskich szaf leżało porządnie kilka butelek, wina reprezentacyjne, otrzymane zapewne w prezencie i trzymane dla gości, jako że Fabio i Nicoletta byli abstynentami. Spomiędzy różnych szampanów *grand cru*, różnych Barolo, Brunello di Montalcino i Chateau-Lafite, wyciągnąłem butelkę Brunella. Była lodowata: otworzyłem ją i poszedłem postawić przy kominku; dorzuciłem drew do ognia.

Kiedy wróciłem do kuchni, Mette mieszała drewnianą łyżką sos na patelni; przestała płakać. Uderzające było, jak głód może współistnieć z dręczącym nas smutkiem, niepewnością i niepokojem i zachować kompletną, zdecydowaną autonomię. Zastanawiałem się, czy to rodzaj podświadomości, czy mechanizm obrony gatunku, który każe jednostkom uzupełnić energię, gdy muszą stawić czoło sytuacjom niebezpiecznym. Wiedziałem tylko, że mój umysł pełen jest zapowiedzi smaku i konsystencji, do tego stopnia, że na racjonalne myśli zostały tylko skrawki

wolnego miejsca.

Wrzuciłem do wrzącej wody więcej niż połowę paczki makaronu, stałem, patrząc, jak woda zaczyna się pienić. Mette stanęła obok mnie; twarze owionęła nam gorąca, pachnąca skrobią para.

Potem odcedziliśmy makaron i wymieszaliśmy z sosem; zaniósłem dymiące talerze w poblizze kominka, w małe półkole ciepła pośrodku dużego pokoju. Wybiegłem na dwór, by przynieść z ogrodu nowe drewno, dołożyłem go do ognia. Mette usiadła na kamiennym obramowaniu ze skrzyżowanymi nogami, zanurzyła widelec w talerzu. Zrobiłem to samo; makaron zaczynał stygnąć. Wino było jeszcze zimne i miało garbnikowy smak starego, przydymionego aksamitu, ale piliśmy je dużymi łykami, z palcami zaciśniętymi na nóżkach kieliszków, aby nie wysliznęły się nam z rąk. Makaron z tuńczykowym sosem wydał mi się za to nadzwyczaj dobry, miał bogatą skalę złożonych odcieni smakowych; nie mogłem uwierzyć, że mogliśmy go przyrządzić z taką łatwością. Mette poruszała widelcem, jakby miała nabijać na harpun podstawowe dla życia składniki, póki jeszcze są, żuła starannie, co jakiś czas popijała łykiem wina. Wyglądaliśmy jak dwoje dzieci, które zakradły się do cudzego domu, ścigani wspólnicy, samotni w mydlanej bańce wspólnych wrażeń. Nie rozmawialiśmy, z talerzami na kolanach i nisko opuszczonymi głowami, w niewygodnych pozycjach, skrępowani naszymi ubraniami, wyczuleni niepomiernie na wszelkie sygnały.

Kiedy skończyliśmy, nasze ruchy zrobiły się o wiele wolniejsze i bardziej płynne niż przedtem; zebrałem talerze, nalałem do kieliszków resztę wina, dołożyłem dREW do ognia. Rozglądaliśmy się wokół, aby nie patrzeć sobie w twarz, ale cały mój system nerwowy nastawiony był na odbiór jej osoby. Wahałem się długo nad wyborem odpowiednich gestów i słów; w końcu wskazałem na drugą część salonu, zapytałem „Chcesz zobaczyć, czy mówią coś w telewizji?”

Mette kiwnęła głową: ujrzałem niepokój pojawiający się znowu w jej oczach.

Poszedłem włączyć telewizor do kontaktu, wróciłem schronić się przy kominku z pilotem w rękę. Zmieniłem kilka kanałów; patrzyliśmy na obrazy przepływające za szkłem kilka metrów od nas niczym sygnały z dalekich światów.

W pewnej chwili ukazał się panoramiczny widok ulicy przy stacji, z byłą siedzibą Stopwatcha zmienioną w poczerniałą, ogrodzoną barierkami dziurę; podniosłem dźwięk. Spiker mówił „W Rzymie trwają dochodzenia związane z wybuchem, jaki dziś rano miał miejsce w kryjówce ekoterrorystycznej grupy Stopuac. Jednocześnie z pracami nad identyfikacją znalezionych na miejscu zwłok trwają aktywne poszukiwania członków organizacji na terenie całego kraju, drobiazgową kontrolą objęte są zwłaszcza lotniska, stacje kolejowe i główne szlaki komunikacyjne”.

Spojrzeliliśmy na siebie z Mette: miałem fizyczne niemal wrażenie, że poprzez ciemność otaczającą dom zaciska się wokół nas sieć o niedostrzegalnych oczkach. Zastanawiałem się, ile śladów zostawiliśmy za sobą, na ile drobiazgowo są poszukiwania, jakimi elementami dysponują ci, którzy nas szukają. Zastanawiałem się również, czy mój brat gotów jest wydać mnie policji w zamian za poparcie i korzyści polityczne, tak jak to zrobił z memoriałem Ndionego; czy aby już się to nie stało. Jednocześnie nie mogłem sobie darować, że otworzyłem telewizję; chciałbym, żeby było tak, jak kilka minut temu, gdy ja i Mette rozglądaliśmy się wkoło z kieliszkami w rękę, w zwolnionym ciągu nieokreślonych wrażeń i myśli.

– Sądysz, że twoja bratowa nie powie nikomu? – spytała Mette. – Że jesteśmy tutaj?

Obecny znowu w jej głosie niepokój zadał mi ból jak uderzenie noża; przymknąłem oczy. „Mam nadzieję, że nie”.

– Ale twojemu bratu na pewno powiedziała.

– Jemu chyba tak. – Nie miałem najmniejszej ochoty myśleć o Nicoletcie i moim bracie ani snuć przypuszczeń na ich temat.

– A twój brat? Co zrobi?

– Nie mam pojęcia. Myślę, że będzie rozważał, co dla niego najkorzystniejsze.

Mette rozejrzała się, powiedziała „Więc nie jesteśmy tu wcale bezpieczni”.

– Nie wiem. Ale na tę noc, w każdym razie, nic lepszego nie znajdziemy. – Miałem znowu głowę pełną tras ucieczki, ale wszystkie urywały się przed blokadami. Zgasilem telewizor: duży pokój wypełniła znowu głęboka cisza, przerywana jedynie trzaskaniem ognia.

Mette wpatrywała się w czubki bucików, jej profil miał dla mnie wyraz dojmującej niemal bezbronności.

Zerwałem się, powiedziałem „Na tę noc zostajemy tutaj i koniec. Do jutra nie będziemy o tym myśleć”.

– A jutro? – zapytała.

Zaraz potem zadzwonił telefon, jego niepewny dźwięk brzmiał nierealnie w ciszy pokoju. Zesztywnieliśmy oboje, wpatrując się w stolik, z którego dochodziły dźwięki, jakbyśmy chcieli wyczuć, kto to jest i jakie ma intencje. Po każdym sygnale miałem nadzieję, że przestanie, a tymczasem dzwonił i dzwonił. W końcu przestał, ale po jakichś dziesięciu sekundach zaczął od nowa, z jeszcze większą natarczywością.

Mette zapytała „Co zrobisz, przyjmiesz?”

– Na pewno nie przyjmę – powiedziałem, chociaż wydawało mi się, że taka taktyka jest zbyt pasywna, by mogła być naprawdę dobra.

Kiedy telefon umilkł ponownie, siedzieliśmy cicho i nieruchomo przez dobrych kilka minut, z oczami zwróconymi w stronę aparatu, z mięśniami napiętymi dla obrony przed wstrząsem, jaki wywoływał każdy kolejny dzwonek. Już się jednak nie odezwał; powoli zaczęliśmy znowu oddychać, ale teraz każda zasłona w oknie i każdy załamek ściany zaczęły mieć w sobie coś niepokojącego.

– Kto to mógł być? – spytała Mette z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki.

– Może Nicoletta. Albo mój brat, nie wiem.

Ona patrzyła nadal na telefon, powiedziała „Kto wie, co ci chcieli powiedzieć”.

Podrapałem się w głowę; zastanawiałem się, czy to była próba przekazania mi ważnych informacji, ostrzeżenia przed groźącym niebezpieczeństwem, nakłonienia do powrotu, wciągnięcia w niepotrzebne dyskusje.

Staliśmy nadal bez ruchu, poza kręgiem ciepła z kominka, sparaliżowani niepewnością. Telefon nadal nie dzwonił, dom zalegała cisza.

Podszedłem do jednego z okien, uchyliłem zasłonę, by sprawdzić, czy między listewkami żaluzji nie widać jakichś świateł albo mchów, natężyłem słuch, by posłyszeć ewentualne dźwięki. Nie wydawało mi się, by coś się działo, ale z wnętrza domu trudno było to stwierdzić. Powiedziałem do Mette „Wychodzę rozejrzeć się, ty zostań tutaj”.

– Ja też idę – powiedziała szybko; poszła za mną do drzwi wejściowych.

Wyszliśmy ostrożnie do ogrodu, rozejrzeliśmy się w ciemności na prawo i lewo: wszystko zdawało się nieruchome. Powietrze było zimne jak w domu, może trochę wilgotniejsze, pachniało stojącą, słoną wodą z nutą dobywającego się z komina dymu. Mały trawnik po stronie wschodniej był mokry, uginał się pod naszymi stopami. Nie było gwiazd ani księżycy; jedyne światło, jakie dawało się dostrzec, płynęło z domu przez metalowe żaluzje w salonie, ale trzeba było podejść bardzo blisko, by je dostrzec. Powiedziałem do Mette „Nie oddalaj się”.

– Nie – odparła; była o kilka centymetrów ode mnie: mogłem wyczuć w ciemności bijące od niej ciepło.

Zeszliśmy stokiem aż do bramy, potracając się wzajemnie dwa albo trzy razy. Nawet po kilku minutach osvajania się z ciemnością mogliśmy dostrzec co najwyżej głębsze cienie niskiego muru ogrodzenia, pinii nad naszymi głowami i innych domów po naszej prawej stronie. Wszystko inne było niezgłębioną nocą, zarysowaną tylko na samych krańcach cichącym warkotem dalekiego samolotu.

Wracaliśmy na górę wzdłuż murku ogrodzenia, w pewnej chwili potknąłem się o jakąś ławkę, a Mette wpadła na mnie. Oddychaliśmy jeszcze bliżej siebie, niż to się zdarzyło w Rzymie, próbowaliśmy się rozdzielić. Nie zastanawiając się, przesunąłem ręką wzdłuż jej ramienia, pochwyciłem jej dłoń i pociągnąłem ją za sobą. Zaciskałem palce na jej palcach, i podobnie jak wtedy, w kuchni, kiedy próbowałem ją przytulić, czułem zawrót głowy, który wzrastał się z każdym krokiem, gdy w odpowiedzi zaciskała palce na moich.

Okrążyliśmy dom jeszcze raz, w stanie dziwnej mieszaniny czujności i roztargnienia, pijani wypitym winem i ciągłym stykaniem się naszych ciał. Mimo wszystkich powodów do niepokoju, które próbowały ovladnąć moimi myślami, nie chciałem być w żadnym innym miejscu na świecie – tylko tu i z nią.

Puściłem jej rękę w ostrym świetle przedpokoju

Puściłem jej rękę w ostrym świetle przedpokoju; cudowna, niezwykła naturalność, z jaką poruszaliśmy się w ciemności na dworze, rozpadła się na szorstkie ruchy. Ogień w salonie przygasł prawie zupełnie: zgarnąłem na środek kominka ostatnie żarzące się drwa, mogło tego wystarczyć jeszcze na kilka minut.

Nie miałem raczej dostatecznej jasności umysłu, by zastanawiać się nad wątpliwościami i decyzjami, których podjęcie czekało nas rano: powiedziałem „Powinniśmy iść spać, jeśli jutro chcemy wyruszyć wcześniej”.

– Tak – powiedziała Mette.

Próbowałem pokonać mój opór wewnętrzny; zapytałem „A ty gdzie byś chciała pojechać?”

– Do Francji. I tam się zastanowić.

Przyszło mi na myśl, że wśród tego wszystkiego, czego o niej nie wiem, jest również to, że nie wiem, gdzie mieszka, ale nie wiedziałem, jak ją o to zapytać. Powiedziałem „Stopwatch ma także siedzibę w Lyonie, prawda? Widziałem na waszej stronie”.

– Tak – odparła. – A poza tym mamy przyjaciół i w innych miastach.

– A ty gdzie mieszkasz? – zapytałem w końcu.

Odwróciła wzrok. „Przez ostatnie miesiące mieszkałam w Rzymie, z Jorgem”.

– A przedtem? – Teraz, gdy już zacząłem, trawił mnie głód brakujących informacji.

– Przedtem w Londynie. A jeszcze przedtem w Manaus. A jeszcze przedtem w Cape Town. A jeszcze przedtem w Kopenhadze. A jeszcze przedtem w Rzymie.

– W Rzymie? – zapytałem, skonsternowany.

– Tak, po skończeniu liceum prawie przez rok pracowałam u pewnej włoskiej rodziny.

– No proszę, to dlatego mówisz tak dobrze po włosku. Ale na początku? Gdzie się urodziłaś?

– W Lemvig. To takie małe miasteczko nad morzem, w Jylland.

– To znaczy w Jutlandii?

– Tak.

– I tam się wychowałaś? – Próbowałem wyobrazić ją sobie jako małą dziewczynkę z miodoworudymi włosami.

– Tak. Potem pojechałam do Kopenhagi, na uniwersytet.

– Co studiowałaś?

– Antropologię.

– To dlatego znalazłaś się w Afryce Południowej?

– Tak. Prowadziłam badania do mojej pracy magisterskiej w pewnej wiosce w Swazilandzie.

– Jak tam było?

– Jeden mieszkaniec na trzech był seropozytywny albo miał AIDS pełnoobjawowy, z dziećmi włącznie. Dżungla za wioską została kompletnie zniszczona przez handlujące drewnem przedsiębiorstwa z Ameryki Północnej. Prawie wszystkie krowy i inne zwierzęta padły z głodu, z pragnienia czy z chorób. Nie było nic.

– A ty?

– Przeprowadziłam moje badania – powiedziała Mette.

– Chociaż czułam się potworem, nagrywając wywiady i notując swoje spostrzeżenia, zamiast coś *robić*. Potem, zaraz po obronie pracy, wróciłam do Afryki, żeby pracować ze Stopwatchem.

– Co to była za praca?

– Program antykoncepcji w wioskach Swazilandu i Lesoto. Ale zaledwie udało nam się zdobyć choćby trochę zaufania i uzyskać jakiś mizernutki rezultat, pojawiali się misjonarze katoliccy i mówili, że prezerwatywy są narzędziem szatana i że jedynym sposobem, by nie zachorować, jest zachowywanie czystości.

– A wy?

– Robiliśmy, co się dało. Na przekór wszystkim.

– Ilu was było? – spytałem, pochłonięty sporządzaniem do woli w myślach obrazów przedstawiających ją w Afryce.

– Niewielu. – Ale nie miała już ochoty mówić o sobie; zapytała: – A ty, gdzie mieszkasz? Gdzie jest to miejsce na wsi, o którym wspominałeś?

– Na wzgórzach – odparłem, chociaż chciałem jej zadać tysiąc innych pytań. – W Umbrii, w środkowych Włoszech. Ale to tylko baza tymczasowa.

– A przedtem gdzie mieszkałeś?

– W Ankonie. A jeszcze przedtem w Sao Paulo, w Brazylii. A jeszcze przedtem w Londynie. A jeszcze przedtem w Rzymie. – Myślałem o tych samych miejscach, gdzie chodziliśmy w innym czasie, o możliwych spotkaniach, do których nie doszło; o tym wszystkim, co zapełniało lata i miesiące, i dni, i godziny, i minuty, i miliony sekund, zawartych dzisiaj w zwykłych nazwach miast.

Mette przesunęła się ku środkowi kominka, ale zgasły już ostatnie płomyki, słabe promieniowanie ciepła ustało; obydwójce zeszywnieliśmy z zimna.

Powiedziałem „Pójdziemy spać?”; poszedłem wyłączyć telefon.

– Tak – odparła, minęła mnie i podniosła z kanapy, gdzie ją przedtem rzuciła, swoją torbę w kształcie plecaka.

– Powiedz, gdzie wolisz – odezwałem się, idąc przodem. Otworzyłem drzwi do pokoju Harry’ego i Emily, białego i pustego jak cela, pokoju dla gości z dwoma bliźniaczymi łózkami, gdzie kapa, zasłony i abażury były w takim samym, żółtym odcieniu. Poprowadziłem ją na piętro, otwierałem drzwi do innych pokoi w stanie zimowego zawieszenia: pokoju Tommasa, z naturalnej wielkości sylwetką rekina na ścianie i półkami pełnymi książek i gier z okresu, gdy był jeszcze dzieckiem, pokoju Fabia i Nicoletty z wielkim łóżkiem, nad którego okrągłym zagłówkiem wisiał abstrakcyjny obraz w różnokolorowe plamy.

Zagląaliśmy do każdego pokoju, jakby to były hipotetyczne rekonstrukcje pomieszczeń, w jakich żyją inni ludzie; wciągaliśmy w nozdrza powietrze, by odnaleźć tropy czy ślady.

Zapytałem Mette „No więc?”

– Wszystko jedno – odparła. – Wybierz ty.

– Nie, ty wybieraj. – Zdawałem sobie sprawę, że to jest tak, jakbym jej kazał wybrać, czy mamy spać razem, czy oddzielnie, ale z drugiej strony byłem zdenerwowany i brzęczało mi w uszach, miałem wrażenie, że nie mogę polegać wyłącznie na moich impulsach. Widziałem w myśli ją i siebie w jednym łóżku; ją i siebie w łóżkach oddzielnych; w oddzielnych pokojach; na innych piętrach. Nie wiedziałem, czy fakt, że w ciemności trzymaliśmy się za ręce, łączy się z naturalnym wyborem pierwszej możliwości; zbyt mocne światło z lamp pod sufitem zdawało się pracować przeciw nam, podkreślało dzielącą nas pustą przestrzeń.

Byliśmy w połowie schodów; Mette wróciła na parter, wskazała pokój gościnny, powiedziała „Ten”.

– Pasuje ci obydwójce w jednym pokoju? – słowa mojego pytania były jedną zbitką z powodu zimna i dla uniknięcia przynajmniej części implikacji.

– Tak – odparła z prostotą, która nie zmniejszyła mojej niepewności.

Poszliśmy do dwóch różnych łazienek, jej zostawiłem tę z ciepłą wodą. Spojrzałem w lustro: moja twarz odbijała moje samopoczucie, miałem minę trzynastolatka zmordowanego sytuacją.

W pokoju gościnnym wyjąłem z szaf koce, rzuciłem po dwa na każde łóżko. Zdjąłem kurtkę i buty i w ubraniu wsunąłem się do łóżka przy drzwiach, naciągając koce na nos. Poduszka i prześcieradła pachniały starym detergentem, miałem wrażenie, że wchłonęły całą wilgoć pokoju, by oddać ją teraz moim nogom, plecom, ramionom i szyi za uszami.

Mette przyszła dwie minuty później, ledwo na mnie spojrzała. Położyła swój plecak na krześle, zdjęła kurteczkę, usiadła na łóżku, rozsznurowała buciki, zdjęła je i ustawiła w kącie. Dostrzegałem jej ruchy na lewym skraju mojego pola widzenia, nie odwracając głowy, ale bardzo wyraźnie. Ona także wsunęła się pod koce w ubraniu, powiedziała „Już. Brrrr”.

W końcu odwróciłem się, by na nią spojrzeć, zapytałem „Wygodnie ci?”

– Tak – odparła, chociaż widziałem, jak drży w wilgotnym i zimnym łóżku.

Miałem ochotę wyciągnąć do niej rękę, ale między nami były prawie dwa metry odległości. Powiedziałem „Względnie”.

– Względnie – powtórzyła, ale jej uśmiech trwał zbyt krótko.

Zapytałem „Myślisz, że obudzimy się sami, czy lepiej będzie nastawić budzik?”

– Może lepiej. Chociaż obudzimy się na pewno.

Wyszedłem z łóżka, wziąłem budzik w stylu lat siedemdziesiątych ze stojącego przy ścianie mebla, przekręciłem kółko dzwonka. Była dopiero dziewiąta czterdzieści. Zapytałem „Na szóstą?”

– Tak – odparła Mette.

Wsunąłem się znowu do łóżka. Spytałem „Zgasić?”

– Tak.

Zgasiłem górne światło; została lampa w formie kielicha na moim stoliku nocnym. „To też zgasić?”

– Tak.

Leżeliśmy cicho w ciemności, oddzieleni odstępem między naszymi łóżkami, w nieruchomym domu. Jedyнным dźwiękiem był odgłos naszego przewracania się z boku na bok, wyciągania i podkurczania nóg, które nie chciały się rozgrzać pod prześcieradłami.

Próbowałem zastanowić się, co najlepiej byłoby zrobić rano, ale przychodziły mi do głowy tylko strzępy jakichś koncepcji, pomysły zbyt migawkowe, by mogły się na coś przydać. Żadna myśl nie zatrzymywała się na dłużej, a tym bardziej nie wiązała się z innymi: obrazy dróg i miejsc, które pojawiały mi się w głowie, znikwały prawie natychmiast. Możliwość uporządkowania myśli wydawała mi się bliska zeru, każda próba przyjęcia jakiejś linii działania pogarszała tylko w efekcie moje rozdrażnienie. Przewracałem się na łóżku wśród przelatujących mi nieustannie przez głowę impulsów i przebłysków, oddech i ruchy Mette tak blisko mnie sprawiały mi prawie ból.

W końcu zdałem sobie sprawę, że dwa koce bynajmniej nie wystarczają i choćbym był nie wiem jak zmęczony, nie ma mowy o tym, żebym zasnął. Odwróciłem się w stronę Mette, spytałem „Śpisz?”

– Nie – odparła.

– Zimno ci?

– Trochę.

– Trochę, czy bardzo?

– Bardzo.

– Ale czy nie powinnaś być do tego przyzwyczajona? Jako Dunka?

– Jestem przyzwyczajona do zimna *na dworze*. Nie w domu.

– Słusznie – powiedziałem; przez głowę przesunęły mi się różne obrazy mieszkań skandynawskich.

– A ty? – zapytała. – Ty, który mieszkasz na dzikich wzgórzach i jedną czwartą dnia spędzasz na rozpalaniu ognia?

– Jestem przyzwyczajony do zimna *suchego*. Nie takiego wilgotnego i przenikliwego jak na bagnach zombich.

Z jej strony pokoju dobiegły dźwięki cichego pociągania nosem.

Pomyślałem, że znowu zaczęła płakać; poniosłem się na łokciu, przestraszony. Ale ona się śmiała: wydało mi się to cudem po tylu dniach, gdy każdy nasz najmniejszy kontakt był sztywny lub przerywany czy utrudniony. Ja też się zaśmiałem z poczucia ulgi i zarażony jej śmiechem, z tej samej przyczyny, dla której ona się śmiała, beznadziejnej i elektryzującej absurdalności naszej sytuacji.

Śmialiśmy się tak przez ładnych kilka minut: co jakiś czas przestawaliśmy, by zacząć na nowo w sposób jeszcze bardziej spazmatyczny, wśród szelestu pościeli i trzeszczenia bukowych klepek pod nami.

Kiedy przestaliśmy, milczeliśmy znowu przez parę minut, oddychając w ciemności. Potem powiedziałem bez zastanowienia „Czy wiesz, że dwie osoby, które znalazły się na mrozie, powinny spać obok siebie, by zsumować ciepło swoich ciał? Tego uczą wszystkie podręczniki szkoły przeżycia”.

– Wiem – powiedziała Mette.

– No i co? Dlaczego, jak idioci, leżymy z daleka od siebie?

– Ba.

Zapaliłem lampę na szafce nocnej: popatrzyliśmy na siebie w żółtym świetle, oboje siedzieliśmy z kocami naciągniętymi na kolana. Wstałem i nie spuszczać jej z oczu, przysunąłem moje łóżko do jej łóżka, ruchem, który stanowił niejako kontynuację myśli. Wydawało mi się, że robię to w wyobraźni, bez najmniejszego wysiłku.

Zgasilem znowu lampę i wsunawszy się pod prześcieradła, prześlizgnąłem się ku niej, jakbym płynął w morzu nocy. Ręką znalazłem jej ramię, nogą nogę, biodro biodrem; ścisnąłem ją w tali i odwróciwszy, przyciągnąłem do siebie, ciepłą i cudownie jędrną. Jej zapach polnych kwiatków przyspieszał bicie mojego serca, fakt, że jesteśmy równie blisko, jak przedtem byliśmy daleko, wydawał mi się czymś zdumiewającym. Obsypałem jej włosy, czoło i skronie szybkimi, dziecinnymi pocałunkami; powiedziałem „Hej, hej, heeej”.

– Hej – odpowiedziała Mette, obejmując mnie także. Przycisnęła się do mnie mocno całym ciałem. Jej czoło leżało w zagłębieniu między moją szyją a prawym ramieniem, jej włosy łaskotały mnie w brodę i nos, jej piersi, jej brzuch i nogi ocierały się o mnie nierównomiernie, grzbiety naszych stóp nakładały się na siebie miękkimi ruchami. Byliśmy tak całkowicie pochłonięci trwaniem w tym uścisku i niezliczonymi wrażeniami, jakie się z nim wiązały, że na żadne myśli nie było miejsca; ciepło naszych ciał sumowało się i zwiększało w stopniu znacznie większym, niż to mówią podręczniki szkoły przeżycia. Nie zdarzył mi się nigdy uścisk równie gorący, a przecież pozbawiony jakichś szczególnych intencji seksualnych: nasze szczęście było prostym, rozedrganym szczęściem dwojga osobników płci przeciwnej tego samego gatunku, przytulonych do siebie w osłoniętym zakątku ziemi, pośrodku gęstej ciemności nocy rozciągającej się aż po niepochwytne krańce wszechświata.

Po trudnym do określenia czasie powiedziałem cicho „Mette?”

– Co? – odparła, jej głos był tak blisko, że całe ciało, począwszy od kości skroniowej, przeszedł mi dreszcz.

– Kim ty jesteś?

– A ty?

– Ja zapytałem pierwszy.

– Co chciałbyś wiedzieć?

– Dlaczego jesteś taka. Dlaczego jesteśmy tutaj. Dlaczego to wszystko. – Nie po raz pierwszy miałem wrażenie, że słowa są niewystarczającym narzędziem porozumiewania się, ale tym razem wrażenie było tak silne, że słowa znikają mi przed oczu w tej samej chwili, gdy próbowałem je znaleźć.

Mette powiedziała „Na razie nie wiem”. Poruszyła głową opartą o moje ramię, wywołując kolejny, nieskończenie głęboki dreszcz.

W moim śnie były dźwięki elektrycznego dzwonka

W moim śnie były dźwięki elektrycznego dzwonka, tak natarczywe i przenikliwe, że ze snu przebiły się do rzeczywistości. Obudziłem się nagle: byłem nadal u boku Mette, smużki zimnego światła sączyły się przez żaluzje i rysowały na podłodze. Spojrzałem na zegarek, było dwadzieścia po ósmej. Dzwonek odezwał się znowu. Odsunąłem koce, zerwałem się na nogi.

Mette też się obudziła: usiadła gwałtownie, z twarzą obrzmiałą od snu i potarganymi włosami. Spytała „Co się dzieje?”

– Ktoś jest przy bramie – powiedziałem, moje poczucie, że trzeba pilnie działać, walczyło z nostalgicznym wspomnieniem chwil, gdy spałem jeszcze obok niej.

– Kto? – siedziała już na brzegu łóżka.

– Nie wiem. – Wziąłem ze stolika nocnego budzik, który nas zawiódł, potrząsnąłem nim; podszedłem do zamkniętego okna, zawróciłem, wciągnąłem buty. Miałem w głowie zbyt dużo równoczesnych ruchów, zbyt dużo sprzecznych impulsów, by wybrać jeden skuteczny ciąg działań.

Mette wzięła z kąta swoje buciki, założyła je bez sznurowania. W korytarzu dzwonek dźwięczał znowu *tmpting tmpting*, z nieznośną natarczywością.

Przy drzwiach wejściowych dotknąłem jej ramienia, powiedziałem „Jeśli coś się zdarzy, wyjdź przez drzwi balkonowe w kuchni, przeskocz przez murek i oddal się najszybciej, jak możesz”. Nie był to plan ucieczki zbyt kompletny czy obiecujący, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Ona powiedziała „Zaczekaj”, próbowała chwycić mnie za ramię.

– Zostań tutaj – popchnąłem ją do tyłu. Uchyliłem drzwi, wyjrzałem na zewnątrz. Światło było zimne, niebo pokryte białoszarymi chmurami. Metalowa płyta bramy zasłaniała mi widok: tylko w szparze przy bocznym słupku mogłem dostrzec jasną plamę spodni i głowę pokrytą siwymi włosami. Moje napięte mięśnie były gotowe do walki, krew pełna adrenaliny, głowę zajmowała przybliżona ocena ewentualnej broni, jaka mogła znajdować się w domu i ewentualnej wytrzymałości drzwi wejściowych, ewentualnych dróg ucieczki w stronę morza i w stronę ładu. Krzyknąłem „Kto tam?”

– To ja, Giacomo! – odkrzyknął jakiś głos zza bramy. – Dozorca!

Napięcie bojowe przeszło w poczucie częściowej ulgi, częściowa ulga w irytację. Zszedłem rampą z cementu, w którym zatopiono ozdobne kamienie, spytałem „O co chodzi?”

– Dzień dobry. – Zerknął na wąskie przejście, zasłonięte liśćmi oleandra.

– Dzień dobry – powiedziałem, zwracając się do małych niebieskich oczu i wąskich ust w ciągłym ruchu.

– Telefonowała pani Nicoletta. Mówi, że ma pan zadzwonić do niej zaraz, od razu.

– Dziękuję bardzo – nie mogłem uwierzyć, że spałem aż tak długo.

– Mówi, że pan nie odpowiada. Że nikt nie odbiera, próbowała nie wiem ile razy.

– W porządku, zadzwonię do niej – czułem rosnącą niecierpliwość.

Dozorca Giacomo przesuwiał nadal głowę, by dostrzec coś przez szparę z boku bramy. „Trzeba mnie było uprzedzić, wczoraj wieczorem, żebym włączył ogrzewanie! Powiedziałem to pani Nicoletcie”.

– Ach, to nieważne. Jakoś dałem sobie radę.

– Jak to? Przez całą noc? I to jeszcze z panią?

– Jaką panią? – Odwróciłem się w stronę domu: Mette stała w drzwiach, patrzyła na

mnie. Dałem jej znak, żeby wracała do środka, poruszyłem wargami, mówiąc bezgłośnie „Odejdź”.

– Zaraz to panu włączę, proszę się nie martwić – powiedział dozorca Giacomo. Trzymał już w ręku klucze, było jasne, że dzwonił, zamiast po prostu wejść, z polecenia Nicoletty.

– Ależ nie ma sprawy! – powiedziałem. – Nie potrzeba. Dziękuję.

– Jakże to? Przy tym pioruńskim mrozie?

– Nam to nie przeszkadza. Naprawdę.

Nie chciał się poddać, powiedział Jak pan senator się dowie, że pozwoliłem tu panu zamarznąć, obedrze mnie ze skóry, jak nic!”

– Wytlumaczę mu, że wolę, jak jest chłodno. Proszę się nie przejmować. Stokrotne dzięki. Był pan bardzo uprzejmy. Dziękuję.

On stał nadal, zerkając w górę ku drzwiom wejściowym. Powiedział „W każdym razie klucz do kotłowni jest w komórce przy kuchni, w szafeczce. Proszę mnie wezwać, jakbym był potrzebny. Ma pan mój numer telefonu?”

– Mam, mam – odparłem. – Jeszcze raz dziękuję. To miłe z pana strony. Do widzenia. Dziękuję.

Dozorca Giacomo ruszył się wreszcie, bardzo niechętnie. Zaczekałem, by usłyszeć w dole odgłos jego samochodu, potem poszedłem prędko rampą do góry.

Mette, cała spięta, stała w przedpokoju. Zapytała „I co?”

– To był dozorca – powiedziałem. – Przysłała go Nicoletta. Chce, żebym zaraz do niej zadzwonił, mówi, że to pilne.

Ona patrzyła na mnie, jej oczy pełne były niepokoju.

Próbowałem oprzeć się chęci objęcia jej, ale nie dałem rady: przycisnąłem ją do siebie mocno, wdychałem jej oddech, jej ciepło i zapach, czułem całym sobą konsystencję jej ciała. Nie chciałem jej puścić; musiałem spojrzeć na zegarek, żeby się od niej oderwać.

Poszła za mną do salonu i stanęła przy wygasłym kominku, a ja tymczasem włączyłem sznur telefonu do gniazdka i nakręciłem numer mieszkania Fabia i Nicoletty.

Przyjęła Emily, mówiąc: „Mieszkanie senatora Telmariego”, takim głosem, jakby mówiła magiczną formułkę.

Powiedziałem, że chcę mówić z Nicolettą; patrzyłem na Mette, która patrzyła na mnie.

– Lorenzo – powiedziała Nicoletta, jej głos był niezwykle spięty.

– Nicoletto.

– Próbowałam cię znaleźć nie wiem już ile razy. Nie odpowiadasz.

– Wiem – pomyślałem, że jej ton przypomina ton kobiety zazdrosnej.

– Twój brat też próbował. Dzwonił na komórkę, na stacjonarny, nic.

– Co chcieliście mi powiedzieć?

– Że sytuacja jest poważna, Lorenzo! Że to nie zabawa! Nie przygoda!

– Nigdy nie myślałem, że to coś takiego – powiedziałem, z trudem panując nad irytacją, pośpiechem i wszystkimi innymi przepelniającymi mnie impulsami.

– A ja mam wrażenie, że nie zdajesz sobie sprawy! – powiedziała ona. – We wczorajszym wybuchu koło stacji ktoś został zabity!

– Wiem o tym.

– Szukają tych ludzi po całych Włoszech! Fabio mówi, że niedługo ich złapią, to już tylko kwestia czasu!

Próbowałem uśmiechnąć się do Mette, by zmniejszyć trochę napięcie jej rysów, ale bez skutku. – Więc o co chodzi?

– O to, Lorenzo, żebyś zrobił jedyną rozsądną rzecz, jaką możesz zrobić! – powiedziała

Nicoletta. – Prześń grać adwokata spraw przegranych, zostaw tę biedaczkę, którą się zająłeś, i wracaj zaraz do Rzymu!

– Biedaczka to chyba ty.

Nie zareagowała nawet, powiedziała „Fabio mówi, że twoja sytuacja może jeszcze zostać wyjaśniona, ale musisz się pospieszyć z powrotem! Zanim sprawy pogorszą się tak, że nie da się już nic naprawić!”

– Już jestem w sytuacji, która nie da się naprawić.

– Lorenzo, przestań! – powiedziała Nicoletta ochrypłym tonem, jakiego nie chciałyby zapewne usłyszeć w swoim nagraniu. – Nie wymyślaj sobie jakiejś wyższej misji! Z twojej strony to tylko głupie zauroczenie!

– Moje uczucia nie mają z tym nic wspólnego. To sprawa związana z moim ojcem, z zakamuflowanymi interesami tego gnijącego państwa, ze zburzoną równowagą świata.

– Komu to mówisz, Lore? Od ilu dni ją znasz? Trzech?

– Wystarczająco długo.

– Nie możesz rujnować sobie życia bez zastanowienia! I jeszcze na dodatek rujnować życia swojego brata, i mojego!

– Przemyślałem to, nie martw się.

– A właśnie, że się martwię, do cholery, Lorenzo! – krzyknęła, nie panując już nad głosem. – Mam święte prawo martwić się! I chcę natychmiast odzyskać swój samochód!

– Zostawię ci go tutaj, bądź spokojna. Jeszcze raz dzięki za wszystko. – Skończyłem rozmowę, rzuciłem słuchawkę na stolik. Spojrzałem na Mette z uszami pełnymi jeszcze słów Nicoletty i wszystkich racji tkwiących w tonie jej głosu lub kryjących się za nim.

Mette miała wyraz twarzy zamknięty, daleki. Powiedziała „Wracaj do Rzymu, Lorenzo”.

– Co ci przychodzi do głowy?

– Zostaw mnie tutaj. Wsiądę w pociąg, dam sobie radę.

Podszedłem do niej, myśl, że mogłaby mnie wyłączyć ze swoich planów lub ze swoich myśli, mroziła mi krew w żyłach. Powiedziałem „Teraz ty zaczynasz? Po Nicoletcie? Atakujecie z dwóch stron naraz, żebym oszalał?”

Ona powiedziała „Nie myśl, że masz wobec mnie jakieś obowiązki”.

– Nie zaczynaj znowu. Nie robię tego dla ciebie. Robię to dla siebie!

W oczach mignęło jej jakieś inne światło; nie odpowiedziała i odwróciła wzrok.

Powiedziałem „Jeśli masz iść do łazienki, to idź zaraz. Musimy się stąd wynieść, już najwyższy czas”.

Umyłem się z grubsza pod zimnym prysznicem, wytarłem ręcznikiem bardzo szybko, żeby się trochę rozgrzać, ubrałem się znowu, skacząc z miejsca na miejsce po wyłożonej kafelkami podłodze. Słowa Nicoletty dźwięczały mi w pamięci jak brzydka, natrętna piosenka, usłyszana przypadkowo w radiu. Zastanawiałem się, czy aby ona nie miała racji, określając jako zauroczenie to, co czułem do Mette; czy to dla niej wpłatałem się w tę historię, czy też wpłatałem się w nią jeszcze przed jej poznaniem. Zastanawiałem się, czy ma sens nadzieja, że uda się jeszcze dojść w jakiś sposób prawdy, skoro została już wymazana przez specjalistów od wymazywania. Zastanawiałem się, czy przypadkiem to, co mnie pociąga w Mette, nie wiąże się z faktem, że jej nie znam; czy jestem gotów podjąć znowu grę imaginacji i własnych wyobrażeń, oczekiwań, propozycji i żądań, która w moim dotychczasowym życiu przynosiła tylko rozczarowania, roszczenia i oskarżenia, pozbawiając na trwałe złudzeń.

Nie były to prawdziwe pytania, raczej fragmenty pytań, nakładające się na siebie i przemieszane z fragmentami tras ucieczki i najróżniejszymi obrazami: mój zmarły ojciec na swoim łóżku, ruchy Nicoletty w przedpokoju jej domu, pusty, pokryty śniegiem krajobraz wokół

mojego domu, czupryna Jorgego w kształcie korony drzewa, sposób, w jaki biegł ścigający mnie facet w płaszczu z wielbłądziej wełny, twarz nagle zbudzonej Mette. Pomyślałem, że w gruncie rzeczy nie mam żadnych pretensji do tego, by być czegoś pewnym, choćby w przybliżeniu; że tysiąc razy wolę, by na terenach niebezpiecznych prowadziły mnie przeznaczenie i wycucie, niż bym miał się silić na uprawianie pozbawionych smaku owoców zdrowego rozsądku.

I nie było już na to czasu: poszedłem do kuchni, przygotowałem maszynkę do kawy, postawiłem ją na ogniu i zacząłem chodzić tam i z powrotem, nie przestając ani na chwilę układać tras i obliczać odległości.

Mette przysłała do kuchni, gdy kawa była już gotowa, w swojej krótkiej puchowej kurteczce, z torbą w kształcie plecaka na ramieniu i wełnianą czapką w rękę. Nalałem dwie filiżanki, wyciągnąłem z szafy paczkę szwedzkich sucharków bez soli. Parzyliśmy sobie wargi i języki wrzącą kawą, zagryzając kawałkami wilgotnego sucharka bez smaku.

Mette zapytała „Według ciebie, uda nam się wydostać?”

– Stąd? – nadal układałem w myśli możliwe warianty.

– Z Włoch.

– Zależy. Jaką pojedziemy drogą, jakim środkiem lokomocji. – Zdawałem sobie sprawę, że nie mam zbyt wielu elementów, które by jej dodały otuchy, ale nie mogłem sobie nawet wyobrazić, że mógłbym nie być z nią zupełnie szczerzy.

Ona zresztą nie wydawała się wcale ogarnięta paniką: szykowała się do zajęcia odpowiedniego do sytuacji stanowiska. Zapytała „Czy tu gdzieś blisko jest stacja?”

Skinąłem głową, ale pomysł z międzynarodowym pociągiem wcale mi się nie podobał. Wydało mi się to klasyczną pułapką filmową: ja i Mette siedzący na naszych miejscach, dwie pary policjantów, którzy zbliżają się z dwóch stron wagonu, by zatrzymać nas tuż przed granicą. Otworzyłem drzwi do komórki, zacząłem szukać wśród szczotek, ścierek i odkurzacza przytwierdzonej do ściany szafki, o której mówił dozorca Giacomo. W środku były rozmaite klucze, każdy wisiał na haczyku i opatrzony był kolorową karteczką. Wyciągnąłem je wszystkie z szafki, rzuciłem beładnie na stół i zacząłem przerzucać.

– Czego szukasz? – zapytała Mette, przypatrując się z konsternacją moim ruchom.

– Kluczy do jachtu mojego brata. Trzyma go przy nabrzeżu, tu niedaleko. Powinien być na wodzie, fotografował się tam z Nicolettą kilka tygodni temu.

– Dlaczego jachtu?

Powiedziałem „Popłyniemy do Francji morzem. Przybijemy do Nicei, stamtąd pojedziemy pociągiem”.

– Ale przez morze to bardzo daleko. I mamy *grudzień, Lorenzo*.

Podobał mi się jej sposób wymawiania mojego imienia, szczególnie *nz*, podobała mi się także jej kobieca ostrożność: miałem ochotę rzucić wyzwanie wszelkim formom rozsądku, byle dać jej kolejny argument. „Byłem w grudniu na *Atlantyku*. A poza tym lepiej płynąć przez kilka dni, niż dać się aresztować w pociągu na pierwszej stacji”.

Potrząsnęła głową. „Ja wiem, jakie potrafi być morze w zimie. Wyrosłam nad morzem”.

– Ale twoje morze to Morze Północne. To jest Morze Śródziemne. W porównaniu z tamtym to rodzaj jeziora. – Wiedziałem wprawdzie, że ona ma rację, ale pomysł z jachtem całkowicie mnie porwał: miałem głowę pełną obrazów nas dwojga razem na morzu, wolnych od lądu stałego i wszystkich jego obowiązków i nacisków, daleko od sieci, która zaciskała się wokół nas z każdą minutą silniej. Wszystko inne rozplywało się gdzieś w głębi, z wszelkimi względami praktycznymi i wymogami organizacyjnymi włącznie.

– To absurdalne – powiedziała Mette.

Poszedłem do salonu, zdjąłem ze ściany starą, oprawioną mapę żeglarską, zaniósłem ją na

stół w kuchni. Nakreśliłem palcem drogę aż do wybrzeży francuskich, powiedziałem „Widzisz?”

– Tak, to absurdalne.

– Uparta głowa. – Ale mając przed sobą mapę, trudno było zaprzeczyć faktom oczywistym. Nakreśliłem drogę na zachód, powiedziałem „No to popłyniemy na Korsykę”.

Mette śledziła wzrokiem nerwowe ruchy mojego palca; w jej spojrzeniu mogłem wyczytać różne myśli, jakie przechodziły jej przez głowę.

– Na Korsykę byłoby rozsądnie – powiedziałem. – Zaufaj mi.

Nie była przekonana; powiedziała „Zresztą nie mamy nic na taką przeprawę”.

– A co mielibyśmy mieć? – We krwi coraz szybciej krążyła mi niecierpliwość.

– Nie wiem, prowiant, odpowiednie ubrania. – Wskazała te, które miała na sobie i do których przez te kilka dni zdążyłem się bardzo przywiązać.

Wziąłem ją za rękę i pociągnąłem na piętro, do pokoju Fabia i Nicoletty; otworzyłem ich mahoniowe szafy w stylu okrętowym. W środku były tylko nieliczne ubrania letnie. Zupełnie nieprzydatne do przeprawy zimowej. Mimo to wyciągnąłem jakiś żakiecik i dwie bluzki, a z szuflady kolorowe bikini.

Mette zaśmiała się, ale jej obawy górowały nad rozbawieniem; powiedziała „Daj spokój, Lorenzo”.

Włożyłem wszystko z powrotem do szafy, wróciliśmy do kuchni. Zacząłem znowu grzebać w kluczach na stole, zapytałem „Ufasz mi czy nie?”

– Nie wiem – odparła. – Nie znamy się. Sam to powiedziałeś dziś w nocy.

– Wiesz, że to nieprawda. Wiesz, że znamy się od kto wie jak dawna, ja i ty.

Ona przechyliła głowę, by spojrzeć na mnie pod innym kątem; to także mi się podobało.

– Powiedz tylko, czy mi ufasz. Odruchowo, bez zastanowienia. – Zaraz potem znalazłem parę kluczy z żółtą karteczką, na której napisane było „Aqualuna”. Pokazałem je Mette.

– Tak – powiedziała.

Wsunąłem do kieszeni klucze od łodzi, włożyłem wszystkie inne z powrotem do szafeczki, zostawiłem na stole kluczyki od samochodu Nicoletty. Wypłukałem w zlewie filiżanki, wziąłem z komórki plastikową torbę. Wpakowałem tam kilka butelek wody, dwie paczki makaronu, dwie puszki tuńczyka. Powiedziałem „Chodźmy, chodźmy”; nie mogłem się doczekać chwili, gdy będziemy na dworze, w ruchu.

Szliśmy pustą drogą

Szliśmy pustą drogą, biegnącą wzdłuż uczeponych zbocza willi, w świetle zasnutym mgłą unoszącą się znad morza. Kilkadziesiąt metrów pod nami po lewej stronie była plaża, po prawej mokre pola i droga, hangary dla jachtów, falujący gąszcz białych i srebrzystych masztów łodzi żaglowych.

Wstrzymując oddech, minęliśmy pozamykane na głucho furtki, drzwi, balkony i okna innych willi, minęliśmy agawy i oleandry, ogrodzenia z trzciniowych palików, porośnięte glicynią i dzikim winem pergole, duże metalowe T, wbite w ziemię dla zapewnienia miejsca do parkowania samochodów dla właścicieli, którzy nie mieli parkingu na terenie posesji. Nie było żadnych dźwięków ani dymów, ani zapalonych świateł, ani innych oznak ludzkiego życia. Szliśmy w milczeniu, lekko, mając tylko plecaki na ramionach i plastikową torbę z prowiantem, ale milczenie i lekkość były naszą jedyną przewagą. Gdyby samochód policyjny zajechał nas całym pędem od przodu czy od tyłu na wąskiej drodze, trudno byłoby skoczyć na czas w dół, na zbocze, i stamtąd kontynuować ucieczkę we właściwym kierunku. Próbowałem się skupić na technikach niewidoczności, których nauczyłem się na kursie ninjutsu w Sao Paulo, zanim instruktor został aresztowany, ale były pomyślane raczej na noc i na dżunglę, niż na okolicę wakacyjną na wybrzeżu toskańskim poza sezonem. Zresztą moje spojrzenie wędrowało ciągle ku idącej obok mnie Mette: mieszanka uwagi i obawy, jaką we mnie budziła, była tak gęsta, że spowolniała wszystkie moje reakcje, z wyjątkiem tych, które wiązały się bezpośrednio z nią.

Powiedziałem „Nie myśl o sobie idącej, ale o tym, co jest wokół ciebie. Stop się z krajobrazem”.

– Wiem, wiem – powiedziała z półśmiechem.

Pomyślałem, że podoba mi się również jej sposób nieokazywania zdumienia, a jednocześnie zdumiewanie się, kiedy tego chce: jej zmienna równowaga pragmatyzmu i roztargnienia.

Dotarliśmy do plaży, między małe budynki z drewna i cementu zakładów kąpielowych. Szliśmy po wilgotnym piasku, gdzie byliśmy bardziej widoczni, ale i bardziej niedostępni. Co jakiś czas spoglądaliśmy w stronę lesistego i nieco złowieszczonego wzgórza przed nami, z dwoma fortami, wysoko, na obu końcach zatoki.

Zapytałem „Jak ci się spało tej nocy?”

– Dobrze – odparła Mette. – Nawet za dobrze, jak widziałeś. A tobie?

– Mnie też. To był zresztą pierwszy raz od naprawdę długiego czasu, kiedy spałem z kobietą. – Nie wiedziałem, dlaczego to mówię: może była to próba odkrycia kart czy nakłonienia jej, by odkryła swoje.

– Ach tak? – nie patrzyła na mnie.

Przez pewien czas szedłem dalej w milczeniu; patrzyłem na algi, muszle, kawałki drewna i plastiku na plaży, patrzyłem w górę, w stronę domów. Zapytałem „A ty?”

– Ja też.

– Naprawdę? – z mojego głosu przebijała niepewność.

Ona przytaknęła głową, powiedziała „Nie licząc Jorgego, naturalnie”.

– Sypialiście razem?

– Jak nie było dwóch łóżek. Chrapał tak głośno, że budził mnie po dwadzieścia razy w ciągu nocy. Musiałam dmuchać mu w nos albo szczytać w uszy, żeby przestał.

Nie była to z pewnością wyczerpująca wymiana informacji o naszym życiu

sentymentalnym, nie wyjaśniała też, czy tej nocy spaliliśmy razem jako wspaniali, tymczasowi przyjaciele, czy jako co innego. Ale ostrożność, z jaką stąpaliśmy po plaży, zdawała się odbijać w równie silnej ostrożności wewnętrznej; staraliśmy się nie zniszczyć tej równowagi, która trzymała nas razem, zwracaliśmy uwagę na ruchy naszych stóp i myśli.

Dotarcie do portu zajęło nam niecałe dziesięć minut. Przeszliśmy pomiędzy prowizorycznymi hangarami z białego plastiku i wielkimi kadłubami łodzi zawieszonymi na rurkowatych podporach na kółkach; obok imitacji trójmasztowego galeonu; wzdłuż czegoś, co przypominało olbrzymią wannę, wyposażoną w kabiny, przyciemnione szyby i podwójne śruby, z napisem „Gran Nirvana” na rufie. Był to rodzaj składu zabawek dla dorosłych, weekendowych marzeń i pragnienia pokazania się, w postaci kadłubów i nadbudówek, które kosztowały miliony euro, ważyły dziesiątki ton i zajmowały tysiące metrów sześciennych przestrzeni. Ja i Mette pokazywaliśmy sobie w milczeniu co bardziej groteskowe nazwy i wulgarnie kształty, obracaliśmy głowy na prawo i lewo, idąc pomiędzy nimi. Mogłem sobie wyobrazić pozy i gesty, i spojrzenia, i opaleniznę, i kostiumy kąpielowe, i włosy, i pareo, i okulary słoneczne, i puste słowa, i szklanki koktajlowe, i muzykę pompującą basowe tony, i figury taneczne, i śmiechy, i wzajemne uwodzenie się, i małostkowe, głupie czy niepokojące rozmowy, jakie na nich zagoszczą na dwa czy trzy miesiące, kiedy zostaną spuszczone na wodę: te krótkie wizje jawiły mi się jak błyskawice, gdy patrzyłem z dołu ku górze.

Przemknęliśmy się za białą barierę, za tablice ostrzegawcze i pustą budkę strażnika, zaczęliśmy iść wzdłuż nabrzeża. Patrzyłem na łodzie żaglowe zacumowane przy pomostach, z grotami i fokami w pokrowcach lub bez żagli, z kokpitami przykrytymi starannie przytwierdzonym brezentem. Woda była szarobrazowa, poruszana lekką bryzą; po drugiej stronie mol morze było pomarszczone. Mette patrzyła w tę samą stronę, co ja; byłem prawie pewny, że wiem, co myśli. Zadałem sobie pytanie, czy mój plan jest planem wykonalnym, czy głupim, ryzykownym pomysłem; ale nie miałem najmniejszej ochoty zastanawiać się nad pro i contra, byłem zbyt niecierpliwy.

Jacht mojego brata stał trochę dalej, zacumowany w połowie pomostu, między dwoma podobnymi jachtami. Pokazałem go Mette; ruszyliśmy jak złodzieje cementową alejką aż do rufy, białej i kwadratowej, z niebieskim napisem „Aqualuna”. Nie miał z pewnością eleganckich linii starego angielskiego słupa z drewna iroko i orzecha, na którym pływałem po tyłu morzach, zanim zostałem zmuszony go sprzedać, ale za to jego kadłub z żywicy wzmocnionej szklanym włóknem spowodował mniej szkód w lasach na świecie. Róg grotu wystawał znad bomu z samonaciągaczem, fok był szczelnie zwinięty na sztagu, koło sterowe przykryte niebieskim pokrowcem, w kokpicie było tylko na palec wody.

Spojrzałem w stronę drogi i nabrzeża: były puste, jeśli nie liczyć małego białego psa, który biegł truchcikiem w kierunku stojącego dalej psa czarnego. Położyłem trap i wszedłem na pokład: zaledwie poczułem ruch kadłuba pod stopami, wydało mi się, że jestem prawie wolny. Uśmiechnąłem się do Mette, która patrzyła na mnie niepewnie, wziąłem od niej oba plecaki i torbę z prowiantem. Klucze pasowały; zszedłem pod pokład, by sprawdzić urządzenia techniczne. W zbiorniku silnika było prawie do pełna paliwa, baterie naładowane, inne przyrządy wydawały się w porządku, w szafeczce nad stolikiem nawigacyjnym był duży wybór map żeglarskich. Był to jacht pełen automatów i serwomotorów, dla leniwych mieszczuchów, którzy wypływają w morze nie po to, żeby się męczyć. Zdjąłem pokrowiec ze steru, nacisnąłem przycisk rozrusznika, zapalił prawie od razu, postukiwał regularnie.

Rozglądałem się nadal, ale wydawało się, że w całym porcie nie ma naprawę nikogo, kto by zwrócił uwagę na ruch czy dźwięki.

Podaliśmy rękę Mette; weszła na pokład, nie dotykając mojej dłoni, z jej ruchów nietrudno

było się domyślić, że jachty nie są jej obce.

Zszedłem ponownie na nabrzeże, zdjąłem cumy rufowe, wróciłem na pokład i wciągnąłem trap. Pod pokładem, w forpiku, znalazłem worek z ubraniami sztormowymi i butami, wyrzuciłem je na tapczan w mesie. Włożyłem rzeczy mojego brata, powiedziałem Mette, żeby zrobiła to samo z ubraniami Nicoletty.

Buty na nas oboje były trochę ciasne, reszta pasowała dość dobrze; spojrzeliśmy po sobie w naszych żółto-czerwonych kombinezonach, uśmiechnęliśmy się blado.

Wyszliśmy na pokład. Mette, choć nic jej nie powiedziałem, zebrała odbijacze i poszła wciągnąć cumę dziobową.

Przesunęliśmy się powoli korytarzem między innymi zacumowanymi jachtami, milczący i prawie nieruchomi na naszych miejscach, po wodzie zasnuwanej mgłą coraz gęstsza w miarę zbliżania się do otwartego morza.

Za molami bryza nabrała od razu siły, fale jedna za drugą zaczęły uderzać w kadłub. Nacisnąłem przycisk rolfoka: żagle rozwinęły się powoli, załopotały i chwyciły wiatr. Jacht pochylił się na bok, powoli nabierał prędkości. Gdy poczułem na twarzy pierwsze bryzgi wody, odetchnąłem głębiej.

Mette przyszła do mnie do kokpitu; w ubraniu sztormowym, długich butach i swojej czarnej wełnianej czapce wyglądała na prawdziwego nordyckiego marynarza. Zapytała „Pogoda?”

Spojrzałem na niebo pokryte szarymi chmurami, które tu i tam nabierały ciemniejszego koloru, powiedziałem „No cóż, nic specjalnego”.

– A co przewidujesz?

Rzuciłem okiem na barometr, wskazywał niskie ciśnienie. Nie miałem jednak ochoty schodzić pod pokład i sprawdzać prognozy w radiu ani dokonywać w myśli pesymistycznych obliczeń; powiedziałem „Nie mam pojęcia”.

– Jak to? – powiedziała ona. – Czyż nie miałeś być tym kimś, komu można zaufać?

– A ty nie miałaś być tą, która ufa? – Dotknąłem jej ramienia, śmiałem się; zaciskanie rąk na sterze i patrzenie na morze wprowadzało mnie w stan najczystszej euforii.

Mette nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się, choć tylko przelotnie.

Wybrałem linię bezana; halsowaliśmy w kierunku południowo-zachodnim, by potem wykonać zwrot na północny zachód.

O pierwszej mieliśmy wiatr wiejący z prędkością piętnastu węzłów

O pierwszej mieliśmy wiatr wiejący z prędkością piętnastu węzłów, wyspa del Giglio zniknęła za nami jakiś czas temu. Mette krzyknęła do mnie „Umieram z głodu!”

– Ja też! – odkrzyknąłem. Jacht przecinał średniej wielkości fale, mieliśmy oboje twarze mokre od wody, która pryskała i pieniała się. Sprawdziłem busolę i GPS. Zastanawiałem się, czy ktoś zauważył, że jacht zniknął, i zawiadomił mojego brata lub zaalarmował straż przybrzeżną, czy też port pozostał pusty i bezludny, jak w chwili, gdy go opuszczaliśmy. Co jakiś czas patrzyłem do tyłu, ale nie dostrzegałem groźnego zarysu kutra patrolowego.

– Przygotuję coś! – krzyknęła Mette i zeszła pod pokład.

Widoczność nie była dobra, z północnego wschodu nadciągały stratocumulusy, na dodatek nie znałem dobrze tego jachtu, ale idea potajemnego żeglowania z Mette podobała mi się tak bardzo, że nie znajdowałem miejsca na niepokój. Sama myśl o ostrożności zdawała się sprzeczna z brakiem precyzji naszych planów i rodzajem łączących nas uczuć; chciałem tylko, by żagle niosły nas razem jak najdalej od ziemi, i tyle.

Mette wyjrzała z luku, patrzyła na mnie.

– Co się stało? – krzyknąłem.

– Nic! – wróciła pod pokład.

Pomyślałem o dzikiej radości, jaką dał nam uścisk w łóżku ubiegłej nocy: o niewypowiedzianym poczuciu wzajemnego uzupełniania się, jakie dawało oddychanie tuż obok siebie i ogrzewanie jedno drugiego w ciemności. Ciągle zdumiewała mnie myśl, że jestem z nią nadal w świetle dnia, że łączy nas poufałość, jaka nie istniała między nami dzień wcześniej.

Dziesięć minut później wróciła na pokład z dwoma talerzami spaghetti, podała mi jeden z nich. Było przyprawione tylko oliwą i trochę rozgotowane, ale przykucnięci i trzymając się czegoś, by nie stracić równowagi i kontroli nad sterem, pochłonęliśmy je z ogromną łapczywością jak dzicy ludzie, aż do ostatniej nitki.

Kiedy skończyliśmy, Mette odniosła miski pod pokład i wróciła do mnie, sadowiac się na ławeczce. Miała smutną minę, patrzyła w bok; przeciągnęła po oczach grzbietem dłoni, nie wiedziałem, czy wyciera bryzgi wody, czy płacze.

Zapytałem „Co ci jest?”

– Nic – odwróciła wzrok jeszcze bardziej.

– To z powodu Jorgego?

Kiwnęła głową; powiedziała „To nie do przyjęcia, że tak zginął”.

– Wiem – powiedziałem, przekrzykując hałas wiatru i morza.

– Nie do przyjęcia.

– Wiem.

– I że oni wygrali. Po raz kolejny.

Patrzyłem na nią i na morze przed dziobem, zaciskałem mocno ręce na sterze; jacht pruł niespokojnie fale i odbijał ich dźwięk.

Mette powiedziała „Że też zamordowali kogoś takiego jak on i jeszcze rozpowiadają naokoło, że to jego wina”.

– Wiem.

– Tylko dlatego, że nie chciał pozwolić, by zniknęło na zawsze coś, co dotyczy

wszystkich.

– Wiem.

– To tak, jakby memoriał nigdy nie istniał. Ukradli prawdę i zamiast niej puszcza ją w obieg swoją wersję. Jorge zginął bez sensu. To nie do przyjęcia.

W trzech czwartych śledziłem jej słowa, w jednej czwartej koncentrowałem się na żaglach; wiatr, choć z przerwami, zdawał się wzmacniać. Powiedziałem „Więc nie przyjmujemy tego”.

– I co mamy robić?

– Odzyskać skradzioną prawdę.

– Jak? Teraz zniszczyli już pewno oba egzemplarze memoriału.

– Urządzimy konferencję prasową. Opowiemy całą historię o Ndiongem i o memoriale, i o moim ojcu, i o Dantem, i o Jorgem, ze wszystkimi szczegółami.

– Myślisz, że wielu gotowych jest uwierzyć ot tak, na słowo? – zapytała. – Czy choćby przyjść na naszą konferencję? – W swoim marynarskim ceratowym stroju zdawała się oscylować między nieznaną regułą tego świata a ich znajomością, dokładnie tak samo jak ja.

Zapytałem „Czy jesteśmy zupełnie pewni, że były tylko dwa egzemplarze tego memoriału?”

– Maurice przepisał go w dwóch egzemplarzach – odparła Mette. – Powtarzał mi to parokrotnie. Asystentka twojego ojca też potwierdziła, że były dwa, prawda?

– Tak.

– Nie powiedziała ci nic nowego, kiedy spotkaliście się wczoraj rano?

– Nie.

– Jaka była?

– Wystraszona. Pakowała do dwóch walizek rzeczy, które chciała zabrać. Był ten jej przyjaciel, wysoki, chudy i wrogo nastawiony.

– I co ona ci powiedziała?

– Że się boi. Że nie ma zaufania do Włoch.

– Tylko tyle?

– Mniej więcej. – Potem przypomniałem sobie o zdjęciu mojego ojca, które Nadine dała mi, zanim wsiadła do samochodu. Otworzyłem zamek błyskawiczny kombinezonu i jedną ręką trzymając koło sterowe, drugą wsunąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki, szukając po omacku zdjęcia. W końcu wyciągnąłem je razem z telefonem komórkowym, ale z boku uderzyła fala większa od innych i tracąc równowagę, zacisnąłem palce na zdjęciu, nie na komórce, która poleciała za prawą burtę.

Mette skoczyła, ale nadaremnie: telefon pograżył się w wodzie jak srebrna rybka.

– Nie przejmuj się – powiedziałem. – Wcale mi na nim nie zależało. To i dobrze. – I rzeczywiście, wydało mi się to zdarzeniem symbolicznym, które przecinało nici mojego bardzo ograniczonego życia towarzyskiego, by zostawić mnie w sposób jednoznaczny z nią, przy sprawach, które robiliśmy razem.

– Naprawdę? – spytała Mette, patrząc na wodę za nami.

– Naprawdę. Nie ma żadnej takiej osoby, do której chciałbym zadzwonić, żadnej.

Uśmiechnęła się trochę niepewnie, nieprzekonana.

Zdjęcie natomiast zostało mi w rękę; przyjrzałem mu się dobrze po raz pierwszy, starając się je osłaniać przed bryzgami wody. Było dość świeże: ojciec w słomianym kapeluszu i w krótkich spodniach, w koszuli z podwiniętymi rękawami.

– Kto to? – spytała Mette.

– Mój ojciec. Dała mi to Nadine wczoraj rano, tuż przed odjazdem.

Ona wyjęła mi zdjęcie z ręki, przyglądała mu się długo. Powiedziała „Nie był zbyt podobny do ciebie”.

– Nie? Może z wyglądu podobny był bardziej do Fabia.

Ona patrzyła nadal na fotografię, próbując osłaniać ją przed morzem. Wsunęła ją w moją stronę, spytała „Gdzie to było?”

W tle była palma i drewniany, zniszczony barak. Powiedziałem „Nie mam pojęcia. Może w Afryce albo w Ameryce Południowej”.

Mette odwróciła zdjęcie, przyglądała się z wielką uwagą także drugiej stronie.

Zapytałem „Co tam jest?”

– Nie wiem. Myślę, że jakiś wiersz. – Wyciągnęła do mnie odwróconą fotografię: było tam kilka linijek, napisanych jedna pod drugą granatowym atramentem.

Nielatwo było trzymać kurs i odcyfrowywać ukośne pismo ojca, ale napisane tam było: *Dla Nadine, co schować umie/lecz bez Faolo nie zrozumie. /Za to, co tak koniecznie twa głowa / do mojej stara się wnieść: / niesamowita ryba sierpniowa /1976.*

– Co to znaczy? – zapytała Mette.

– Nie mam pojęcia. – Czuję pewne zakłopotanie wobec tych kulawych rymów mojego ojca, do których natchnął go splot uczuć dziś już rozwiązany.

– Kto to jest Faolo? Znasz go?

– Paolo – powiedziałem.

– Tutaj jest napisane Faolo – zauważyła. – Przez „f”.

– Nie ma imienia Faolo. Musiał się pomylić.

– Ale „f” jest bardzo wyraźne. Spójrz na te dwie kreski. To nie może być pomyłka.

– To pewno jakaś ich gra. Jedna z tych zaszyfrowanych gier między kochankami.

Mette pochyliła głowę, powiedziała Jak to? Czy Nadine nie była jego asystentką?”

– Przez długi czas byli też razem – powiedziałem. – Była czymś w rodzaju drugiej żony, po mojej matce. To dlatego mój brat jej nie znosi.

Mette uśmiechnęła się słabo; podobały mi się jej wargi i to, w jaki sposób odbijały ciąg jej myśli. Siedziała oparta mocno na pochylonej ławeczce, przyglądając się nadal z uwagą drugiej stronie fotografii i osłaniając ją grzbietem dłoni. Zapytała „A ten drugi napis, tu niżej?” i pokazała mi ją znowu.

W prawym rogu, ołówkiem, pismem, które nie było pismem mojego ojca, napisane było *Rua do Sol 53/b.*

– Jakiś adres? – spytała Mette.

– Tak wygląda.

– W Brazylii?

– Może. Albo w Portugalii, kto to wie. – Wolałbym, żeby przestała skupiać aż tak uwagę na fotografii i wróciła do tego, o czym mówiliśmy przedtem.

Ale ona nie przestawała obracać jej w rękach. Zapytała „Dlaczego Nadine dała ci to właśnie zdjęcie?”

– Nie wiem. Może dlatego, że to jedno z ostatnich. – Zanim mogłem się przygotować, nadpłynęła wielka fala, kadłub z żywicy wzmocnionej szklanym włóknem zadzwijał niepokojącym *szlunk*.

– Skąd je wyjęła? – zapytała Mette.

– Z kieszeni płaszcza. Wyciągnęła je, gdyśmy się już pożegnali.

– W domu?

– Na ulicy. Zanim wsiadła do samochodu ze swoim przyjacielem.

– Miała jeszcze inne?

- Nie wiem. Miała inne w walizce, ale w kieszeni miała może tylko to.
- To znaczy, że włożyła je do kieszeni przed wyjściem. Żeby ci je oddać.
- Może – próbowałem to sobie przypomnieć, ale bez skutku.

Mette obejrzała jeszcze raz zdjęcie z obu stron, próbując osłaniać je lewą ręką przed bryzgami słonej wody. Zapytała „A gdy ci je dawała, nic nie mówiła?”

- Nie. Może „Masz”.
- Nic więcej?
- Nie – patrzyłem na rosnące fale.

Mette oddała mi zdjęcie, ona też patrzyła na otwierające się przed nami morze.

Włożyłem z powrotem zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki, zaciągnąłem zamek kombinezonu. Wiatr zmienił kierunek i wciąż się nasilał; zaczęliśmy płynąć trawersem, sunąc szybko przez pofałdowaną płaszczyznę w kolorze ołowiu, wśród rozbryzgów białej piany.

Koło piątej zaczęło zmierzchać i mieliśmy wiatr z północnego wschodu wiejący z prędkością dwudziestu dwóch węzłów, fale rosły i spienione rozbijały się o burtę; jacht tańczył, ciskał się i drżał, zdawało się, że zacznie dryfować. Skróciłem żagle, a mimo to parliśmy do przodu z maksymalną szybkością. Mette trzymała się mocno poręczy, potrafiła się ustawić pod odpowiednim kątem i trzymać się mocno na nogach. Patrzyła przed siebie, przymykała oczy w obronie przed wiatrem i bryzgami morza, mięśniami nóg i rąk amortyzowała uderzenia w kadłub.

Krzyknąłem do niej „Nie chciałabyś zejść pod pokład?”

- Dlaczego? – odrzyknęła, jakby nie rozumiała sensu mojego pytania.
- Nieważne! – byłem bardzo zadowolony, że chce zostać i dotrzymywać mi towarzystwa.

Fala większa od innych rozbiła się o burtę, zalala kabinę, zapieniła się i obryzgała nas w kokpicie. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, co parę minut zmieniał kierunek. Jacht huśtał się, przechylał i słuchał steru zupełnie inaczej niż mój stary słupek o dobrym zanurzeniu: na morzu takim, jak teraz, jego lekki kadłub z krótkim i cienkim kilem czynił z niego wielką plastikową zabawkę, którą istotnie był.

Mette pochyliła się ku mnie, krzyknęła „Co mogę zrobić?”

– Przywiąż się! – krzyknąłem, bo nie był to jacht, na którym załoga miałaby coś do roboty.

Ona owinęła się w talii liną i starannie ją zawiązała: jej ruchy były precyzyjne, nie wydawała się szczególnie zaniepokojona.

Skróciłem jeszcze bardziej żagle, ale i tak posuwaliśmy się nadal zbyt szybko. Sprawdzałem ciągle przyrządy pokładowe, próbowałem rozważyć możliwość przewrotki w razie, gdyby w połowie przeprawy dopadła nas jeszcze gorsza pogoda.

Mette odwiązała się i zeszła pod pokład; wróciła w kamizelce ratunkowej, drugą przyniosła dla mnie i pomogła mi ją założyć na jedną i drugą rękę, tak bym nie musiał puścić steru. Światło szybko gasło; płynęliśmy dalej na północny zachód, wśród fal uderzających z boku, z oczami przymkniętymi z powodu wiatru.

O drugiej w nocy, przy wietrze o sile prawie trzydziestu węzłów, płynęliśmy wśród podmuchów i gwizdu, trzasków i wstrząsów, i huśtania bez końca, w ciemności prawie kompletnej, jeśli nie liczyć niewyraźnej, mlecznej poświaty księżyca, który wylaniał się tylko od czasu do czasu. Morze podniosło się jeszcze bardziej, a wiatr uderzał gwałtownymi podmuchami, które zmuszały mnie do nieustannego korygowania steru. Ścisnąłem go tak mocno, a powietrze i woda były tak zimne, że w dłoniach ustawało mi niemal krążenie, ale nie odważyłem się zwolnić uchwytu, by bodaj kolejno, raz w jednej, raz w drugiej rozprostować palce. Skróciłem znowu

żagle, teraz został już tylko kawałek bezana i foka, niemniej mieliśmy ciągle maksymalną szybkość. Mette siedziała obok mnie na ławeczce, przywiązana jak ja do poręczy.

Co jakiś czas wołałem do niej „Wszystko w porządku?”

– Tak! – odkrzykiwała. – A u ciebie?

– U mnie też! Nie chcesz zejść pod pokład?

– Nie!

Ledwo ją widziałem, ale jej bliskość napełniała przestrzeń materią i ciepłem, niweczyła mój niepokój w czasie tej drogi w górę i w dół po czarnym, rozszalałym morzu, w naszej łupinie przechylonej na bok, która dźwięczała po każdym uderzeniu fali. Miałem wrażenie, o wiele silniejsze niż w innych chwilach mojego życia, że to nie ja wyznaczyłem kurs, że mogę co najwyżej wszystkie moje umiejętności i chęci poświęcić próbie utrzymania go. Poza tym byliśmy niesieni wiatrem, prosto na fale, przez fale i ponad falami.

Od pewnego momentu patrzyłem już tylko na busolę, dałem spokój wiatromierzowi, logowi, GPS i zegarowi; moje zmysły i myśli nastawione były tylko na siedzącą po mojej lewej stronie Mette i nasze wspólne ruchy, nie było miejsca na inne instrumenty pomiarowe.

Po trudnym do określenia czasie, gdy byliśmy wykończeni, przemarznięci i rozbici, prawie oślepieni słońcą wodą i prawie ogłuszeni wiatrem, który gwizdał nam w uszy w sposób tak niewzruszony, że zdawało się to stanem permanentnym, Mette krzyknęła „Światła!”

Ja też spojrzałem, i zobaczyłem ledwie dostrzegalne punkty, na tyle wysoko, że nie mogły to być światła statków czy barek. Ta myśl wywołała we mnie mieszaninę ulgi i niedowierzania, zmęczenia, pośpiechu, cierpliwości, lekkości, zmęczenia. Zapaliłem silnik i zwinąłem prawie zupełnie fok i bezan; jacht wyprostował się nieco, popłynęliśmy dalej siłą śruby.

Przed samym świtem wpłynęliśmy do portu Bastia

Przed samym świtem wpłynęliśmy do portu Bastia wśród wściekłych porywów wiatru, po wzburzonym morzu; ledwo znaleźliśmy się za dużym mołem, w ciągu kilku sekund przeszliśmy od wstrząsów i hałasu do prawie całkowitej ciszy lekkiego falowania. Płynąłem powoli w poszukiwaniu wolnego miejsca w porcie jachtowym; prawie kwadrans zajęło mi wsunięcie się między dwa duże jachty, które, jak pomyślałem, zasłonią nas przynajmniej częściowo przed patrzącymi z nabrzeża, gdy zrobi się zupełnie jasno.

Popatrzyliśmy na siebie z Mette w pierwszym świetle dnia: mieliśmy, jak sędzę, oboje równie oszołomione miny, sól na brwiach i rzęsach, zeszywniałe mięśnie twarzy.

Mette rozwiązała zabezpieczającą ją linę i poszła na dziób sprawdzić kotwicę, ja tymczasem puściłem łańcuch i cofałem jacht ku nabrzeżu.

Wskoczyliśmy na ląd, by zamocować cumy rufowe: moje dłonie z trudem chwytały linę, stąpałem niepewnie, mięśnie nóg miałem jeszcze napięte od nieustannego zmieniania ich pozycji.

Mette patrzyła na mnie, patrzyła na miasto wyłaniające się coraz wyraźniej za moimi plecami.

Wskoczyłem znowu na pokład. Pomogliśmy sobie nawzajem zdjąć kamizelki ratunkowe i nieprzemakalne kombinezony palcami tak zeszywniałymi i tak niezgrabnymi ruchami, że aż chciało się nam śmiać.

Potem wydało się za wcześnie i za późno na cokolwiek: wróciliśmy pod pokład z myślą, żeby się przespać. Wziąłem jedyny koc, jaki udało mi się znaleźć na jachcie, z cienkiej, wilgotnej wełny. Nasze ubrania były jeszcze bardziej wilgotne, ale nie mieliśmy się w co przebrać, zresztą i tak brakowałoby nam siły, by to zrobić. Wyciągnęliśmy się na koi dziobowej w kształcie V, zbliżającej stopniowo nasze nogi i stopy, naciągnęliśmy koc, przycisnęliśmy się do siebie jak ubiegłej nocy. Ale nasze systemy nerwowe były zbyt pobudzone, ubrania zbyt niewygodne, a włosy zbyt nasączone słoną wodą, nasze mięśnie zbyt były napięte, zbyt wiele myśli kłębiło się nam w głowie, a żołądki zbyt kurczyły z głodu, by udało się nam naprawdę zasnąć.

W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że obydwójce drżymy, ale i to wrażenie było wyraźne przez jedną chwilę, a w chwilę później stopiło się z innymi. Zamknąłem oczy, otworzyłem je, zamknąłem znowu, ścisnąłem ramię Mette, wszystko odpłynęło.

Usłyszałem dźwięk agresywnych głosów. Odrzuciłem koc, uderzyłem głową o jakąś półkę i stoczyłem się z koi, zanim udało mi się uświadomić sobie, gdzie jestem i dlaczego. Mette także się obudziła, spojrzała na mnie, oparta na łokciu. Powiedziałem „Czekaj, pójde zobaczyć”, ale ona wysunęła się już także spod cienkiego koca.

Przeszedłem niepewnie przez mały jacht, bardzo ostrożnie, powoli, otworzyłem luk; oślepiło mnie światło. Było to tylko dwóch mechaników o kilka jachtów od nas, którzy rozmawiali, majstrując coś przy elektrycznym dystrybutorze paliwa. Nabrzeże portu jachtowego i port handlowy z dużymi statkami na prawo ode mnie, i ulice, i domy miasta tuż za nimi, wydawały się o wiele wyraźniejsze i bogatsze w szczegóły niż wtedy, gdyśmy tu przyплыли. Ale był to widok zbyt rozległy i konkretny jak na mój stan umysłowy, miałem wrażenie, że przyzwyczać się do niego mogę tylko stopniowo.

Mette, z potarganymi włosami, wyrzała podejrzliwie na pokład.

Uśmiechnąłem się do niej, niespodziewanie wzruszony, powiedziałem „Hej”.

– Hej – odparła, nadal spięta.

– Nic się nie stało – nie słyszałem prawie własnych słów, byłem jeszcze zbyt ogłuszony odgłosami rejsu i naszą próbą zaśnięcia.

Ona patrzyła na dwóch mechaników przy dystrybutorze, powiedziała „I tak nie mogę spać”.

– Ja też nie.

– Więc co zrobimy?

– Chodźmy coś zjeść. – Wydawało mi się, że jestem w stanie permanentnego głodu: nie było to uczucie przykre, wiązało się z równie silną potrzebą jej spojrzeń, gestów i słów.

– Hmm, tak – powiedziała.

Dwaj mechanicy przy dystrybutorze patrzyli na nas, skonsternowani widokiem dwojga żeglarzy, którzy zjawiają się tak bardzo nie w sezonie. Pozdrowiłem ich ręką; oni odpowiedzieli kiwnięciem głowy.

Poszliśmy wzdłuż przystani, a potem nabrzeża, obydwójce z przymkniętymi oczami, chwiejnym krokiem. Rozmyślałem, czy możemy wyzwolić się, choćby częściowo, z tego poczucia zagrożenia, które ogarnęło nas w Rzymie, towarzyszyło w drodze nad morze i pchnęło do przeprawy, czy też lepiej, by tkwiło w nas nadal, jak najżywsze i aktywne. Nie mogłem dojść do żadnej konkluzji i miałem wrażenie, że tak samo jest z Mette, sądząc z jej sposobu poruszania się, rozglądania naokoło. Byliśmy też skrajnie zmęczeni i rozkojarzeni, brak snu i jedzenia nie przyczynił się z pewnością do możliwości dokonania przez nas oceny sytuacji.

Opuściliśmy nabrzeże i przeszliśmy przez ulicę, którą widziałem kiedyś dawno w sierpniu i miałem w pamięci nieustający ruch samochodów, przyczep kempingowych i autobusów, szliśmy pod prąd rzadkiego ruchu ulicznego. Każdy dźwięk silnika, każdy podmuch powietrza wywoływały we mnie odruchową reakcję; odwracałem szybko głowę, rejestrowałem wzrokiem mijające mnie pasma kolorowej blachy, oślepiające czerwone światła zapalające się na skrzyżowaniach.

Koło placu z drzewami i pomnikiem wsunęliśmy się do starego baru z boazerią z ciemnego drewna i słabym, żółtym oświetleniem. Usiedliśmy przy jednym ze stolików pośród luster, zamówiliśmy cappuccino i rogaliki u starego, jękającego się kelnera. Spoglądaliśmy na siebie co jakiś czas, nasze zmysły pełne były świeżych wspomnień wiatru i morza, wstrząsów i falowania, i ciemności, w kościach i na skórze czuliśmy przebiegające nas dreszcze.

Siedzieliśmy w milczeniu i nieruchomo, póki kelner nie przyszedł z pełną tacą; filiżanki z cappuccino trzymaliśmy w rękach, by wchłonąć ich ciepło, potem piliśmy wielkimi łykami wrzący płyn, zanurzaliśmy w nim rogaliki i pochłaniali je niemal ze łzami w oczach.

Nie było tego dosyć, by zaspokoić nasz głód i potrzebę rozgrzania się; zamówiliśmy dwa kolejne cappuccina, rogaliki i talerzyk marmolady kasztanowej.

Zjedliśmy i wypili to wszystko, ciągle bez słowa; poprosiliśmy o jeszcze dwie kawy i dwie kremówki. Stary kelner kiwał potakująco głową, patrzył na nas, jakbyśmy byli dwoma dziwnymi zwierzętami. Kiedy żołądki i czujniki wewnętrznej temperatury zaczęły nam wysyłać uspokajające sygnały, uśmiechnęliśmy się do siebie; dotknąłem jej ramienia, ona starła mi z policzka ślad soli. Nasza poufałość nie była silna ani trwała: zmieniała się w zależności od każdej myśli czy spojrzenia, kazała nam oscylować nieustannie między naturalnością a zakłopotaniem. Byliśmy na niepewnym terenie, zawieszeni między czuwaniem a snem, ucieczką a bezruchem, szukaniem a zagubieniem, między racjami ogólnymi a racjami osobistymi, które walczyły ze sobą nieustannie i raz jedne, raz drugie brały górę wśród jawiących się nagle impulsów i ciągnących bez końca wątpliwości.

Aby się z tego otrząsnąć, pociągnąłem znowu łyk wrzącego cappuccino i wyprostowawszy się na krześle, spytałem, A teraz?”

Mette podniosła na mnie jasne oczy: niepokój w jednej chwili rozszerzył jej źrenice.

– Możesz się nad tym zastanowić, kończąc kremówkę. Ale ona odłożyła ją na talerzyk, wytarła palce papierową serwetką. Wyciągnęła ku mnie rękę: „Możesz mi pokazać jeszcze raz to zdjęcie twojego ojca?”

Wyciągnąłem je niezbornymi ruchami z wewnętrznej kieszeni kurtki: było wilgotne i lepkie, niebieski atrament z tyłu rozmazał się tam, gdzie woda go rozpuściła. Podałem je Mette, urzeczony zmysłową i nerwową bielą jej ręki, która przybliżała się i cofała.

Ona obejrzała zdjęcie z najwyższą uwagą z jednej i drugiej strony, jakby je widziała po raz pierwszy. Na brodzie i puchowej kurteczce, na szarym swetrze pod spodem miała okruchy i ślady cukru pudru.

Wyciągnąłem rękę, by ją otrzepać, w sposób zbyt gwałtowny; przestraszyła się. Powiedziałem „Cukier”, ale miałem wrażenie, że mój głos nadal jest niezbyt mocny, uszy miałem pełne podmuchów i trzasków, i szumu rozbijających się o burty fal.

Ona zaczęła znowu przyglądać się zdjęciu mojego ojca; położyła na nim palec, powiedziała „Tu też jest coś napisane”.

Wciągnąłem w nozdrza zapach cukru i soli, nachylając się ku niej, by spojrzeć z boku na mego ojca w stroju kolonialnym, z założonymi rękami, przed jakimś barakiem. Miałem pewne trudności z koncentracją, a nawet skupieniem wzroku na jednym punkcie, ale istotnie, na tablicy z surowego drewna za nim napisane było białą farbą *Cdo que ladra nao morde*.

Mette zapytała „Co to znaczy, według ciebie?”

– Pies, który szczeka, nie gryzie? Że ten, kto wrzeszczy i urządza wielkie sceny, na ogół kryje w sobie mało treści i nie jest szczególnie zdolny do działania.

– To *wiem*. Ale jaki jest podtekst tego znaczenia?

– Dlaczego sądzisz, że tu jest jakiś podtekst? – Nie mogłem zrozumieć, czy to jej tak uporczywe zainteresowanie fotografią mojego ojca jest oznaką nienaruszonej jasności umysłu, czy, odwrotnie, całkowitego wyczerpania; czy powinienem nadal analizować zdjęcie razem z nią w każdym najdrobniejszym szczególe, czy przekonać ją, by dała spokój.

– Bo jest.

– A dlaczego miałby być? – byłem pełen podziwu w równym niemal stopniu, co niepokoju.

– Twój ojciec kazał się sfotografować przed tym napisem – powiedziała.

– Uznał to widocznie za zabawny pomysł. Zamiast tradycyjnego „Uwaga, zły pies”. To dość surrealistyczne, no nie?

Mette potrząsnęła głową; patrzyła z uporem na fotografię. Powiedziała „Nie przypomina ci to nic osobistego?”

– Nie – wzięłem łyżeczkę marmolady kasztanowej.

– Spróbuj się zastanowić, nie rozpraszaaj się. – Ugryzła kawałek swojej kremówki, brudząc sobie znowu brodę, szyję i sweter cukrem pudrem.

Staralem się z wysiłkiem podążać tropem jej myśli, ale moja uwaga rozpraszała się nadal po drodze; myślałem, że mógłbym spędzić cały dzień na obserwowaniu ruchu jej warg i jej wyraźnie zarysowanej szczęki, kiedy je, jej jasnej szyi, gdy przełyka. Powiedziałem „Nic”.

– Mielście kiedyś w rodzinie psy?

– Bedlington teriera – powiedziałem, wyławiając jego obraz z całego ciągu obrazów, a wraz z nim różne imiona i sceny w tle. – Kiedy ja i Fabio byliśmy dziećmi. Nazywał się Oraf.

– Olaf? Jak królowie norwescy?

– Nie. *Oraf*, przez r.

– Co to za imię?

– Początkowo był Olaf. Ale kiedy ojciec przyniósł go do domu, Fabio właśnie nauczył się wymawiać r i taki był dumny z tej umiejętności, że używał go także w miejsce l. I dlatego pies stał się w końcu Orafem.

– A jaki był? – zapytała Mette; odgryzła znowu kawałek kremówki.

– Wyglądał jak owieczka, z białą, kręconą sierścią i niewinną mordką. Ale w rzeczywistości był to pies myśliwski, dosyć ostry, jak zresztą wszystkie teriery. Pewnego lata, gdy byliśmy na wakacjach w Toskanii, zagryzł trzy prawdziwe owieczki, jedną po drugiej. Fabio był tym wstrząśnięty.

– A ty? – Rodzaj jej zainteresowania był niewiarygodnie szczery i skupiony, podobny zdarzyło mi się spotkać tylko parę razy w życiu.

– Ja też. – Nie chciałem, mówiąc z nią, chować się za brata. – Przez te krzyki i krew, przez myśl, że sielankowa sytuacja może zmienić się w taki horror.

Ona powoli przytaknęła głową. Odwróciła fotografię, zaczęła znowu studiować zwrotkę, którą mój ojciec napisał dla Nadine. Przesunęła dwa palce po brodzie, żeby zetrzeć cukier; powiedziała „Może to wcale nie jest wiersz i nie jest to wcale szyfr zakochanych. Może dlatego Nadine ci to dała przed odjazdem”.

– Na podstawie czego to mówisz? – byłem wciąż pod urokiem jej zmieniającego się ciągle wyrazu twarzy.

– Próbuję sobie wyobrazić. Może to ślad prowadzący do trzeciego egzemplarza memoriału Ndiongego.

– A skąd miałby się wziąć? Czy nie jesteśmy pewni, że wasz przyjaciel Maurice napisał na maszynie tylko dwie kopie?

– Właśnie – powiedziała Mette. – Dwie *kopie*.

– To znaczy?

– Może Maurice chciał powiedzieć, że zrobił dwie *kopie* przez kalkę. Poza oryginałem.

– To znaczy, razem trzy egzemplarze? – Teraz trzymaliśmy się wyłącznie siłą naszych umysłów, ponad zmęczeniem, które wyczerpało prawie zupełnie nasze siły fizyczne. Było to dziwne uczucie, intensywne i gorączkowe.

– Tak. My po prostu przyzwyczajiliśmy się do myśli, że każdy tekst, z którym mamy do czynienia, jest kopią. Wszystko jest kopią.

– To prawda.

– Nie oglądamy nigdy oryginału – powiedziała. – I, jakby nie było, nie zależy nam na tym.

– Bo, jakby nie było, jest identyczny ze swoją kopią. Nie do odróżnienia.

– Tak. Ale Maurice należał do takiej kultury, w której istnieje jeszcze podstawowa różnica między oryginałem a kopią.

– Więc jak mówił, że zrobił dwie kopie memoriału, miał na myśli dwie kopie.

– Tak. Różniące się od oryginału, a nawet między sobą, zważywszy, że były pisane przez kalkę.

– Druga jaśniejsza od pierwszej, prawda?

Mette skinęła potakująco głową; zdmuchnęła trochę cukru z fotografii ojca.

Zapytałem „Skąd jesteś tego taka pewna?”

– Nie jestem pewna – odparła ona, całkowicie rozbijającym tonem. – To tylko hipoteza.

– Pośród niezliczonych hipotez.

– Tak. Ale hipotezy zaczynają się dziwnie kurczyć, jeśli dotrzeć do punktów kluczowych. Z niezliczonych robi się tylko kilka. To zaskakujące.

– A ta hipoteza kiedy ci przyszła do głowy?

– Godzinę temu. Kiedy próbowaliśmy zasnąć na jachcie i nic z tego nie wychodziło.

To była dziwna rozmowa, najbliższa telepatycznej wymianie myśli ze wszystkich, jakie kiedykolwiek odbyłem. Poruszaliśmy wargami i wymawiali słowa przy pomocy strun głosowych, ale miałem wrażenie, że nasze myśli przemieszczają się w sposób niezależny od dźwięków, poprzez spojrzenia, oddechy i najmniejsze poruszenia naszych ciał. Próbowałem zrozumieć, czy jest to wrażenie związane z faktem, że jesteśmy bliscy zapaści; oparłem się na łokciu, by zyskać trochę stabilności, łokieć jednak obsunął się ze stołu. Powiedziałem „A gdyby istniał trzeci egzemplarz, dlaczego Nadine miałaby mi o tym nie powiedzieć? Zamiast dawać mi fotografię z zagadkowymi napisami?”

– Może dlatego, że nie potrafiła ich odcyfrować. A przynajmniej nie wszystko. Twój ojciec wiedział o tym, skoro napisał *Dla Nadine, co schować umie, lecz bez Faola nie zrozumie*.

– I myślała, że ja to będę potrafił?

– Może – odparła. Podniosła ostatni kawałek kremówki, wsunęła go do ust. Skończyliśmy wszystko, co kelner przynosił nam trzykrotnie, na stoliku zostały tylko puste filiżanki, talerzyki i okruchy.

Odchyliłem głowę do tyłu; uchwyciłem się stołu, by nie stracić równowagi i nie runąć z krzesłem na podłogę. Powiedziałem „Nie byłem nigdy mocny w zagadkach”.

– Ani ja – powiedziała Mette. – Ale możemy spróbować.

Poczułem nagły niepokój, bo drzwi baru otworzyły się i wtargnęła fala światła dziennego, a razem z falą jakiś pan w długim płaszczu i okrągłym kapeluszu. Ale drzwi zamknęły się z powrotem i światło od razu przygasło, mężczyzna podszedł powoli do lady i poprosił o coś do picia.

Mette także śledziła tę scenę, nie tracąc jednak wątku swoich myśli. Powiedziała „To jedyna szansa, jaką mamy, by nie stracić memoriału na zawsze”.

Powiedziałem „Może na wszystkich zdjęciach mojego ojca, jakie Nadine miała w domu, były podobne napisy”.

– Nie na tych, które widziałam tamtego wieczoru.

Pomyślałem, że w gruncie rzeczy mój stosunek do kobiet jest pełen sprzeczności: biorąc pod uwagę zdumienie, a nawet poczucie nieokreślonego zagrożenia wobec niespodziewanej demonstracji ich możliwości percepcyjnych, intuicyjnych i dedukcyjnych. Zastanawiałem się, czy to, czego szukam, to nedorzeczna równowaga między inercją a duchem inicjatywy, czy też za to pragnienie rozmowy ograniczonej do wrażeń, które krążą mi we krwi, mam winić moje wyczerpanie.

– Nie jesteś przekonany? – spytała Mette.

– Jestem wykończony.

– Wiem – powiedziała z uśmiechem pełnym zrozumienia.

– Niemniej masz rację. Musimy spróbować.

– Ale myślisz o czym innym.

– Nieprawda – powiedziałem, myśląc o blasku jej spojrzenia, czystości cery, ruchu, jakim przeciągała ręką po włosach, kształcie jej palców, zarysie nadgarstków, słodkim słonawym zapachu i tysiącu innych podobnych szczegółów związanych z jej osobą, które zajmowały prawie całkowicie moją uwagę.

– Kim choćby jest ten Faolo, bez którego Nadine nie może zrozumieć? – spytała Mette tonem kobiety przyzwyczajonej do stawiania czoła trudnym sytuacjom klimatycznym i środowiskowym, zimnym morzom i mężczyznom pozbawionym galanterii, bez ogródek wysuwającym swe żądania.

Ogromną siłą woli skierowałem moje myśli na tory racjonalnych rozważań; i zaledwie

ruszyły swoim biegiem, powiedziałem „Mogłoby to być: bez Fa lub Lo”.

Ona patrzyła mi prosto w oczy. „To znaczy?”

– Fabia lub Lorenza – odparłem, jakbym chciał tylko pokazać jej i sobie, że jestem jeszcze w stanie myśleć.

– Ciebie i twojego brata?

– Tak.

Uśmiechnęła się, zacisnęła mi rękę wokół nadgarstka, z entuzjazmem, który czynił ją promienną. „Czyli twój ojciec chciał powiedzieć, że tylko ty i twój brat macie klucz”.

– Ale klucz do czego? I jaki klucz, poza wszystkim?

Stary kelner obserwował nas ciągle zza lady, musiało go ciekawić, o czym rozmawiamy z takim ożywieniem po zjedzeniu wszystkiego z taką zachłannością. Zapytałem go, czy może nam zrobić jajecznicę i dwie szklanki soku ze świeżych pomarańczy; odpowiedział, że nie ma pomarańczy ani jajek. Klient w okrągłym kapeluszu skończył swój kieliszek białego wina i wyszedł, wpuszczając przez drzwi nową falę światła.

Mette podniosła rękę do czoła, powiedziała „Kręci mi się w głowie”.

Wyjąłem jej z palców fotografię mojego ojca i włożyłem ją z powrotem do kieszeni, wstałem niezbyt pewnie, potrącając i ciągnąc moje krzesło. Wsunąłem ramię pod pachę Mette, powiedziałem „Chodźmy”.

– Dokąd? – zapytała.

– Przespać się gdzieś. Jesteśmy wykończeni. – Pomogłem jej się podnieść i poszedłem z nią do kasy, zapłaciłem i zapytałem kasjera, czy zna jakiś hotel w pobliżu.

Kasjer wydał się jeszcze bardziej zaciekawiony i zakłopotany niż przedtem; zapytał „*Quel niveau? Haut, bas, medium?*”

– *Un hotel* – powiedziałem. – *N'importe quel.*

On wyszedł zza kasy i popchnął nas ku wyjściu, na plac, na światło, które, choć niebo zakrywały szare chmury, kazało nam przymknąć oczy. Wy tłumaczył mi i pokazał na migi drogę do hotelu, dwa razy pod rząd, bo z trudem przychodziło mi zapamiętać jego wskazówki.

Szliśmy chodnikiem niczym dwoje rozbitek, powłócząc nogami. Podtrzymywałem Mette, otoczywszy ramieniem jej talie, ale byłem w stanie niewiele lepszym od niej, za każdym razem, gdy przechodziliśmy przez ulicę, musiałem cztery razy spojrzeć na prawo i lewo. Wysilek umysłowy, jaki poświęciliśmy zdjęciu mojego ojca, wyczerpał nas całkowicie, każdy dźwięk, ruch czy sygnał ze świata spadał na nas z nieproporcjonalną siłą.

Hotel, który polecił nam kelner, był o pięć minut od baru, stary, szary budynek, niegdyś elegancki, z wykonanym w stylu lat sześćdziesiątych napisem „La Petite Ourse” nad wejściem. W recepcji nie było nikogo; nacisnąłem dzwonek i zaczęliśmy czekać, zamykaliśmy oczy i otwierali je, by patrzeć na wiszące na ścianach fotografie w nienaturalnych kolorach. W końcu nadszedł jakiś facet ostrzyżony na jeża, który podejrzliwie odnotował nasz dziwny wygląd i brak bagaży. Tonem najbardziej stanowczym, na jaki było mnie stać, powiedziałem mu, że nie mamy dokumentów, ale że możemy zapłacić z góry. Odparł, że jest jeszcze wcześniej i że pokoje będą wolne dopiero po południu; przypatrywał się nam nadał jak dwojgu potencjalnych przestępców. Starając się panować nad głosem, powiedziałem mu, że jesteśmy skrajnie zmęczeni i że koniecznie, natychmiast, musimy się przespać. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, potem napisał cenę na kawałku papieru i pokazał mi ją, odwracając kartkę na ladzie w moją stronę. Nie miałem zupełnie siły ani przytomności, by z nim dyskutować, dałem mu żadaną sumę. On włożył pieniądze do kieszeni, wziął klucz z tablicy za sobą i poprowadził nas po schodach. Poszliśmy za nim ociężałymi krokami, stopy z trudem odrywały się od stopni.

Na drugim piętrze facet ostrzyżony na jeża otworzył nam drzwi do pokoju ze skrzypiącą

podłogą, który jednak był ciepły i miał duże łóżko z kwiecistą narzutą; odszedł, rzucając nam po raz ostatni przeciągłe, podejrzliwe spojrzenie.

Rozejrzeliśmy się z Mette wkoło, oboje nie mogliśmy uwierzyć, że jesteśmy w miejscu osłoniętym i nieruchomym. Zdjąłem kurtkę, buty i skarpetki, poszedłem do łazienki, odkręciłem kurki prysznic nad starą wanną. Zapytałem Mette, czy chce iść pierwsza; ona potrząsnęła głową, ale potem ruszyła w moją stronę jak somnambuliczka, zrzucając po drodze buty, kurtkę, spodnie i skarpety.

Ja też zdjąłem ubranie, jakby to była wężowa skóra, wilgotna, słona i niezdolna, rzuciłem je na podłogę; czułem w środku jakąś napływającą falami wibrację. Mette wyciągnęła ze swojego plecaka szczoteczkę i tubkę pasty i z nieskończoną powolnością zaczęła myć zęby, stojąc w bluzce i majteczkach przed lustrem. Przypomniałem sobie, że zostawiłem mój plecak na jachcie, ale nie mogłem sobie nawet wyobrazić, że miałbym teraz po niego iść. Wsunąłem się pod prysznic, odkręciłem kurek gorącej wody tak, że nieregularnie tryskający strumień zrobił się wrzący, wchłaniałem ciepło z nienasyconym prawdziwego gada. Łazienka wypełniła się parą, serce zaczęło mi bić wolniej; patrzyłem przez białe chmury na Mette, która robiła siusiu, wydawało mi się, że nigdy już nie będę w stanie stąd wyjść.

Ona rzuciła na podłogę majteczki, bluzkę, podkoszulek i stanik, weszła do wanny i przywarła do mnie. Objęliśmy się mocno pod gorącą wodą, obracając się w koło, by strumień płynął na głowę i plecy. Zaczęliśmy się całować: były to pocałunki słodkie i tak mokre, że spływały z ust, ściekając w ciasną przestrzeń między naszymi przytulonymi do siebie ciałami. Nasze języki wślizgiwały się jeden na drugi jak morskie stwory obdarzone własnym życiem, oddalały się i natychmiast szukały znowu. Rozliczne komplikacje, które zetknęły nas ze sobą, a potem oblegały na każdym kroku aż do tej chwili, zaczęły się rozplýwać jak sól osiadła na naszych włosach, czołach i szyjach, ściekać nam po brzuchach, nogach i stopach, po spękanej emalii wanny i znikać w małym wirze, a my trwaliśmy w uścisku z powodów niewiarygodnie prostych. Nawet na siebie nie patrzyliśmy: mieliśmy oczy zamknięte lub odmykaliśmy je na tyle tylko, by dostrzec nasze zarysy wyłaniające się niewyraźnie z pary. To nasze ręce zbierały wszelkie informacje o konsystencji, roli i stopniu bliskości, powierzchnie naszych ciał mówiły sobie wszystko to, co moglibyśmy powiedzieć czy pomyśleć. Przez czas trudny do określenia spływały z nas wszelkie opory i rezerwy, niepewności i wahania; kiedy w końcu zakręciliśmy kurki, wyszliśmy z wanny i wzięli dwa ręczniki z szorstkiej bawełny, byliśmy mężczyzną i kobietą kompletnie nagimi, spragnionymi nieprzepracowanie siebie nawzajem.

Wytarliśmy się z całą energią, na jaką było nas stać, po czym pobiegliśmy do łóżka i, jeszcze wilgotni i rozgrzani, wsunęliśmy się pod koce i prześcieradła, które przez kontrast wydawały się zimne. Przeturlaliśmy się pod osłoną materiału, zbliżyli powoli do siebie, znowu objęliśmy się i zaczęli całować, niezbyt przytomni ze zmęczenia. Potem przekroczyliśmy próg bliskości, schodząc w głąbię półpłynną i gęstą, która tysiącrotnie podnosiła temperaturę i znaczenie każdego najmniejszego gestu. Wystarczyło, bym musnął skroń Mette, by opuszki moich palców rejestrowały zadziwiającą liczbę informacji, które z kolei tworzyły gęstą siatkę wrażeń, chwytającą obrazy, oczekiwania, marzenia i pragnienia utracone i odnalezione i wyciągającą je na powierzchnię mojej skóry. Każde moje spojrzenie z zerowej odległości potrafiło obudzić głęboką emocję, wywołaną przez jakąś część Mette, składającą się na całość jej osoby: rysunek ucha, łuk brwi, kolor warg stykających się niemal z moimi wargami, ciągłe nakładanie się na siebie fragmentów realnych i tworzonych przez wyobraźnię. Ruchy powodujące ścieranie się naszych ciał stawały się coraz liczniejsze, odczucia wywołane tym ścieraniem zaczęły nas przenikać w sposób prawie niekontrolowany. Było tak, jakby siła zrodzona z naszej niezwyklej bliskości przejęła całą zdolność postrzegania i odtwarzania

pozostałych części naszych ciał: poddawaliśmy się jej bezwolnie, nabieraliśmy tylko tchu i przesuwaliśmy trochę głowy, podsycając proces, który obejmował nasze ciała i nasze myśli i rozciągał je do tego stopnia, że traciły kontury i prawie zupełnie zniknęły.

W pewnej chwili byliśmy tak niewiarygodnie blisko, że nie potrafiłbym już powiedzieć, gdzie kończyło się jej ciało, a zaczynało moje; nasze dłonie i ramiona, nogi i stopy, spojrzenia i włosy zlewały się w jeden oddech i jedną rosnącą głębię, by w końcu stopić się razem w jakimś wirze wrażeń, który poderwał nas w górę z oszalamiającą siłą i rzucił jedno na drugie, pchając przez rozgrzane, zgniecione prześcieradła na sam skraj łóżka.

Potem spojrzeliśmy na siebie pod arabskim namiotem prześcieradeł zakrywających nam głowy i zaczęliśmy się śmiać ze zdumienia i nieuniknionego zachwyty wobec tego, co się stało.

Mette zapytała „Dlaczego się śmiejesz?”, jej twarz zabarwiona była światłem przebijającej przez tkaninę lampy.

– A ty? – Podniosłem się na łokciu, próbowałem spojrzeć jej w oczy, ale bez powodzenia.

– Ja zapytałam pierwsza.

– Bo jestem zaskoczony.

– Byliśmy tak śmiertelnie zmęczeni – powiedziała. – Myślałam, że padniemy w ciągu sekundy.

I byliśmy śmiertelnie zmęczeni, i w ciągu sekundy zmęczenie ogarnęło nas jak fala. Zebraliśmy koce ostatkiem sił i zdążyliśmy się przykryć, zanim opuściła nas resztką świadomości; zgasłem lampę, pocałowaliśmy się jeszcze trzy razy w usta i zapadliśmy w nicość.

Obudził mnie dobiegający skądś hałas samochodów

Obudził mnie dobiegający skądś hałas samochodów i zerwałem się z łóżka z bijącym mocno sercem. Jak zawsze, gdy zdarzyło mi się zasnąć w dzień, byłem spocony i nie miałem poczucia miejsca i czasu; w pokoju hotelowym było prawie zupełnie ciemno, nie licząc trójkąta słabego, żółtego światła na podłodze przed oknem. Zapaliłem lampę na nocnym stoliku: Mette spała obok mnie z chmurą swoich miodoworudych włosów na poduszce i łagodnym wyrazem twarzy, jej oddech był ledwie dostrzegalny. Moje serce zaczęło znowu bić zwykłym rytmem; zegarek na nocnym stoliku wskazywał szóstą czterdzieści.

Podszedłem do okna, spojrzałem na ulicę już prawie ciemną, po której manewrowała jakaś furgonetka. W środku zaczynał mi rosnać niepohamowany głód, na który śniadanie w barze, całe wieki temu, nie miało żadnego wpływu. Zastanawiałem się, czy obudzić Mette i zaproponować, by wyszła ze mną, ale wydało mi się to zbrodnią. Z drugiej strony nie mogłem sobie nawet wyobrazić, że miałbym czekać, moje ciało czuło rozpaczliwą potrzebę wzmocnienia.

Podniosłem z podłogi w pokoju i łazience moje ubrania, zimne i sztywne, włożyłem je na siebie. Napisałem *Zaraz wracam* na kartce z nadrukiem hotelu, położyłem ją na szafce nocnej po stronie Mette, patrzyłem na nią przez chwilę. Czułem głębokie zaskoczenie tym, co między nami zaszło, i tym, co poruszyło to we mnie, wrażeniami, których nie sposób ubrać w słowa. Nie mogłem uwierzyć, że sprawa tak prosta może być równocześnie tak złożona, poza naszym zasięgiem, naszą odpornością, nie do opanowania.

To moje zdumienie nie umniejszało jednak w niczym głodu, przeciwnie, zdawało się go z minuty na minutę umacniać. Wciągnąłem buty, otworzyłem drzwi, starając się nie robić hałasu. W recepcji facet ostrzyżony na jeża oglądał telewizję, siedząc w rogu za kontuarem; pokręciłem wskazującym palcem, by mu powiedzieć, że zaraz wracam, a on spojrzał na mnie z tą samą co przedtem podejrziwością.

Szedłem w świetle latarni pustymi niemal chodnikami portowego miasta poza sezonem, z mieszaniną pośpiechu i roztargnienia, które na przemian przyspieszały i spowolniały moje kroki. Patrzyłem na wystawy sklepów, na napisy nad wystawami, by upewnić się, co jest w środku. W końcu znalazłem sklep spożywczy; wszedłem, spojrzałem na żywność rozłożoną na półkach i za szkłem z niezdecydowaną zachłannością szaleńca. Każdy kształt i kolor budził we mnie odruchową chęć wyciągnięcia ręki, pomacania i spróbowania. Kupiłem kilowy bochenek domowego chleba i miękki kozi serek, czarne oliwki i suszone pomidory w oliwie, sałatę i słoiczek miodu kasztanowego, dwa jabłka i dwie butelki ciemnego korsykańskiego piwa. Wskazywałem te rzeczy sprzedawcy, on zdejmował je z ich miejsc i kładł na wagę na kawałku impregnowanego papieru; za każdym razem miałem wrażenie, że robię niezwykle zakup.

Potem, wracając do hotelu z mnóstwem zakupów w dwóch plastikowych torbach, zatrzymałem się przed wystawą jakiegoś sklepu bielizniarskiego. Patrzyłem jak urzeczony na poszczególne sztuki bielizny na manekinach, na formach w kształcie nóg i półkach, zwyczajne i skromne. Wyglądały jak pytania bez odpowiedzi zawieszane w powietrzu, sugestie płynące z odległości zbyt dużych, by mogły być w pełni zrozumiałe. W końcu wszedłem, kupiłem, prawie nie patrząc, jakieś bokserki, podkoszulek i skarpetki dla siebie, majteczki, staniczek, podkoszulek i skarpetki dla Mette. Miałem w rękach mikrometryczne wspomnienie kształtów jej ciała, nie mogłem zrozumieć uporu, z jakim sprzedawczyni pytała, o jaki dokładnie rozmiar chodzi. Mnie wystarczyło spojrzeć, by to wiedzieć, było to równie naturalne, jak nasze gesty w pokoju hotelowym. Byłem pełen wspomnień i antycypacji: instynkt i oczekiwanie, niepokój i

odnalezienie się, bliskość największa z możliwych, zapierająca oddech. Czułem to znowu w myślach i na skórze, po wewnętrznej stronie ramion, między szyją a karkiem.

Wróciłem śpiesznie do hotelu, bojąc się trochę, że nie odnajdę drogi. Przeszedłem przez hol, ścigany spojrzeniem faceta ostrzyżonego na jeża, pobiegłem schodami w górę, po dwa stopnie, na drugie piętro.

Mette siedziała na łóżku, otaczając rękami podciągnięte nogi; drgnęła lekko, gdy wszedłem.

– To ja, to ja – powiedziałem bardziej do siebie, niż do niej; ucałowałem jej włosy i policzki, wargi i czubek nosa.

Ona powiedziała „Obudziłam się, a ciebie nie było” rozdzierającym serce tonem, zdradzającym, że odczuła mój brak i że mnie potrzebowała.

Uniosłem trzymane w rękach torby. „Umierałem z głodu”. Wyrzuciłem zawartość toreb z żywnością na mebel z lustrem przy ścianie, widziałem odbicie Mette wychylającej się, by zobaczyć, co kupiłem. Wróciłem do niej, opróżniłem torby z bielizną na łóżko.

Ona przeciągnęła rękami po podkoszulku i skarpetkach, majteczkach i staniku z prostej, białej bawełny, które jej kupiłem. Odrzuciła koce i przyłożyła do piersi podkoszulek; pasował. Przyłożyła stanik i zaczęła się śmiać.

– Nie odpowiada ci? – zapytałem.

– Ależ tak – odparła. – Jest tylko trochę za duży.

– Jesteś pewna? – nie mogłem uwierzyć, że moja pamięć o jej piersiach nie była bezbłędna.

– W porządku. Zawsze tak jest.

– Naprawdę? – z lekkim, niespodziewanym ukłuciem zazdrości. – Masz cały łańcuszek panów, którzy co rano kupują ci staniki?

– Nie – powiedziała, śmiała się. – To fakt powszechnie znany. Kiedy mężczyzna kupuje kobiecie stanik, stanik jest zawsze o numer za duży.

– Nie wiedziałem o tym. Nie jestem dostatecznie poinformowany o powszechnie znanych faktach. – Chodziło nie tylko o to: myślałem naprawdę, że to, co zaszło między nami, jest bezprecedensowe.

– Ale tak jest.

– No cóż, nigdy dotąd nie podarowałem kobiecie stanika.

– Ani ja nigdy stanika nie dostałam.

Powiedziałem „Myślałem tylko, że sprawi ci przyjemność możliwość przebrania się”, nie patrząc na nią, bo nie było nic, co by nas utwierdzało w przekonaniu, że mamy podstawy do tego, by być zazdrosnymi lub przyznać, że jesteśmy.

– *Wielką* – powiedziała ona w porywie szczerości, pod wpływem której jej oczy pociemniały o kilka odcieni.

Zbliżyłem się: jej piersi były małe i jeszcze jaśniejsze niż reszta ciała, leżały miękko i delikatnie na klatce piersiowej. Jej naga postać wydawała się antyczna, a przecież całkowicie współczesna. Pocałowałem ją w usta; ona rozchyliła je i przymknęła oczy, odchylając się lekko do tyłu. Wahiałem się między głodem pchającym mnie do leżącego za mną jedzenia a równie silnym pragnieniem wzięcia jej w ramiona. Ale pustka z żołądka przechodziła mi przez serce i docierała do głowy; zapytałem „Nie zjedlibyśmy czegoś?”

Ona zaśmiała się znowu, patrzyła na moje wargi.

– Już od *wielu dni* nie jemy. Nie jesteś głodna?

– Tak. – Wstała z łóżka, przeszła przez pokój do łazienki: naga i lekka na starych, skrzypiących klepkach podłogi.

Podszedłem do mebla z lustrem, pootwierałem różne torebki z żywnością, uważając, by nie wylać oliwy czy serwatki na drewniany blat. Wyciągnąłem bochenek chleba z papierowej torby, zacząłem go macać i wachać pożądliwie. Przypomniałem sobie o nożyku francuskim, który został na jachcie w moim plecaku; rozłamałem rękami złocistą skórkę, zacząłem wrywać miękki miąższ.

Mette powiedziała „Zaczekaj”; owinięta była zawiązanym pod pachami białym ręcznikiem, przypominającym starożytną tunikę. Pogrzebała w swoim plecaczku, wyciągnęła francuski nożyk identyczny z moim, z trzonkiem z oliwnego drewna.

– To twój nóż? – zapytałem, bo wydało mi się to zbyt dziwne jak na zbieg okoliczności.

– Tak – odparła. – Dlaczego?

– Mam taki sam. Tylko drewno trzonka jest inne. Czy to nie dziwne?

Wzruszyła ramionami, zdziwiona o wiele mniej niż ja.

Nakroiłem mnóstwo kromek chleba, potem plasterków miękkiego koziego sera. Krojąc, myślałem o tym, ile czasu minęło od chwili, gdy każde z nas kupiło czy dostało w prezencie swój nożyk, nie wiedząc, że drugie ma taki sam, ani nawet, że drugie istnieje. Wyłowiłem z oliwy kilka suszonych pomidorów i położyłem je na serze, dorzuciłem oliwki. Potem czubkiem noża zdjąłem kapsel z butelki piwa i podałem ją Mette.

Jedliśmy i pili w milczeniu, siedząc naprzeciw siebie na dwóch krzesłach stojących w pokoju, w sposób jeszcze bardziej gorączkowy niż w czasie śniadania rano w barze. Jedliśmy oczami i rękami, i ustami, całkowicie pochłonięci smakiem i konsystencją każdego produktu, jego kombinacją z innymi, i cudownymi właściwościami odżywczymi całości. Szykowaliśmy kromki chleba z różnymi dodatkami, wymienialiśmy je między sobą i podawaliśmy sobie butelkę jak niezwykle dary, żuliśmy i przełykali z bezgraniczną wdzięcznością dla owoców natury i tych, którzy je przyrządzili.

Kiedy nasyciliśmy się ponad wszelką miarę, wytarliśmy usta i ręce papierem po chlebie i usiedliśmy na brzegu łóżka pokonani zmęczeniem; wypiliśmy ostatnie łyki piwa, ciepłego już i gorzkiego.

Jakaś myśl podskórna czy może czysto mechaniczny odruch kazały mi włączyć telewizor; zmieniałem kanał za kanałem, aż znalazłem dziennik podający dalekie od nas wiadomości. Ale wystarczyło przywrócić ten kontakt z echami świata, by napięcie z zewnątrz przeniknęło znowu w nasze myśli i gesty. Zgasilem, ale za późno. Położyłem rękę na ramieniu Mette, pochyliłem się, by pocałować ją z boku w szyję; napięcie zewnętrzne trwało nadal. Poszedłem do łazienki umyć ręce i twarz, wróciłem i zacząłem chodzić po pokoju tam i z powrotem, zgasilem światło, odchyliłem zasłonę, by wyrzucić na zewnątrz; dźwięki z ulicy przekształciły się w ponagające sygnały alarmowe, nie sposób było je dłużej lekceważyć.

Powiedziałem Jutro rano popłyniemy statkiem na wybrzeże francuskie”.

Mette kiwnęła potakująco głową. Zdjęła ręcznik, włożyła majteczki i koszulkę, które jej kupiłem, usiadła na skrzyżowanych nogach pośrodku łóżka. Zapytała „A potem?”

– Potem zobaczymy. Spróbujmy ustalić, czy druga kopia memoriału istnieje naprawdę i gdzie się podziała.

Mette przygryzła wargę; powiedziała „Możesz mi pokazać jeszcze raz zdjęcie twojego ojca?”

Miałem ochotę powrócić razem z nią do bliskości takiej jak przedtem, gorącej i nagiej, ale wiedziałem, że to daremne. Poszedłem wyjąć zdjęcie ojca z kieszeni kurtki: było jeszcze bardziej pogniecione i wilgotne niż wtedy, gdy oglądaliśmy je rano w barze, zasypane cukrem pudrem.

Mette wyjęła mi je z ręki i zdmuchnęła cukier, przesunęła się na łóżku w stronę światła lampki nocnej. Znowu przyglądała mu się długo, z obu stron.

Zapytałem Jesteś stanie wyczytać tam coś nowego?” Patrzyłem na jej łydki wytrwałego piechura.

Ona odparła w zamyśleniu „Nie wiem”.

– Wyjdźmy od tego, co już rozszyfrowaliśmy.

– A zatem: Nadine nie może zrozumieć bez Faola, to znaczy bez Fabia lub Lorenza.

– Tak, ale czego zrozumieć?

– Klucza, który tkwi w następnym zdaniu. Tylko ty albo twój brat jesteście w stanie to rozwiązać.

– Jaki klucz?

– *Niesamowita ryba sierpniowa 1976*. – Patrzyła na mnie uważnie, jej piękne rysy były napięte.

Odsunąłem inne myśli, które napływały mi do głowy, po czym bez zastanowienia powiedziałem „Okon morski”.

– Okon morski? – powtórzyła Mette, która nie знаła włoskiej nazwy tej ryby.

Rozłożyłem ręce, by uzmysłowić jej rozmiar i rodzaj ryby. „Ojciec złowił na Sardynii ogromnego okonia na spinning. Jedliśmy go we czwórkę i nie udało się nam nawet go skończyć”.

– W sierpniu 1976?

– Być może. To prawdopodobne. Był z pewnością sierpień, a ten okon był z pewnością rybą niesamowitą. Matka nie chciała go upiec, mówiła, że się go boi.

– Więc kto go upiekł?

– Mój ojciec. Na ruszcie do barbecue, który był w wynajmowanym przez nas domu, z oliwą, rozmarynem, jałowcem i laurem. – Stały mi w pamięci różne obrazy tej sytuacji wraz ze wspomnieniem zapachów, temperatur, ostrego słońca i wiatru.

Mette kiwała lekko głową, jakby widziała i czuła to samo; powiedziała „Więc to jest klucz. Okon”.

– A co ten klucz otwiera?

– Nie wiem.

– Jakiś sejf?

– Być może. Albo skrytkę w przechowalni bagaży, szafę u notariusza, nie wiem.

– Gdzie?

Położyła kciuk w prawym rogu na odwrocie fotografii; powiedziała „To jest z pewnością adres. Rua do Sol 53/b”.

– A miasto?

Potrząsnęła głową.

– A kraj?

– A kontynent? Jest mnóstwo Rua do Sol rozrzuconych po świecie, tam gdzie posługują się portugalskim.

– Właśnie – powiedziałem. – Możemy przez całe lata jeździć po świecie, zanim znajdziemy tę właściwą. – Patrzyłem na jej nagie uda, na białą bawełnę jej nowych majteczek; moja uwaga przenosiła się nieustannie z jednej płaszczyzny na drugą, chociaż starałem się utrzymać ją tylko na jednej.

Mette pomachała fotografią ojca jak małym wachlarzem, powiedziała „A jednak tu musi być także nazwa miejscowości”.

– Może była na innym zdjęciu. Może pełna informacja była podzielona na dwie części.

– To dlaczego Nadine dałaby ci tylko jedną?

– Może tego nie rozumiała, tak samo jak nie rozumiała, co jest na tej. Albo może była zbyt wstrząśnięta tym, co się stało.

Mette potrząsnęła głową, nieprzekonana.

– Może jutro przyjdzie nam coś do głowy – powiedziałem.

– Niby jak?

– Dotrze do nas jakiś sygnał. Albo uda nam się rozszyfrować coś, czego teraz nie rozumiemy.

Powiedziała Jesteś fatalistą”; patrzyła na moje wargi.

– Nie. Ale zgadzam się z twoją teorią na temat nieskończonych możliwości, które w pewnych kluczowych punktach sprowadzają się do zaledwie kilku.

– Tak, ale nie wystarczy siedzieć i czekać.

– Pewno, że nie. Trzeba być w ciągłym ruchu.

– Zmieniać punkty widzenia.

– Rozwijać własne zdolności i możliwości.

– Nie zadowalać się byle czym.

– Nauczyć się odczytywać sygnały.

– Reagować jak najszybciej – powiedziała ona.

– Myślę dokładnie tak samo – powiedziałem, czując głęboką radość z faktu, że jest to tak naturalne.

Przez kilka sekund patrzyliśmy sobie w oczy, pełni wibrujących w nas innych możliwych do wypowiedzenia słów; potem przestrzeń między nami pękła i przywarliśmy do siebie czołami, owiewając się wzajemnie oddechem i odwracając głowy, by nasze usta mogły się zetknąć. Nabrałem znowu tchu, a Mette opadła do tyłu; ja upadłem na nią. Znowu zaczęliśmy się całować, obejmować i ścisnąć, próbując niecierpliwie odnaleźć ścieżki najnowszych wydarzeń, częściowo tylko zachowane w pamięci, by znaleźć potwierdzenie na to, że istnieją i że prowadzą do innych, związanych z nimi wymiarów. Zagubiliśmy się w smaku naszych pocałunków i w zapachu naszej skóry, i w konsystencji naszych ciał, oddając się jeszcze bardziej niż przedtem grze, elektrycznej i pełnej błysków, odnajdywania się i rozpoznawania, ścigania, zwalniania i przedłużania, umiejscawiania i przedłużania, nagłej synchronizacji oddechów, która zatrzymuje czas i rozciąga go tak, że czas się rozpada, a jego fragmenty, drobne jak krople słonej wody, spadają na nasze ciała drżące i wyczerpane.

Spojrzałem na zegarek na stoliku nocnym

Spojrzałem na zegarek na stoliku nocnym, wskazywał siódmą; tylko dzięki światłu padającemu pomiędzy zasłon na oknach uświadomiłem sobie, że jest rano. Mette spała głębokim snem obok mnie, leżąc na brzuchu, z rękami pod poduszką. Chętnie poleżałbym tak dłużej nieruchomo, patrząc na nią i słuchając jej oddechu, ale każde moje włókno było tak nasycone snem, że musiałem wstać z łóżka i pójść się umyć zimną wodą. W lustrze w łazience wyglądałem jak marynarz z dryfującego statku, z potarganymi włosami i szorstką brodą. Umyłem zęby szczoteczką i pastą Mette: smakowała esencją ze skórki cytryny, miałem wrażenie, że znowu ją całuję. Poza tym broda zaczęła mnie swędzić, marzyłem o tym, żeby się ogolić, i wtedy uświadomiłem sobie, że poza brzytwą w plecaku, który zostawiłem na jachcie, był również mój paszport, pomyślałem więc, że muszę po niego pójść.

Ubrałem się najciszej jak mogłem, napisałem na kartce z nadrukiem hotelu *Idę na jacht po plecak i wracam*. Położyłem kartkę na nocnym stoliku od strony Mette, walcząc z nagłą chęcią pochylenia się i pocałowania jej we włosy czy wręcz objęcia jej i obudzenia; wyszedłem.

W recepcji nie było nikogo, na zewnątrz ulica była prawie pusta. Niebo, jak poprzedniego dnia, pokrywały wielkie szare chmury, wiatr wiał od strony lądu. Doszedłem szybko do szerokiej ulicy biegnącej wzdłuż portu, przez kilkaset metrów posuwałem się dalej chodnikiem, przeszedłem przez ulicę na wysokości zacumowanych jachtów. Jakies trzydzieści metrów z lewej strony, przy wejściu na przystań, stało kilka osób przy furgonetce, ale zdawały się bardzo zajęte własną rozmową. Obszedłem furtkę zamykającą dostęp do pomostów, jak to zrobiłem z Mette poprzedniego dnia, prześlizgnąłem się pod osłoną kilku jachtów wyciągniętych na brzeg, dotarłem na pomost.

„Aqualuna” stała tak, jak ją zostawiliśmy, trochę mokra i zasolona, ale poza tym zdawała się w porządku. Wszedłem na pokład, zszedłem niżej; mój plecak leżał w mesie na tapczanie. Zebrałem ceratowe kombinezony, które mieliśmy na sobie w czasie przeprawy, nadal mokre. Wyplukałem je pod cienkim strumykiem słodkiej wody pod prysznicem i wytarłem ręcznikiem, bo nie miałem z pewnością czasu na to, by je wysuszyć. Czyściłem je starannie: moją powłokę i powłokę Mette z czasu, który został daleko w tyle, przesłonięty przez późniejsze wydarzenia. Myślałem o tym, jak bardzo zmieniło się między nami od tamtej pory, gdy mieliśmy je na sobie, pełni jeszcze mechanizmów obronnych, które nie pozwalały nam otworzyć się przed sobą wzajemnie i zbliżyć tak, jak byśmy tego chcieli. A przecież byliśmy już o wiele sobie bliżsi niż dzień wcześniej, a dzień wcześniej niż jeszcze dzień wcześniej. Jeśli cofałem się do tamtego spotkania, gdy byliśmy dwojgiem osób zupełnie sobie obcych, nie mogłem uwierzyć w krepującą nas ostrożność, w opory, jakie musieliśmy pokonać, by przekształcić wrażenia i myśli w słowa i gesty. Nie mogłem uwierzyć w to morze spraw nie-poznanych i nie-powiedzianych, które nas rozdzieliło, w trud, z jakim musieliśmy je przepłynąć, by poznać to, co czekało nas wewnątrz nas samych.

Oplukałem i wytarłem również buty, włożyłem je razem z kombinezonami do worka, z którego je wyjąłem, odłożyłem worek do forpiku. Bałem się myśleć o tym, co mogłoby się zdarzyć między mną a Mette, gdyby nie nasza zdolność tłumaczenia sobie przypadku i pozornych zbiegów okoliczności i reagowania na nie, zanim mogłoby być za późno. Wytarłem zlew ściereczką syntetyczną, podłogę przetarłem szmatką. Wyobraziłem sobie reakcję mojego brata na wiadomość, że jego jacht jest na Korsyce, ale trwało to tylko chwilę. Moje myśli zbyt

były zajęte Mette: Mette siedząca na skrzyżowanych nogach na łóżku w hotelu, Mette stojąca pośrodku pokoju, Mette na metr ode mnie, Mette w odległości zerowej; jej kostka u nóg, jej pierś, oko, kosmyk włosów, uśmiech, jej sposób spania z twarzą zagłębioną w poduszce i kolanem ugiętym, jakby w połowie przerwanej skoku.

Złożyłem mapy żeglarskie, które przygotowałem, nie posłużę się nimi potem w drodze, miałem właśnie schować je do szafki nad stołem nawigacyjnym, gdy usłyszałem głuche uderzenie w kadłub i ostry głos wołający „*Vous, la-dedans! Sortez! Vite!*”

Chwyciłem mój plecak i skoczyłem w stronę luku, ale kiedy wyjrzałem, zobaczyłem, że w kokpicie jest żandarm w granatowym mundurze, a drugi na pomoście, obaj z pistoletami przy pasach i w stanie wielkiego napięcia.

Ten w kokpicie przestraszył się na mój widok; położył dłoń na kaburze i cofnął się, mówiąc „*Arretez-wus!*”

– Okay, okay – powiedziałem, wysuwając do przodu otwarte dłonie, by pokazać, że nie mam broni.

– *Fos documents!* – powiedział żandarm w kokpicie.

– *Sortez, d'abord!*~ krzyknął żandarm na molo. Za nim stał oficer z kapitanatu w białym mundurze, kryjąc się nieco z tyłu.

Staralem się zachować spokój, chociaż w pierwszym odruchu chciałem skoczyć na jacht obok, stamtąd na następny, stamtąd na pomost, a potem rzucić się biegiem przez port. Przed otwarciem plecaka pokazałem go żandarmowi, bo wyobraziłem sobie, jak źle zareagują, jeśli bez uprzedzenia wsunę tam rękę.

Zareagowali źle mimo wszystko: tamten na pomoście krzyknął „*Laissez-le, conard!*”, ten na pokładzie krzyknął „*He!*”. Wyrwał mi go z ręki i położył w rogu na rufie, jakby się obawiał, że może zaraz wybuchnąć. Miał twarz nerwowego chłopczyka, ze szpiczastym nosem i płowymi włosami pod czapką z daszkiem.

Wyjaśniłem mu, że mój paszport jest w plecaku, ugodowym tonem i z miną najspokojniejszą, na jaką było mnie stać w tej sytuacji.

On zaczął gestykulować i powtarzać, nie słuchając mnie, „*Fos documents, vos documents!*” Był najwyraźniej podwładnym starszego żandarma na molo, który powtarzał mu ciągle „*Fait attention!*”

Pochyliłem się w stronę plecaka, żeby wyjąć paszport; on wyciągnął pistolet z kabury i krzyknął, żebym się zatrzymał. Ten na molo też trzymał w ręku pistolet, oficer z kapitanatu gestykulował. Scena była tak absurdalna, że chciało mi się śmiać, mimo narastającego w sercu i nogach poczucia, że jestem w potrzasku.

Dwaj żandarmi i typ z kapitanatu, zamiast ostygnąć w zapale, zirytowali się jeszcze bardziej: ten na molo zaczął wymachiwać pistoletem i krzyczeć, żebym natychmiast schodził na ląd, drugi wolną ręką popychał mnie na molo. Próbowałem nawiązać kontakt wzrokowy ze starszym z żandarmów, ale jego wodniste spojrzenie umykało moim oczom. Próbowałem wytłumaczyć młodszemu, że nie jestem terrorystą ani przemytnikiem i że to jest jacht mojego brata, ale on też mnie nie słuchał, zajęty obmacywaniem mnie trzęsącymi się rękami dla sprawdzenia, czy nie mam przy sobie pistoletów, ręcznych bomb, czy kto wie jeszcze czego. Wyciągnął mi z kieszeni kurtki portfel, kilka monet, zdjęcie ojca, jakby to były dowody rzeczowe, ważne dla przyszłego oskarżenia. Oficer z kapitanatu wskoczył na pokład „*Aqualuny*” i zszedł skontrolować pomieszczenia na dole.

Z tyłu na przystani zgromadziło się kilku robotników ze stoczni; śmiali się i coś pokazywali, coś krzyczeli. Fakt, że mają publiczność, kazał żandarmom wejść jeszcze bardziej w rolę aresztujących międzynarodowego morską przestępcę. Młodszy otworzył mój plecak

ruchami sapera rozbijającego mechanizm wybuchowy, wyciągnął moje podkoszulki, majtki, brudne skarpetki, szczoteczkę do zębów i francuski nożyk, jakby go parzyły. Szczególnie nożyk musiał wydać mu się decydującym znaleziskiem, chociaż miał ostrze długie na cztery palce i można go było kupić w każdym sklepie z papierosami: pokazał go drugiemu, obaj pokiwali głowami, zrobili poważne miny.

Jedyną rzeczą, o której byłem w stanie myśleć, było to, że muszę koniecznie wrócić do hotelu, do Mette, zanim ona się obudzi. Był to imperatyw tak przemożny, że przekreślał wszelkie inne rozważania nad czasem, trybem, celowością i odcieniami językowymi: krzyknąłem do obu żandarmów, żeby mnie puścili, że ja się śpieszę i nie mam już czasu na tę śmieszna i patetyczną zabawę, jaką tu urządzili.

Oni znowu zareagowali źle: starszy wziął mnie za ramię i popchnął do przodu, młodszy szedł za nami z plecakiem, do którego wepchnął z powrotem, byle jak, moje rzeczy. Oficer z kapitanatu sprawdzał jeszcze nie wiedząc co na jachcie, wychylił się, by dać znak, że przyjdzie potem. Patrzyłem w głąb pomostu, na następną przystań, siatkę ogrodzenia i ulicę za nią, z bijącym nierówno sercem i wszystkimi mięśniami napiętymi w oczekiwaniu na dziki skok.

Spróbowałem wyjaśnić spokojniej moją sytuację, pochodzenie jachtu i fakt, że nie mam czasu na to, by odpierać zarzuty, rozpraszać wątpliwości i ułatwiać weryfikacje, ale nie potrafiłem zachować tonu, jaki prawdopodobnie zachować należało. Przeciwnie, głucha tępota w oczach obu żandarmów kazała mi znowu podnieść głos; starszy zacisnął mocniej rękę na moim ramieniu, młodszy chwycił mnie za drugie. Przeszedłem jak więzień między dwoma osobnikami, którzy mnie schwyтали, przez grupkę zaciekawionych robotników na nabrzeżu.

Służbowy samochód stał nieopodal, starszy żandarm zostawił mnie w rękach młodszego, by otworzyć tylne drzwi. Pomyślałem, że mógłbym dość łatwo uwolnić się od młodszego, uderzając go bykiem czy kopiąc, i dobiec do ulicy, ale było jasne, że goniliby mnie samochodem i strzelali za mną, a gdybym nawet zdołał zostawić ich za sobą i dołączyć do Mette w hotelu, w rezultacie napędziłbym jej z pewnością jeszcze gorszych kłopotów.

I tak pozwoliłem się wepchnąć na tylne siedzenie samochodu, a obaj żandarmi wskoczyli z przodu, zapalili silnik i sygnał świetlny, i syrenę; zrywami, z piskiem opon wyjechaliśmy z portu.

W komisariacie sytuacja rozwinęła się jeszcze gorzej, niż to sobie wyobrażałem. Koledzy w cywilu dwóch żandarmów w mundurach mieli w spojrzeniu tę samą tępotę i podejrzliwość, tę samą nieumiejętność wykorzystania informacji, jakich im dostarczyłem, by rozwiązać wszystko w sposób najprostszy z możliwych. Stojąc lub siedząc za biurkiem, zadawali mi po sto razy te same pytania z minimalnymi wariantami na temat mojej trasy, właścicieli jachtu, braku jego dokumentów, powodów tej przeprawy i dlaczego przybiłem do portu na terytorium francuskim, nie uprzedziwszy kapitanatu. Siedząc na krześle, powtarzałem z minimalnymi wariantami te same odpowiedzi: że wypłynąłem z Toskanii, że jacht należy do mojego brata, że nie wziąłem dokumentów jachtu, bo zamierzałem zrobić zwykłą wycieczkę wzdłuż wybrzeża, ale zszedłem z kursu, i że nie zdążyłem zawiadomić kapitanatu, ale zrobiłbym to niewątpliwie dziś rano, gdyby nie pojawili się dwaj żandarmi spragnieni emocji, jakie daje chwytywanie przestępcy.

Oni zdawali się poirytowani moim tonem i tym, co mówiłem, moim upieraniem się przy fackie, że przypląnąłem sam i że spędziłem noc na jakiejś ławce. Pytali „Z kim wypłynąłeś z Włoch?”; odpowiadałem „Z nikim”. Pytali „Z kim przypląnąłeś tutaj?”; odpowiadałem „Z nikim”. Pytali „Z kim byłeś w czasie przeprawy?”; odpowiadałem „Z nikim”. Pytali „Co miałeś na pokładzie? Co wiozłeś ze sobą? Co wyładowałeś?” Odpowiadałem „Nic. Nic. Nic”. Możliwe, że ich technika obsesyjnego powtarzania pytań odpowiadała modelom przesłuchań, jakie poznali

w szkole policyjnej, ale w tej wersji, łagodnej i jakby od niechcienia, bez świecących w oczy lamp, gróźb fizycznych i przewracanych krzeseł, była zupełnie nieskuteczna.

Oni także musieli zdać sobie z tego sprawę, bo przeszli do próby skrupulatnego odtworzenia mojej trasy od wybrzeży toskańskich do Bastii, godzina po godzinie i mila po mili. Gdybym to tylko pamiętał, zadowolilibym ich bez trudu, ale moje wspomnienia zajęte były wyłącznie bliskością Mette i wrażeniami związanymi jedynie z morzem i wiatrem; mogłem im przekazać do dyspozycji jedynie trochę danych z anemometru i busoli.

Oni gubili się w innych, zbytecznych pytaniach i sprawdzaniu zbytecznych wykazów, pili kawę i jedli herbatniki czy batoniki z dystrybutora na żetony w korytarzu; co jakiś czas telefonowali w innych sprawach i wychodzili, by pomówić z kolegami. Wydawali się nieświadomi faktu, że jedyną prawdziwą torturą, jaką mnie poddawali, jest przeciąganie się w nieskończoność czasu, jaki upłynął, odkąd wyszedłem z hotelu, zostawiając Mette samą i śpiącą, ale i to może stanowiło część ich technik wyuczonych w szkole.

Spoglądałem ciągle na ścienny zegar, każde przesunięcie się wskazówki budziło we mnie ostry skurcz lęku. Wyobrażałem sobie Mette, która budzi się i rozgląda po hotelowym pokoju; która wyciąga rękę po moją kartkę; która odczytuje ją, siedząc na brzegu łóżka; która stoi naga i niepewna na środku pokoju, w łazience, wyglądając przez okno. Wyobrażałem sobie jej myśli i nastroj: oczekiwanie przechodzące w niecierpliwość, przechodzące w niepewność, przechodzące w lęk. Zastanawiałem się, w którym momencie niepokój i lęk każą jej zejść do holu, wyjść na ulicę, iść do portu, zrobić coś jeszcze, równie ryzykownego i niewłaściwego. Patrzyłem na drzwi i okna, czując wciąż ten sam impuls, by się zerwać i przewracając meble i ludzi, zbiec po schodach; i za każdym razem musiałem przywoływać całą moją zdolność samokontroli, by się od tego powstrzymać.

Wy tłumaczyłem policjantom, że mogą sprawdzić, do kogo jacht należy, wystarczy kilka telefonów do Włoch; jasne było jednak, że nie chcą szukać tak prostej drogi, wolą nadal krążyć naokoło i rozszerzać sztucznie krąg niejasności, by czuć, że mają do czynienia z ważnym przypadkiem. Z drugiej strony, nie miałem najmniejszego pojęcia, jak wygląda naprawdę mój przypadek. Nie wiedziałem na przykład, czy moje nazwisko znalazło się na liście poszukiwanych po wybuchu w Rzymie, co dała mi do zrozumienia Nicoletta; czy lista pozostała do wyłącznego użytku policji włoskiej, czy też rozesłano ją po całej Europie; czy połączywszy moje nazwisko z nazwiskiem Mette, policjanci nadadzą swoim chaotycznym pytaniom bardziej określony i niebezpieczny kierunek. Nie wiedziałem, czy mam starać się wyjaśnić moją sytuację jak najszybciej, czy utrzymywać ją jak najdłużej w stanie nieokreślonym; czy mieć nadzieję, że Mette została w naszym pokoju hotelowym, czy że zdążyła z niego gdzieś wyjść. Miotłem się między sprzecznymi impulsami, z nerwami na wierzchu i nierówno bijącym sercem, nie będąc w stanie wciągnąć w płuca dostatecznej ilości powietrza.

Potem minęła pierwsza i policjanci poszli na obiad, zostawili mnie w pokoju samego, nie zamykając nawet drzwi na klucz. Wyobrażałem sobie nadal Mette, czekającą coraz dłużej bez żadnych wieści, i zastanawiałem się, jak mógłbym jej przekazać wiadomość. Myślałem o jej wyłączonym telefonie komórkowym, o moim, który wpadł do morza w czasie przeprawy; patrzyłem na szary aparat na stole w żandarmerii i naszła mi absurdalna myśl, by podnieść słuchawkę i zapytać w informacji o numer hotelu „La Petite Ourse”. W pewnej chwili podniosłem się, otworzyłem drzwi i wyszedłem na korytarz, czując w całym ciele instynktowną chęć ucieczki. Jakiś żandarm w mundurze ruszył natychmiast w moją stronę, powiedział „Co pan robi?”

– Poszli sobie – powiedziałem. – Nie mogę tu czekać cały dzień. Mam do załatwienia pilne sprawy.

– Niedługo wrócą – odparł. – Proszę się stąd nie ruszać.

– Muszę iść do łazienki.

Zaprowadził mnie niechętnie do toalety w głębi korytarza, czekał na zewnątrz, aż się wysusiam. Patrzyłem na okienko w ubikacji, ale było zbyt wąskie, by przez nie przejść, a zresztą nie miałem najmniejszego pojęcia, co znalazłbym po tamtej stronie, czy zdołałbym się opuścić na ulicę czy podwórze.

Żandarm w mundurze odprowadził mnie do pokoju, gdzie byłem przedtem, zostawił drzwi otwarte. Chodziłem tam i z powrotem po wolnym odcinku podłogi aż do kwadrans po drugiej, idąc w stronę okna, patrzyłem na zegar ścienny, zawracając, na mój zegarek ręczny, jakbym mógł coś zyskać na dzielącej je różnicy trzech minut. Patrzyłem na szary telefon z uśpioną w nim zdolnością nawiązywania kontaktów, na wiszący na ścianie kalendarz z jego porządnym szeregiem cyfr, oznaczających dni dalekie od jakiegokolwiek porządku. Staralem się nie myśleć o Mette, ale bez skutku, byłem coraz bardziej przybity poczuciem pogłębiającej się rozłąki. Niewiarygodną głupotą wydało mi się to, że wróciłem na jacht i że przedtem zostawiłem na jachcie plecak, a jeszcze przedtem, że nie potrafiłem rozumować przytomniej i rozważniej. Ciągle wracałem do siódmej rano, gdy byłem jeszcze w łóżku obok śpiącej spokojnie Mette, a to pogarszało jeszcze sprawę.

Kwadrans po drugiej dwaj policjanci wrócili ze swojej przerwy obiadowej, ale rzucili na mnie tylko przelotnie wzrokiem i poszli dalej korytarzem. Wyjrzałem przez drzwi, zapytałem „No więc?”

Jeden z dwóch odwrócił się, powiedział „Spokojnie, spokojnie”.

– Mam gdzieś wasze spokojnie! – powiedziałem. – Czekam tutaj od samego rana!

On wszedł do innego pokoju bez odpowiedzi; żandarm w mundurze pokazywał mi energicznie na migi, że nie mogę stać w korytarzu.

Potem na zegarze ściennym była trzecia trzynaście, trzecia dziesięć na moim, i jeden z dwóch policjantów wrócił do pokoju z moim paszportem i jakimiś kartkami w rękę. Tonem wyrażających głębokie rozczarowanie powiedział Jacht jest obłożony sekwestrem. Trzeba zapłacić karę administracyjną za brak dokumentów i niezawiadomienie kapitanatu”.

– Oczywiście – powiedziałem z uczuciem zaskoczenia, które przeszło w ulgę, przechodzącą w niecierpliwy pośpiech, by stąd wyjść i zacząć biec.

Policjant położył przede mną kartki i pióro, powiedział „Proszę tu podpisać. Dopóki nie dokonacie wpłaty i nie dostarczycie tutaj kopii pokwitowań i dokumentów, ani pan, ani pański brat nie będziecie mogli odebrać jachtu”.

– W porządku, w porządku – podpisałem i już zerwałem się na nogi, wyciągając rękę po paszport.

Policjant powiedział „Proszę poczekać” i odwrócił się do drzwi. Zjawił się jego kolega z miną równie rozczarowaną i skinał, bym za nim poszedł.

Pomyślałem, czy aby przypadkiem nie chcą mnie wciągnąć w jakąś pułapkę; próbowałem odgadnąć jaką. Poszedłem za drugim policjantem do pokoju bardziej z przodu, gdzie za stołem policjant wyższy rangą, a może tylko starszy, rozmawiał przez telefon. Starszy policjant spojrzął na mnie, powiedział „A oto i on” i podał mi słuchawkę.

Na drugim końcu linii był jakiś kobiecy głos, którego nie rozpoznałem: powtarzał „Hallo? Hallo?” ścisłym, beznamiętnym tonem.

Powiedziałem „Tak? Kto mówi?”, patrzyłem na policjantów, którzy patrzyli na mnie.

– Tu Giulia Cerato, dzień dobry – powiedział kobiecy głos. – Proszę się nie rozłączać, oddaję słuchawkę pańskiemu bratu.

Były jakieś zakłócenia, potem usłyszałem bardzo poirytowany głos Fabia, który mówił

Jestem porażony zadziwiającą, niewiarygodną nieodpowiedzialnością twojego zachowania”.

– Posłuchaj – powiedziałem.

– Nie, to ty posłuchaj – powiedział Fabio. – Wykazałeś absolutny brak zdrowego rozsądku w sprawie, o której, rzecz jasna, nie musimy mówić tutaj, przyłączyłeś się do ludzi, którym za grosz nie można ufać, ryzykując, że zaszkożysz poważnie mnie, bo ja jestem twoim najbliższym krewnym, potem, nic mi nie mówiąc, gwizdnąłeś mi jacht, który teraz obkłada ją sekwestrem na Korsyce!

– Wyjaśniłbym ci to.

– Co tu jest do wyjaśniania, Lorenzo! Należy się tylko bardzo poważnie niepokoić o stan twojego umysłu!

– Zgoda – powiedziałem, bo nie miałem czasu ani nastroju na wysłuchiwanie jego wymówek, chciałem tylko wyjść.

– Gównu mi po twojej zgodzie! – odparł. – Nie próbuj uciekać przed odpowiedzialnością!

– Nie próbuję uciekać przed niczym. Ale porozmawiamy o tym innym razem, dobrze? I wydaje mi się, że w tej historii inni są odpowiedzialni za rzeczy trochę poważniejsze!

– Powtarzam ci, że nie jesteś w miejscu odpowiednim do takiej rozmowy! Ale w każdym razie to, co sobie wymyśliłeś, jest całkowicie bezpodstawne!

– To znaczy?

– Porziani i Ticonetti to nie nasi ludzie! – powiedział Fabio, w ramach rozmowy prowadzonej równolegle, jak sadzę, ze swoją asystentką. – Od stóp do głów są spod znaku Oleandra! Niech teraz nie próbują grać w trzy karty autostradami!

– Rozmawiasz ze mną czy z kim? – zapytałem.

Fabio, niezbity z tropu, powiedział „Fakt, że wybuch nastąpił przypadkowo, nie zmienia ani o jotę opinii o twoich przyjaciołach ze Stopwatcha!”

– Jak to przypadkowo? – patrzyłem na dwóch policjantów, którzy słuchali, chociaż udawali, że tego nie robią.

– *Po* osiemnastej, nie o osiemnastej! – powiedział mój brat. – Jeśli Manfroto chce mnie widzieć, to Manfroto powinien się dostosować i zaczekać, jasne?

– Słucham?

– Że to był nietypowy kocioł na gaz, niczego absolutnie nie zmienia! – powiedział Fabio.

– Jaki nietypowy kocioł?

– A przyczyną śmierci biednego Dantego, co potwierdziła sekcja, był tlenek węgla z jego samochodu, jeśli cię to interesuje! Na przekór twoim teoriom spiskowym!

– Nie byłeś taki, jak miałeś osiem lat – powiedziałem.

– Radzę ci wracać natychmiast do Rzymu! – krzyknął.

– Czasem byłeś trochę przemądrzały i niebezpośredni, ale wiązało się to tylko z twoim brakiem pewności siebie. Wcale nie musiałeś stać się kimś takim jak teraz.

Powiedział „Nigdy więcej nie pozwalaj sobie plamić czy szargać mojego nazwiska przez łączenie go ze sprawami nie do zaakceptowania. I nie waz się ruszać mojego jachtu! Sam kogoś po niego przyśle!”

– Cześć, Fabio – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Policjanci oddali mi paszport i portfel, monety, zdjęcie ojca i plecak ze szczoteczka do zębów, maszynką do golenia i brudną bielizną. Kluczyki do „Aqualuny”, razem z różnymi papierami, wsunęli do koperty i włożyli je do szafy, potem jeden z nich odprowadził mnie do końca korytarza.

Zszedłem śpiesznie po schodach i ledwo znalazłem się na ulicy, zacząłem biec.

W dziesięć minut byłem przed hotelem, spojrzałem w górę, w stronę okien pokoju na drugim piętrze, ale nie dostrzegłem żadnego śladu Mette. Było pięć po czwartej, patrzyenie na zegarek skracało mi oddech i przyspieszało bicie serca o wiele bardziej niż sam bieg.

W trzech susach pokonałem stopnie prowadzące do wejścia i skierowałem się prosto ku schodom, ale facet z recepcji przeciął mi drogę, zapytał „*Oui, monsieur?*”

Powiedziałem „Idę na górę do pokoju, na drugie piętro”, próbowałem go wyminąć.

Facet powiedział „Tam nikogo nie ma”.

– Jak to, nikogo nie ma? Gdzie?

– Na drugim piętrze. – Miał minę nieprzyjazną, jakby mnie nigdy przedtem nie widział.

– Kiedy wyszła? – zapytałem, z dziesiątkiem trwożnych myśli sondując każdy kąt zielonkawego holu.

– Kto?

– Dziewczyna, która była ze mną! – powiedziałem, miałem wrażenie, że to jakiś zły sen.

– Na drugim piętrze!

Facet wzruszył ramionami, powiedział „Nie widziałem żadnej dziewczyny”.

– Co pan mi, do diabła, opowiada? W głowie się panu pomieszało? – Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że to nie jest wcale tamten facet z włosami na jeża, który tu był, kiedy przyszedliśmy z Mette i gdy wychodziłem rano, może jakiś jego krewny czy ktoś, kto przypadkiem jest do niego podobny, zresztą nie tak bardzo.

Facet wszedł za ladę, by sprawdzić rejestr gości; potrząsnął głową, powiedział „Tu nie odnotowano nikogo na drugim piętrze”.

– Bo nie mieliśmy dokumentów – powiedziałem. – Zapłaciliśmy z góry pańskiemu koledze.

– To szef.

– No to szefowi. A pan kiedy przyszedł?

– Jestem tutaj od drugiej. Pracuję przez drugą połowę tygodnia.

Wychyliłem się, by spojrzeć za ladę, zapytałem „Jest jakaś wiadomość dla mnie?”

Facet potrząsnął głową.

– Skąd pan może być pewny? Proszę popatrzeć!

On wskazał ręką na drewniany blat kontuaru i pod blat, powiedział „Proszę popatrzeć samemu, jeśli pan chce”.

Poszedłem spojrzeć, ale między rejestrem gości, książką telefoniczną, szklanką z długopisami, paczkami papierosów i batonikami nie było żadnej kartki z moim nazwiskiem wypisanym charakterem pisma Mette, którego nigdy nie widziałem. Powiedziałem do faceta „Chciałbym się rozejrzeć w pokoju. Proszę mi dać klucz”.

On trochę się opierał, ale w końcu poszedł ze mną na górę, otworzył drzwi pokoju na drugim piętrze. Pokój był sprzątnięty: narzuta na łóżku starannie naciągnięta, meble i lustro odkurzone, zmienione ręczniki w łazience. Nie było już najmniejszego śladu, widocznego czy wyczuwalnego, mojej obecności i obecności Mette, ani tego, co między nami zaszło. Nasze spojrzenia, gesty, ruchy, słowa, oddechy, ciepło, wilgoć naszych ciał, okruchy: wszystko się rozwiało, jakby tego nigdy nie było, zastąpione lekkim zapachem środków czyszczących, krochmalu, dymu, pasty do podłogi i mydła, silnika odkurzacza.

Powiedziałem „Byliśmy tutaj”, bardziej do siebie niż do niego. Nie mogłem uwierzyć, że jakiś pokój może gościć uczucia tak intensywne i bogate, a potem, w ciągu kilku godzin, stać się znowu doskonale neutralnym pojemnikiem, gotowym na przyjęcie każdego innego podróżnego, który zjawi się w hotelu. Chodziłem z kąta w kąt w poszukiwaniu najmniejszego bodaj znaku, ale nie było niczego. Próbowałem wyobrazić sobie powody, dla których Mette odeszła bez wieści:

ostrożność lub brak czasu, lub brak zaufania do faceta ostrzyżonego na jeża, lub brak zaufania do mnie. Ta ostatnia hipoteza zatruwała mi krew najbardziej; zastanawiałem się, czy naprawdę mogła pomyśleć, że zniknąłem, bo ona nic mnie nie obchodzi, czy też z innego, głupiego i nieistotnego powodu.

Zajrzałem do szufladek nocnych stolików i pod łóżko, do kosza na śmieci w pokoju i w łazience, za zasłony, na parapet, pod dywan: nic. Facet z hotelu obserwował mnie z rodzajem dyskretnego zakłopotania, kiedy skończyłem sprawdzać ponownie wszystkie miejsca już raz sprawdzone, podszedł do drzwi.

Zapytałem go „Kto tu sprzątał?”

– Pani od sprzątania – odparł, przekonany już prawdopodobnie o tym, że mam poważne problemy umysłowe.

– Muszę z nią porozmawiać. Natychmiast. – Wyobraziłem sobie kartki znalezione, zgniecione w rękę i wyrzucone w sposób zupełnie podświadomy; nie mogłem ustać w miejscu.

– Jest u siebie w domu. W zimie przychodzi tylko wtedy, gdy jest potrzebna.

– To zadzwońmy do niej. Bardzo proszę. To sprawa życia i śmierci.

Zeszliśmy razem do holu, skąd bardzo niechętnie zadzwonił do pani od sprzątania. Zapytał ją, czy znalazła coś w pokoju, ale już ton jego pytania zapowiadał rozczarowanie odpowiedzią, którą miał uzyskać. Mówił „Aha, aha”, patrzył na mnie i potrząsał głową.

Wyjąłem mu słuchawkę z ręki, wypytałem panią w sposób o wiele bardziej szczegółowy. Rezultat był taki sam: przysięgła mi, że nie znalazła i nie wyrzuciła niczego, co by mogło w jakikolwiek sposób przypominać pisemną wiadomość. Podziękowałem jej, odłożyłem słuchawkę z poczuciem bezdennej pustki w sercu.

Facet z hotelu patrzył na mnie spod przymkniętych powiek, jego wyrozumiałość łączyła się prawdopodobnie z faktem, że byliśmy naprawdę poza sezonem.

Powiedziałem „Zatrzymuję pokój na tę noc. Ten na drugim piętrze”.

On chciał zaoponować, ale wyciągnąłem pieniądze i wsunąłem mu je do ręki.

Napisałem na papierze hotelowym *Dziś rano nie mogłem wrócić, bo zatrzymali mnie w porcie, ale wszystko się wyjaśniło. Dowiedziałem się, że w Rzymie, w związku z tym, co się stało, mówią o wypadku. Idź do naszego pokoju i czekaj na mnie, rozejrzę się za tobą tu w okolicy i wrócę.*

Poprosiłem o kopertę i wsunąłem do niej kartkę, napisałem na wierzchu *dla M.* Podkreśliłem inicjał, jakby to mogło zwiększyć możliwość, że ona wejdzie do holu i podejdzie do lady, by spytać, czy przypadkiem nie ma dla niej wiadomości.

Oddałem kopertę facetowi z hotelu i opisałem mu pokrótce, lecz chyba dokładnie, Mette, poprosiłem trzy razy pod rząd, by z własnej inicjatywy oddał jej mój list, gdyby o nic nie zapytała i tylko rozglądała się wokół trochę niepewnie. Poprosiłem raz jeszcze o kopertę, przeczytałem od nowa tekst, by się upewnić, czy jest dostatecznie jasny, oddałem mu ją, wybiegłem z hotelu, zanim zacząłem obliczać, jakie są możliwości, by Mette wróciła mnie szukać właśnie tutaj.

Poszedłem ulicą aż do portu jachtowego, spojrzałem przez siatkę ogrodzenia na przycumowaną „Aqualunę” za biało-czerwoną taśmą i faceta w mundurze kapitanatu, który dwadzieścia metrów ode mnie rozmawiał z jakimś robotnikiem. Pobiegłem do portu handlowego, bardziej na północ, popatrzyłem na ludzi czekających na przystani; zajrzałem do budynku linii okrętowych: nic. Przeciąłem aleję nadbrzeżną i zagłębiłem się w ulice miasta, posuwając się raz szybciej, raz wolniej chodnikami, przecinając place. Gdzie nie było nikogo, biegłem, by szybciej pokonać puste odcinki, gdzie byli ludzie, zatrzymywałem się i rzucałem wkoło superselektywne spojrzenia, które rejestrowały rysy twarzy i odrzucały je w ułamku sekundy. Zaglądałem do

barów, piekarni i księgarni, patrzyłem przez wystawy na sklepy spożywcze, odzieżowe, z przyborami rysunkowymi. Wszedłem do dwóch czy trzech biur podróży, pytając, czy dziewczyna z miodoworudymi włosami nie kupowała biletu na statek bądź samolot, ale nikt jej podobno nie widział. Biegałem tak, chodziłem i kręciłem się w kółko, dopóki nie zrobiło się ciemno i nie zaczęły mnie boleć nogi, wśród nagłych błysków nadziei, przeplatających się wciąż z rozczarowaniem, które ścinało lodem moje serce i myśli.

Wróciłem do hotelu, zapytałem faceta w recepcji, czy ktoś przyszedł, ale jego mina z daleka już zapowiadała dokładnie sposób, w jaki z bliska potrząsnął głową. W pokoju zacząłem chodzić boso tam i z powrotem; co kilka minut wyglądałem przez okno; próbowałem wyobrazić sobie trasy, którymi mogła posuwać się Mette, a o których jeszcze nie pomyślałem. Byłem znowu strasznie głodny, ale chociaż przechodziłem obok tylu barów i sklepów spożywczych, nie przyszło mi nawet do głowy, żeby coś zjeść czy kupić coś do jedzenia. W małej lodówce w pokoju była tylko torebka solonych orzeszków; pochłonałem je w trzy minuty i byłem głodny tak samo jak przedtem.

Powoli fakt, że straciłem na morzu mój telefon komórkowy, zaczął mi się jawić w swoim aspekcie przerażająco definitywnym: nie byłem w stanie uwierzyć, że mogłem ślepo zaufać pamięci obwodu elektronicznego, a nie mojej własnej, że nie pomyślałem nawet o tym, by zapisać numer Mette na jakiejś kartce czy kartoniku, na kawałku materiału czy jakiegokolwiek bezpiecznej powierzchni. Przypomniałem sobie wszystkie moje rozważania na temat wdzierania się komórek w życie codzienne ludzi, rozdrażnienie, jakie budziło we mnie obsesyjne posługiwanie się nimi przez Fabia i Nicolette, głupie poczucie wyzwolenia, jakie ogarnęło mnie w chwili, gdy moja komórka pograżyła się w fale, przekonanie, że nigdy już nie będę potrzebował jej systemu niewidzialnych nici rozciągających się w przestrzeni. Teraz, gdy już jej nie miałem, zdałem sobie sprawę, że nie mam żadnego z narzędzi, za pomocą których istoty ludzkie utrzymywały kontakt przez tysiące lat przed pojawieniem się przenośnego telefonu. Nie było takich nazw ulic czy numerów domów, czy współrzędnych geograficznych, czy dat, które byśmy wymienili z Mette, aby się w razie potrzeby odnaleźć; nie było takich ścieżek, po których moglibyśmy się cofnąć, ani punktów zbiorczych, ani umówionych miejsc.

Nie przestawałem przeszukiwać w myślach każdego zakątka dni, które ja i ona spędziliśmy razem, i wszystko, co mi przychodziło do głowy, było wzmianką o siedzibie Stopwatcha w Lyonie i o rodzinnym miasteczku, którego nazwę zapomniałem, a może nawet nie zarejestrowałem jej w pamięci. Wydało mi się to krajobrazem nadzwyczaj ubogim w miejsca i punkty rozpoznawalne, krajobrazem stworzonym po to właśnie, by człowiek mógł się w nim zagubić.

Nie spałem do późna, dręczony pustką w sercu i żołądku; wstawałem co jakiś czas, by wyrzeć na ulicę, dzwoniłem do faceta z recepcji, by zapytać go, czy nie ma nowych wiadomości. Nie miał; w końcu usnąłem na łóżku, które było łóżkiem moim i Mette, a teraz po prostu niczym.

Wcześniej rano wróciłem do portu

Wcześniej rano wróciłem do portu, rozglądałem się znowu wśród odjeżdżających podróżnych, ale Mette nie było. Poszedłem sprawdzić rozkład na tablicach różnych linii, nie mogąc się zdecydować, czy zostać, czy wyjechać. Miałem głowę pełną sprzecznych przeczuć, każde ze swoim ciągiem obrazów: Mette ukryta w jakimś barze czy zakątku miasta, wyglądająca mojego nadejścia, Mette w autobusie zmierzającym do któregoś innego portu na wyspie, Mette w drodze ku francuskiemu wybrzeżu, Mette już w Lyonie czy kto wie jakim innym mieście na świecie.

W końcu pomyślałem, że nie mogę szarpać się tak w nieskończoność między różnymi możliwościami; kupiłem bilet do Marsylii, sprawdziłem poczekalnie i wyjście na przystań, w końcu nadpłynął statek. Znalazłszy się na pokładzie, przebiegłem schody wewnętrzne i zewnętrzne, przemierzyłem korytarze, sale i pokłady ze skrupulatnością inspektora okrętowego: nic, nic, nic.

Stałem w zimnym wietrze na tylnym pokładzie przez pierwszą część podróży, patrząc na smugę piany wśród fal i zastanawiając się znowu, czy Mette została za mną, czy pojechała dalej, czy jest jakikolwiek sposób, by nawiązać z nią kontakt.

Przypomniała mi się fotografia ojca, którą długo studiowaliśmy razem. Zacząłem jej szukać bez powodzenia w kieszeniach kurtki, potem przypomniałem sobie, że po oddaniu mi jej przez policjantów włożyłem ją do plecaka. Po wszystkich zmianach miejsc, jakie musiała znosić, była jeszcze bardziej pognieciona, wydawało mi się jednak, że zachowała jakieś właściwości magiczne przez sam fakt, że Mette trzymała ją długo w dłoniach. Przykro było mi tylko, że policjanci dotykali jej po niej; przez parę minut trzymałem ją na wietrze, by zdmuchnąć z niej patynę wszystkich późniejszych dotknięć.

Zawróciłem w obawie, by nie wpadła do morza, usiadłem na kanapie ze sztucznej skóry w niemal zupełnie pustym barze. Na ekranach kilku telewizorów szedł serial telewizyjny rozgrywający się w Saint-Tropez, z bohaterami bezbarwnymi jak roboty; jakaś tłusta kobieta z chudym mężem i dwoma pudelkami pogryzała przy stoliku drożdżowe rogaliki. Ja też poszedłem kupić sobie rogalik z cappuccino i pochłonałem go, zanim jeszcze wróciłem na swoje miejsce.

Obejrzałem dokładnie fotografię z przodu i z tyłu, z taką samą uwagą, z jaką robiła to Mette. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo rozpraszały mnie jej gesty i jej spojrzenia, i sam fakt, że jest blisko, w czasie gdy ona próbowała rozszyfrować słowa mojego ojca. Teraz, przeciwnie, moje zdolności percepcyjne zdawały się pobudzone jej nieobecnością, udało mi się skupić na każdym centymetrze zmatowiałego kartonika całą energię umysłową, jaką dysponowałem. Miałem wrażenie, że jest to jedyny punkt styczny między mną a nią, nie miałem nic innego, na czym mógłbym się skoncentrować.

Odczytałem na nowo kulawe strofki mojego ojca, które naprowadziły nas na klucz zawarty w słowie „okoń”, adres przy Rua do Sol. Przebiegałem wzrokiem od lewej ku prawej, zdawało mi się, że słyszę w wewnętrznym uchu wibrację głosu Mette, która odczytywała te same słowa, by potem je interpretować. Próbowałem nie prowadzić moich myśli racjonalnym tropem, lecz pozwolić im swobodnie reagować na skojarzenia, jakie napisy i obrazy mogły wywoływać.

Odczytałem na nowo tablicę za plecami ojca, z napisem „*Cdque ladra ndo morde*”, i nagle spostrzegłem, że jest to oczywiste nawiązanie do Orafa, psa, którego mieliśmy w dzieciństwie. W przeciwieństwie do tego z przysłowia, był psem, który nigdy nie czekał, a za to gryzł przy każdej okazji i z byle jakiego powodu. Poza trzema jagniętami zagryzionymi w

Toskanii zdołał pogryźć służącą rodziców i dozorcę, kilku kolegów ojca i jego asystentkę sprzed czasów Nadine, nawet mojego brata Fabia, gdy ten pewnego razu chciał mu odebrać piłkę. Wydało mi się więc oczywiste, że jeśli nasz pies był odwrotnością psa z przysłowia, odwrotność jego imienia mogła być nazwą miasta, w którym znajdował się trzeci egzemplarz memoriału.

Poszedłem do mieszczącego się na statku sklepu, gdzie, poza napojami, alkoholami, cukierkami i czekoladkami, poza szmacianymi osiołkami, laleczkami w strojach regionalnych i innymi rzekomymi wyrobami miejscowej sztuki ludowej, był obrotowy stojak z mapami krajów śródziemnomorskich. Wyciągnąłem mapę Portugalii, rozłożyłem ją, ledwo przebiegłem wzrokiem wzdłuż południowego wybrzeża, znalazłem miasto Faro.

Kupiłem mapę, wróciłem do baru. Teraz miałem nazwę ulicy i nazwę miejscowości, i słowo-klucz, którym miałem się posłużyć: gdy już się ją rozwiązało, zagadka nie wydawała się zbyt skomplikowana. Wzruszała mnie właśnie tą swoją naturalną prostotą, tym, jak odzwierciedlała ducha mojego ojca. Poczułem ukłucie żalu za tym, czego nigdy o nim nie wiedziałem, żalu, że nasze stosunki nie wyszły nigdy poza wystylizowany układ ról.

Chętnie podzieliłbym z kimś ten żal i euforię, w jaką wprowadziło mnie rozwiązanie zagadki fotografii, ale jedyną osobą na świecie, z którą mógłbym to zrobić, była Mette i to czyniło jeszcze dotkliwszym poczucie jej braku.

Ciągle myślałem o tym, co można było zrobić inaczej w ciągu dwóch ostatnich dni; uderzało mnie, że wystarczyło przesunąć choćby jedno z nieskończonych jeśli i kiedy, i jak, wypełniających każdą minutę dnia, by zmienić w sposób decydujący bieg zdarzeń. Gdybym na przykład odgadł nazwę miasta, gdy byłem w barze z Mette, lub nie zostawił na jachcie plecaka albo sprawdził teren, gdy następnego dnia rano przyszedłem go zabrać. Wydawało mi się rzeczą absurdalną, że dwie osoby mogą zostać nieodwołalnie rozdzielone z powodu głupiego roztargnienia czy chwilowej nieostrożności albo braku kontaktu: bulwersująca była dla mnie niewspółmierność między dwiema wielkościami, trudna do zaakceptowania bezwzględność faktów. Myślałem o wszystkich przyspieszeniach i spowolnieniach, przez które przeszliśmy razem z Mette od tamtego poranka, gdy spotkałem ją na cmentarzu; o wrażeniach, które przekształciły się w uczucia, które przekształciły się w namacalne fakty tylko po to, by zniknąć w pustce, w której chwiałem się teraz zgodnie z ruchami statku.

Wyszedłem znowu na tylny pokład, by pooddychać zimnym i słonym powietrzem, patrząc na smugę białej piany pośród szarych fal.

W Marsylii przesiadłem się na pociąg do Lyonu

W Marsylii przesiadłem się na pociąg do Lyonu. Przyjechałem późno, znalazłem pokój w małym, smutnym hotelu blisko stacji. Było tam łóżko pojedyncze, wąskie i brzydkie; przed snem obejrzałem w telewizji program o ludziach udających pary, którzy udawali, że są zazdrośni i zrywają z sobą w sposób jak najbardziej traumatyczny i ostateczny, by potem zejść się znowu pod udającym życzliwość okiem udającej zainteresowanie autorki programu.

Rano poszedłem do punktu internetowego i połączyłem się z siedzibą Stopwatcha. Miałem niejasną nadzieję, że znajdę tam zakodowaną wiadomość dla siebie, ale na stronie było to samo, co wtedy, gdy otworzyłem ją w Rzymie. Przepisałem adres lokalu w Lyonie, wsiadłem w taksówkę i kazałem się tam zawieźć.

Lokal był w równie złym stanie, co tamten w Rzymie, w podwórzu równie zniszczonego budynku. W środku była dziewczyna i dwóch chłopaków, którzy dość nieufnie przyjęli moje pojawienie się w drzwiach. Powiedziałem im, że jestem przyjacielem Mette i Jorgego, nie wspominając nic o memoriale. Wszyscy troje wiedzieli o tym, co przytrafiło się Jorgemu, ale tylko jeden z nich, o imieniu Raymond, znał go osobiście i znał Mette. Z tego powodu natychmiast mnie zainteresował; zapytałem go, kiedy widział ją po raz ostatni. Powiedział, że półtora roku temu, na zebraniu różnych grup obrońców środowiska w Brighton, w Anglii. Zapytałem go, czy pisali do siebie ostatnio lub rozmawiali przez telefon; odparł, że wysłali do siebie e-maile trzy albo cztery miesiące temu. Odkrycie, jak nieczęste są jego kontakty z Mette, sprawiło, że stracił w moich oczach całe znaczenie, tak jak wydobywanie na powierzchnię sprawia, że ryba traci kolory. Niemniej stanowił jedną z nielicznych możliwości nawiązania z nią kontaktu, napisałem więc na kartce *Miejsce jest w Europie i nazywa się, jak nasz pies na opak*. Napisałem pod spodem moje imię, adres i numer telefonu mojego domu w górach; powtórzyłem z dziesięć razy, że bardzo proszę o przekazanie go jej, gdyby ją zobaczył czy usłyszał. Potem złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć na lotnisko, kupiłem bilet na najbliższy lot do Lizbony.

Z Lizbony poleciałem do Faro

Z Lizbony poleciałem do Faro, dotarłem tam wieczorem. W sali przylotów była choinka postawiona przez miejskie przedsiębiorstwo turystyczne, z bombkami z kolorowego szkła i sztucznym śniegiem na gałązkach: tworzyła dziwny kontrast z ciepłym powietrzem na placu przed lotniskiem. Wsiadłem w autobus jadący do miasta, wysiadłszy, rozejrzałem się za hotelem, gdzie mógłbym przenocować. Zostawiłem w pokoju plecak, poszedłem zjeść rybę duszoną w mleku kokosowym z krewetkami i suchym chlebem w na wpół pustej restauracji. Wykonywałem wszystkie te czynności bez wysiłku, zgodnie z logiką obrazów pojawiających się w moim mózgu; emocjonalna pustka, stworzona nieobecnością Mette, czyniła każdy krok niemal automatycznym. Moje zamiary zamieniały się w decyzje, a decyzje w czyny, bez żadnych oporów; przechodziłem od jednego ruchu do drugiego i z jednego miejsca w drugie, nie zatrzymując się, by chwilę pomyśleć czy posmakować. Zdawałem sobie sprawę, że czas, którym dysponuję, nie jest nieograniczony, ale też nie spieszyłem się. Byłem w tym co robiłem, i byłem poza tym: po drugiej stronie moich posunięć i jedzenia, i spania, po drugiej stronie racji, dla których robiłem to wszystko.

Rano zszedłem na śniadanie do salki, w której siedział jedyny klient poza mną, korpulentny Anglik, zajmujący się inwestycjami w branży nieruchomości. Wróciłem do pokoju umyć zęby i, jak mi się to czasem zdarza, prosty ruch szczoteczki sprawił mnie w zadumę. Pomyślałem, że prawie wszystko, co w moim życiu aż do tej chwili miało jakieś znaczenie, nie było wynikiem prawdziwego wyboru, lecz raczej konsekwencją powiązania zdarzeń i okoliczności, po części przypadkowego, po części podyktowanego moim charakterem i moim instynktem czy okazją, jaką dawały miejsca, w których się znajdowałem. Nigdy nie wybierałem drogi prostej, przeciwnie, moja droga składała się z samych zakrętów, które tworzyły fale i półkola, a czasem prowadziły do tyłu. Nie wiedziałem, czy miało to znaczyć, że jestem fatalistą, miałem jednak wrażenie, że nigdy nie pragnąłem czy też nie dość szukałem tego, co w końcu powoli znajdowałem. Przechodziłem przez krótkie chwile i okresy, i całe fazy z jakąś rezerwą czy głęboko tkwiącym we mnie roztargnieniem, nie angażując nigdy całej energii, na jaką było mnie stać, w to, czym jestem i co robię. Nie czułem się chyba nigdy bezsprzecznym panem swego życia, myśliwym-zbieraczem tropiącym z pełną determinacją własne cele w dżungli życia. Miałem wrażenie, że zdawałem się raczej na prądy wodne i że powoli nauczyłem się pływać i wiosłować, stawiać i zwijać żagle, ale i tak nie umiałem nigdy trzymać się naprawdę kursu, który sobie na początku wytyczyłem.

Myślałem o tym wszystkim z punktu widzenia osoby, która wylądowała na jakiejś plaży nie z własnego wyboru, z głową i krwią pełnymi niezaspokojonej potrzeby innej osoby, której tam nie ma. Myłem zęby przez dobre dziesięć minut z dziwną mieszaniną jasności umysłu, niepewności, dystansu. Następnie wysuszyłem szczoteczkę gorącym powietrzem wiszącej na ścianie elektrycznej suszarki do rąk, włożyłem ją z powrotem do plecaka, zszedłem, by poprosić faceta z recepcji o wezwanie mi taksówki.

Rua do Sol jest krótką ulicą po południowej stronie jednego z placów, numer 53/b odpowiada budynkowi z musztardową fasadą. Czytałem długo nazwiska i numery na plakietkach domofonu, ale żadne z nazwisk nie wskazywało na możliwy związek ze sprawą. W końcu nacisnąłem na wszystkie guziki naraz: kilku lokatorów zaczęło protestować, jeden otworzył mi bramę.

Wszedłem na schody, odczytywałem tabliczki na drzwiach i napisy nad dzwonekami, nie

mając znowu najmniejszego pojęcia, które drzwi są właściwe, o ile naprawdę są tu takie. Pomyślałem, że najrozsądniej będzie zacząć od góry, wszedłem zatem na trzecie piętro, nacisnąłem dzwonek przy drzwiach w głębi korytarza. Po długiej przerwie drzwi uchyliły się, dostrzegłem niewyraźnie jedno oko, nos i kawałek ust jakiejś starszej pani.

Zapytałem „*Peco-lhe desculpa, senhora. Nao sabe onde posso encontrar um documento que procuro?*”

Oko, nos i kawałek ust zniknęły, drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Przeszedłem do następnych drzwi, dzwoniłem parokrotnie, ale nikt nie otworzył. Przy trzecich drzwiach powtórzyła się scena bardzo podobna do pierwszej. W czwartych pojawił się jakiś pan, który musiał być krawcem, bo na szyi wisiał mu centymetr. Zadałem moje pytanie, chociaż zdawałem sobie sprawę, jak bardzo musi ono brzmieć ogólnikowo, choć jest tak precyzyjne. Myślał przez chwilę; wskazał na schody, powiedział „*Oadvogado, res-dochao*”.

Podziękowałem mu i wróciłem na parter, znalazłem drzwi z mosiężną tabliczką, głoszącą *Sergio Gomes, Advogado*. Zadzwoiłem; po kilku sekundach drzwi otworzyły się automatycznie.

W środku była gruba pani, siedząca przed komputerem, powiedziała „*Faca favof*, nie patrząc na mnie i nie przestając stukać w klawiaturę.

Podszedłem do jej biurka, powiedziałem „*Bom dia, chamo-me Lorenzo Telmari*”. Nagle wydało mi się, że możliwość znajdowania się w niewłaściwym biurze w niewłaściwym mieście na niewłaściwym kontynencie jest nieskończenie większa niż możliwość przeciwna; spojrzałem ku drzwiom z zamiarem szybkiego wyjścia.

Gruba pani przy komputerze podniosła głowę, spojrzała na mnie znad okularów z połówkowymi szklami. Zapytała „*O senhor e de onde?*”

– *De Italia* – powiedziałem. – Roma.

Ona odwróciła się w stronę korytarza po swojej prawej stronie, powiedziała przenikliwym głosem „*Adwgado?*”

Otworzyły się jakieś drzwi, wyszedł facet niezwykle niski, lecz solidnie zbudowany, z szarymi, przyprószonymi siwizną włosami, które opadały mu na czoło. Podszedł ku mnie z głową lekko pochyloną i oczami przymkniętymi, jakby mnie widział pod światło, chociaż lampy w biurze były dość słabe.

Pani przy komputerze wskazała na mnie otwartą ręką, powiedziała „*O senhor Telmari*”.

Niski facet z opadającymi na czoło włosami w jednej chwili zmienił wyraz twarzy; dwiema rękami uściśnął energicznie moją rękę, powiedział „*Sergio Gomes. Dowiedziałem się o pańskim ojcu, ogromnie mi przykro*”.

– Dziękuję – odparłem zaskoczony zmianą, jaka w nim zaszła, i tym, jak ja sam zmieniłem się w jego oczach: ktoś całkiem nieznajomy, kto cudownym trafem zostaje rozpoznany.

Adwokat Gomes wymienił spojrzenie z panią przy komputerze i ujmując mnie za ramię, powiedział „*Pójdziemy tam*”.

Poszedłem za nim do pokoju oświetlonego słabo, jak cała reszta biura, usiadłem na foteliku, który mi wskazał. Pomyślałem, że cierpi na jakąś formę światłowstrętu, bo rolety w oknach były opuszczone, lampa na biurku jeszcze słabsza od lampy w przedpokoju. Unosił się zapach kurzu i papieru, starego drewna, kawy.

Adwokat Gomes usiadł za biurkiem, na fotelu zapewne podwyższonym, dzięki czemu jego spojrzenie było na poziomie mojego. Zapytał „*Czy napije się pan kawy?*”

Powiedziałem „*Bardzo dziękuję, ale w hotelu wypilem jej już wręcz za dużo*”.

On znowu przymknął oczy, jakby chciał zrozumieć, czy w moich słowach nie ma jakichś ukrytych znaczeń, opróżnił jednym łykiem filiżankę kawy, stojącą na małej tacy po jego lewej

stronie.

Wyciągnąłem z plecaka fotografię ojca, położyłem ją na stole. Powiedziałem „Rozszyfrowanie wiadomości zajęło mi trochę czasu”. Chętnie dorzuciłbym, że bez Mette prawdopodobnie nie domyśliłbym się nawet, że to jakaś wiadomość; wiedziałem jednak, że myślenie o niej dłużej niż jedną chwilę czy wręcz wymówienie jej imienia uczyniłoby mnie zupełnie niezdatnym do rozmowy.

Adwokat Gomes wziął zdjęcie, obrócił je w rękach. W sposób najzupełniej naturalny zapytał „I wie pan, jaki jest klucz?” Miał bystre niebieskie oczy, krótki nos, który stanowił bezpośrednie przedłużenie linii czoła.

– Okoń – powiedziałem. – Kluczem jest okoń.

Poruszył wolno głową, nie zmieniając jednak wyrazu twarzy, jakby to słowo niewiele mu mówiło. Przechylił się na bok, by otworzyć szufladę segregatora stojącego po jego prawej stronie, poszperał między fiszkami, wyciągnął jedną z nich, przesunął po niej palcem ze skrupulatną powolnością. Wyjął z szuflady klucz i poszedł otworzyć pełen przegródek mebel z ciemnego drewna, wy dobył stamtąd torbę z jasnego płótna, z cienkim paskiem na ramię. Podał mi ją, powiedział „Proszę łaskawie sprawdzić”.

Otworzyłem zamek błyskawiczny płóciennej torby z biciem serca, bo nagle stało się tak, jakby to mój ojciec mi ją przekazał, a niewiele było takich gestów między nami, kiedy jeszcze żył. W środku był plik dziewięćdziesięciu może gęsto zapisanych kartek: pisane na maszynie przez jasnoniebieską kalkę, parafowane na każdej stronie piórem, czarnym atramentem. Na stronie tytułowej napisane było *Eveque Jean-Leon Ndionge*, a poniżej *La mer de la verite*. Z największą ostrożnością przesunąłem palcami po słabym pyłe kalki na drugiej kopii. Przeczytałem pierwsze linijki pierwszej strony: *Ce berger d'ames ravage par le monde, au monde ravages adresse...* Włożyłem z powrotem kartki do płóciennej torby, zaciągnąłem zamek błyskawiczny; powiedziałem „To jest to”.

Adwokat Gomes powiedział „Dobrze. Pański ojciec był osobą bardzo dobrze wychowaną”.

– Naprawdę? – zapytałem, bo nie było to z pewnością pierwsze określenie, które by mi przyszło do głowy.

On uśmiechnął się do mnie; „Czy jest coś, co mógłbym jeszcze dla pana zrobić?”

– Nie, dziękuję. Muszę iść. – Podniosłem się, poszedłem za nim korytarzem.

Przy drzwiach uściśnięliśmy sobie ręce. Ukłoniłem się z daleka pani przy komputerze; ona powiedziała „*Ate aproxima*” i od razu wróciła do stukania w swoją klawiaturę.

Zszedłem po schodach z plecakiem na lewym, a płócienną torbą z memoriałem na prawym ramieniu; wydawała mi się o wiele cięższa niż mogła ważyć w rzeczywistości.

Szedłem ulicami turystycznego miasteczka

Szedłem ulicami turystycznego miasteczka, gdzie nie było turystów, nie licząc kilku starszych par Anglików, którzy może w tej okolicy osiedli na stałe. Słońce było zakryte chmurami, z południowego wschodu wiał porywisty wiatr. Trzymałem rękę na przewieszanej przez ramię torbie z memoriałem i rozglądałem się wokół uważnie, ale nie wydawało mi się, żebym dostrzegał kogoś, kto by mnie mógł śledzić, czy jakieś podejrzanе twarze. Przeszedłem Rua Comandante F. Manuel, a potem wzdłuż starego pałacu biskupiego aż do morza, gdzie wiatr był jeszcze silniejszy. Usiadłem na jakiejś ławce, by popatrzeć na Atlantyk z jego metalicznymi refleksami. Próbowałem się zastanowić, co powinienem zrobić, ale nie byłem w stanie myśleć o szczegółach praktycznych. Miałem wrażenie, że po całym gorączkowym ruchu ostatnich dni znalazłem się w dziwnym punkcie, w którym powody, dla jakich ruch ten był podejmowany, stapiały się z poczuciem braku, z ogólnym oszołomieniem, z pytaniami bez słów, z nieokreślonym oczekiwaniem. Nie byłem zmęczony ani niepewny; tkwiłem w zawieszeniu między nieskończonymi równoczesnymi możliwościami, z których pozostało tylko kilka, świadomy ich nieprzewidywalnej natury.

Otworzyłem do połowy zamek płóciennej torby z zamiarem przeczytania natychmiast memoriału, ale zatrzymałem się, bo odniosłem wrażenie, że w nieruchomym niemal czasie, w którym oddycham, nie ma miejsca na natychmiast.

Podniosłem się, poszedłem bardzo powoli nadbrzeżnym bulwarem. Widziałem latające nisko mewy, kuter rybacki, którym rzucały średniej wielkości fale. Minałem muzeum morskie; popatrzyłem na jakiegoś pana pedałuującego na rowerze. Myślałem, że mógłbym tak iść wybrzeżem bez określonego celu, obejść cały Półwysep Iberyjski bez obawy, że zgubię drogę.

Doszedłem do stacji, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że stacja jest właśnie tutaj; wszedłem spojrzeć na rozkład jazdy pociągów. W środku była grupa skautów z plecakami, w kapeluszach i w krótkich spodniach, kilku podróżnych z walizkami w rękę, którzy odjeżdżali lub przyjeżdżali, para turystów amerykańskich. Patrzyłem długo na tablice z godzinami odjazdów, ale najczęściej zatrzymywałem się bezmyślnie przy nazwach stacji, nie będąc w stanie wybrać godziny czy kierunku podróży. Chciało mi się także znowu jeść; wydało mi się rzeczą niewiarygodną, że ciągle, ile bym zjadł, czuję się głodny.

Wyszedłem ze stacji, wróciłem na bulwar nadmorski. Zamierzałem znaleźć jakąś małą restaurację na jednej z ulic w środku miasta, może również hotel, gdzie mógłbym spędzić noc. Ze dwadzieścia kroków przede mną szła pod rękę jakaś para, on w lewej niósł walizkę. Zwracali się ciągle do siebie, by spojrzeć sobie w oczy, śmiali się. W pewnej chwili on postawił walizkę i pocałowali się. Minałem ich z dojmującą świadomością, że dzielę ich uczucia i że są mi dalekie.

Próbowałem skupić uwagę na morzu połyskującym po mojej prawej stronie, chłonąc unoszący się w powietrzu zapach. Potem przesunąłem wzrok i o sto metrów może przed sobą ujrzałem dziewczynę ubraną na czarno, z małym plecakiem na ramieniu. Pomyślałem, że jakaś część mojego mózgu przetwarza samowolnie fakty rejestrowane przez mój wzrok we wzruszającym i niebezpiecznym celu dopasowania ich do moich pragnień. Odwróciłem z powrotem głowę w stronę morza, ale po kilku sekundach spojrzałem znowu na dziewczynę i bezwiednie przyspieszyłem kroku.

Kiedy byłem jakieś pięćdziesiąt metrów od niej, dziewczyna przystanęła, wyciągnęła z kieszeni karteczkę i zdjęła wełnianą czapkę: potrząsnęła masą miodoworudych loków, ich kolor

rozbłysnął w szarym świetle.

Stałem w miejscu, jakby nogi przyrosły mi do bruku, wstrzymałem oddech. Serce prawie przestało mi bić. Potem serce zaczęło bić znowu, a ja zacząłem biec ku niej i nie pamiętam, bym kiedykolwiek przedtem biegł tak szybko.